

**BRYTYJSKIE
BESTSELLERY**

SOPHIE HANNAH

CHOR SIEROT



Koszmarne dobre.

Independent

SOPHIE HANNAH CHOR SIEROT

PRZEŁOŻYŁA
MAGDALENA KOZIEJ

Książki
Burda

Tytuł oryginału: *The Orphan Choir*

Copyright © 2013 by Sophie Hannah
All rights reserved.

Copyright for the Polish Edition © 2014 Burda Publishing Polska
Sp. z o.o. Spółka Komandytowa
02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41–42
faks 22 360 38 49

Sprzedaż wysyłkowa:
Dział Obsługi Klienta, tel. 22 360 37 77

Redakcja: Małgorzata Grudnik-Zwolińska
Korekta: Roma Sachnowska, Bronisława Dziedzic-Wesołowska
Projekt okładki: Wioletta Wiśniewska
Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Redakcja techniczna: Mariusz Teler
Redaktor prowadząca: Agnieszka Koszałka

ISBN: 978-83-7778-761-8

Skład i łamanie: KATKA, Warszawa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie
w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie
oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe
– tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Część pierwsza. Wrzesień, październik

1

2

3

4

5

6

Część druga. Grudzień

7

8

9

10

Część trzecia

11

Moje relacje z duchami

Przypisy

Responsoria umieszczone w tej książce pochodzą z prawdziwych nabożeństw z udziałem chóru, w których uczestniczyłam w St Catherine College w Cambridge – cudownej i wcale nie strasznej instytucji, której chór dziewczęcy bezwiednie zasiał ziarno straszliwej opowieści w moim umyśle.

Zaszczyć nas, Panie,
Zachowaj nas tej nocy od grzechu.

O Boże, zmiłuj się nad nami,
Zmiłuj się nad nami.

Niech nas ogarnie łaska Twoja, Panie,
Według ufności pokładanej w Tobie!¹

Boże Zastępów, odnów nas
I okaż Twe pogodne oblicze, abyśmy doznali zbawienia².

Usłysz, o Panie, moją modlitwę,
Przyjm moje błaganie³.

Niech Bóg będzie z Tobą;
I z duchem Twoim.

Módlmy się.

Daj nam światło w mrocznej porze, błagamy cię, Panie,
I spraw, byśmy potrafili uwierzyć w swych sercach w to,
co śpiewamy i mówimy ustami,
A to, w co wierzymy w swych sercach, niechaj znajdzie
odbicie w naszym codziennym życiu,
Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego.
Amen.

CZĘŚĆ PIERWSZA

WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK

Kwadrans przed północą. Stoję w deszczu, przed domem swojego najbliższego sąsiada, zaciągając zziębnięte, mokre dłonie na zardzewiałych drążkach ogrodzenia. Spoglądam pomiędzy nimi w dół, na nadgryzione zębem czasu, niebezpiecznie wąskie schody prowadzące do sutereny, z której dobiega ryk muzyki. To najbardziej nielubiana przeze mnie piosenka: *Don't Stop Me Now* Queenów.

W ciemność panującą na zewnątrz wsącza się czerwonopomarańczowe światło z wykuszowego okna, które wygląda równie nieprzyjemnie, jak okropnie brzmi ta zbyt głośna muzyka. Jedno i drugie przywodzą mi na myśl piekło: moje wyobrażenie o nim. W pozostałych oknach czterokondygnacyjnego domu sąsiada nie pali się światło.

Suterena mojego domu jest ciemna i cicha. Używamy jej głównie jako lokum dla gości, a ponieważ mieszkamy ich rzadko, zwykle stoi pusta. Znajdują się tam dwie sypialnie, pokój do zabawy z konsolą do gier wideo dla Josepha oraz duża łazienka. Wszystkie wewnętrzne ściany sutereny domu pod numerem dziewiętnastym zostały wyburzone w celu stworzenia jednej, rozległej przestrzeni: „pokoju do relaksu” albo „sali gościnnej”, zależnie od tego, czy określenie pomieszczenia pada z ust mojego sąsiada czy jego dziewczyny.

Sądzę, że etykiетка „sala gościnna” martwi go z powodu szlachetnych skojarzeń. Słowo „gościnna” sugeruje, że ktoś może przejmować się kimkolwiek poza sobą. A mój sąsiad ma wszystkich w nosie.

Słuchając refleksji Freddiego Mercury'ego na temat naddźwiękowej kobiety, cieszę się, że żadnej nie spotkałam: wygląda na to, że są dość narowiste – niezbyt łatwe w obejściu. Nigdy też nie aspirowałam do naddźwiękowości, cokolwiek to może oznaczać. To, czego pragnę, jest, mam nadzieję, o wiele łatwiejsze do osiągnięcia: spanie w ciepłym, suchym łóżku. W chwili obecnej to jedyne rzeczy, których chcę, jedyne, których pragnienie wydaje mi się możliwe.

Schody prowadzące z chodnika do sutereny domu pod dziewiętnastką są śliskie od mchu, deszczu i ulicznego błota. Wszystkie stopnie miały kiedyś krawędź pod idealnie prostym kątem, ale po przeszło stu latach wystawienia na działanie stóp i pogody powierzchnia i krawędzie się starły, przez co schody stały się zbyt nierówne, by z nich bezpiecznie korzystać, zwłaszcza podczas takiej ulewy, jaka nadeszła tej nocy. Zazwyczaj, gdy na nie patrzę, czuję przypływ satysfakcji. Kobieta, która sprzedała nam dom pod siedemnastką, ostatnio wymieniła całą zniszczoną kamieniarkę. Schody prowadzące z naszej sutereny na ulicę mają piękne, równe krawędzie i nowiutką, pomalowaną na czarno, żelazną poręcz przymocowaną dla dodatkowego zabezpieczenia, ale właściwie jakie to ma znaczenie? Skoro nie mogę spać w swoim domu, kiedy tego chcę, wszystkie jego zalety przestają się liczyć.

Pod dziewiętnastką nie uświadczysz poręczy przy schodkach. Nie palę się, by po nich schodzić, kiedy woda przelewa się ze stopnia na stopień jak płynna spirala, ale jaki mam wybór? Jeśli chcę przyciągnąć uwagę sąsiada, muszę stanąć w miejscu, w którym mnie zauważy, albo zaczekać na przerwę między piosenkami i załomotać w okno pomieszczenia, w którym prze-

bywa ze swoim towarzystwem. Siedem razy naciskałam dzwonek przy furtce, lecz mnie nie słyszał. Oczywiście, że nie; Freddie Mercury zagłusza wszelkie dźwięki.

Mam na sobie piżamę w biało-różową kratkę, przemoczoną od kolan do kostek, czarny płaszcz przeciwdeszczowy i buty sportowe, które przemokły w pięć sekund po moim wyjściu z domu. Czuję się teraz, jakbym miała stopy w dwóch komorach balastowych, które ciągną mnie w dół. To zupełna odwrotność sytuacji, kiedy ludzie pakują sobie do kieszeni kawałki betonu, by pomogły im się utopić po wejściu do wody. Ja jestem wtłaczana przez wodę w betonowy chodnik. Potoki deszczu nieprzerwanie leją się z nieba. Aż trudno uwierzyć, że składają się z pojedynczych kropli.

Absurdalność propozycji Freddiego Merkurę'ego, który zachęca mnie, bym do niego zadzwoniła, jak będę chciała miło spędzić czas, sprawia, że nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Problem w tym, że moja definicja miłego spędzania czasu bardzo się różni od tej, którą lansuje piosenka i pan Fahrenheit. Tak Stuart i ja nazywamy między sobą swojego sąsiada, chociaż naprawdę zwie się Justin Clay, a słyszałam, jak jego dziewczyna Angie i kumple nazywają go Jub. Dla mnie miłe spędzanie czasu oznacza, że mogę położyć się do łóżka, kiedy mi się żywnie podoba – owszem, nawet bardzo wcześnie w sobotni wieczór – i kiedy nie muszę wysłuchiwać dudniących za ścianą rockowych hymnów, które nie dają mi zasnąć.

Tak dzieje się w co drugą czy trzecią sobotę. Na szczęście pan Fahrenheit spędza pozostałe weekendy w domu Angie, ale kiedy jej dzieci są ze swoim ojcem, Angie instaluje się pod dziewiętnastką i zaczyna się balanga – a przynajmniej tak się wydaje, sądząc po odgłosach. Czasami postanawiają zaszaleć na całego w wolny od dzieci weekend i puszczają głośno muzykę przez dwa kolejne wieczory, piątkowy i sobotni. Pan Fahrenheit zapewnia mnie, że to nigdy nie jest balanga, jedynie „spotkanko towarzyskie”. Próbowałam przy czterech różnych okazjach wyjaśnić mu, że nieważne, jak to nazwiemy, byle tylko zechciał łaskawie ściszyć muzykę do dającego się zaakceptować poziomu.

Na „spotkankach towarzyskich” są zawsze ci sami goście – facet w butach turystycznych z rozwiązanymi sznurowadłami i dzinsami wetkniętymi w mięsiste skarpety, przygarbiony, zbyt wysoki mężczyzna z oklapłymi włosami i plecakiem, kędzierzawa nauczycielka tańca, która odpala jednego papierosa od drugiego, pracująca w szkole sztuk widowiskowych na Woolnough Road; grubaska w czerwonych okularach, z dziwacznie ufryzowanymi włosami w kolorze sierści niebieskiego persa. Pan Fahrenheit zawsze puszcza im te same utwory, które goście podśpiewują i wykrzykują do wtóru z wykonawcami, choć muszę uczciwie przyznać, że odtwarza je w różnej kolejności. Są to: *9 to 5* Dolly Parton, *Livin'on a Prayer* Bon Jovi, *Heart of Glass* Blondie, *Take on Me* zespołu A-ha, *Love Shack* B-52 oraz *Video Killed the Radio Star*, nie pamiętam czyje to.

Gwoździem programu jest zaś zawsze utwór *Don't Stop Me Now* Queenów, który wyraża podejście do życia mojego hałaśliwego sąsiada o wiele lepiej niż on sam. Zapewne nie analizował słów piosenki, w przeciwieństwie do mnie, ale to chyba nie przypadek, że jest bezwzględny, samolubny hedonista, a piosenka, którą puszcza na cały regulator częściej od innych – zwykle dwa, trzy razy w trakcie balangi – jest hymnem jego ideologii. Narrator z piosenki to nie tylko ktoś, kto pragnie dobrze się bawić (co byłoby całkiem uzasadnione), lecz osoba, która doskonale zdaje sobie sprawę, że zabawa, którą zamierza sobie zafundować (niekontrolowana, jak bomba atomowa), wpłynie na innych tak negatywnie, że stanie się dla nich nie do zniesienia i będą próbowali ją przerwać. Przewiduje to i jasno daje do zrozumienia, że życzy

sobie kontaktu wyłącznie z osobami, które podzielają jego wyobrażenia na temat miłego spędzania czasu.

Stuart powiedziała – mówił, często – że to tylko piosenka, a ja zbyt wiele z niej wyczytuję. Drażni mnie nieścisłość tej krytyki. Przecież każdy może usłyszeć te groźne słowa, w tekście nie ma żadnych dwuznaczności. Stuart byłby bliższy prawdy, gdyby oskarżył mnie nie o doszukiwanie się w słowach piosenki znaczeń, których tam nie ma, lecz o wyobrażanie sobie, że *Don't Stop Me Now* to coś więcej niż piosenka, co jest oczywiście niemożliwe z naukowego punktu widzenia.

Patrząc na to nienaukowo, jest ona wstrętną esencją Justina Claya, zawartą w muzyce. Jego duszą przerobioną na pop.

Wreszcie jazgotliwa tyrada Queenów dobiega końca. To moja szansa. Wiem z doświadczenia, że w trakcie tych wieczorków jedna piosenka nie następuje natychmiast po drugiej. Pan Fahrenheit nie jest zbyt sprawnym didżejem. Kiedyś myślałam, że długie przerwy pomiędzy kolejnymi muzycznymi atakami to sadystyczne próby ukołysania mnie złudnym poczuciem bezpieczeństwa w celu ponownego powalenia, gdy zaczynam przysypiać, ale to było niesprawiedliwe z mojej strony. Nie wzięłam pod uwagę, jak wiele czasu zajmuje przełożenie różnych części składowych nieskręconego blanta z kolan na stolik do kawy, bez rozsypania ich, zwłaszcza gdy się jest ujaranym, a następnie doczłapanie do odtwarzacza i podjęcie decyzji, co puścić w następnej kolejności.

Teraz, kiedy przestała grać muzyka, słyszę stłumione głosy, choć przez bębnienie deszczu nie mogę rozróżnić słów. Schodzę ostrożnie tyłem po kamiennych schodach, tak by móc przytrzymać się wyższych stopni. Gdy jestem na samym dole, odwracam się i widzę, że Angie, dziewczyna sąsiada, patrzy na mnie przez okno, po którym ściekają strugi wody.

– Jub, znów przyszła ta pani, co mieszka obok – mówi po paru sekundach wpatrywania się we mnie bez słowa, jakby szok opóźnił jej reakcję.

Ma na sobie krótką biało-zieloną sukienkę – wygląda na to, że wzór na materiale jest zainspirowany lampami lava – a na nią narzucony robiony na drutach, dłuższy beżowy kardigan. Bose stopy.

– Och, chyba jaja sobie robisz! – wykrzykuje pan Fahrenheit.

Kusi mnie, by go spytać, czy to wyrażenie jest obecnie popularne na placu zabaw, ale się powstrzymuję. Fahrenheit pochyla się nad sprzętem muzycznym, odwrócony plecami do okna. Stoję na tyle blisko, że przez pojedynczą szybę w oknie świetnie go słyszę. Nie spieszo mu, by się odwrócić i nawiązać ze mną rozmowę.

Wygląda na to, że ani on, ani Angie nie pojmują podstawowego związku przyczynowo-skutkowego. Wiedzą, że nie zgadzam się, by puszczali głośno muzykę w nocy, bo wyraźnie im to powiedziałam, jednak wydają się zaskoczeni, kiedy tak robią, a ja zjawiam się u nich z pretensjami. Za każdym razem widać jasno, że nie spodziewali się mojego najścia. Później nie mogę się powstrzymać, i nie wiadomo po co recytuję Stuartowi rozmowę, której zapewne regularnie nie udaje im się przeprowadzić:

Wiesz, jeśli ona nie zdoła zasnąć z powodu naszej muzyki, będzie musiała znaleźć sobie na noc coś innego do roboty. A co jeśli tym zajęciem będzie przyłożenie tutaj i dowalanie się do nas?

No tak. Racja. Muszę przyznać, że to dość prawdopodobne, bo tak zawsze się dzieje. Jeśli nie chcemy, by przychodziła nam tu jęczeć, może nie powinniśmy zakłócać jej snu.

Pan Fahrenheit podchodzi, otwiera okno, trzyma się z dala od deszczu.

– Cześć, Louise – mówi głosem równie ponurym i znużonym jak jego twarz. – Przyszłaś mnie opierdolić?

Próbuję nie poczuć się urażona, ale mi się to nie udaje. Czyżbym skrycie miała nadzieję, że powie: „Dołącz do nas, nalej sobie drinka”? Sądzę, że to możliwe, choć niewątpliwie również głupie i naiwne. Nieraz przychodziło mi do głowy, że skoro nie mogę spać, a u sąsiada jest akurat przyjęcie, równie dobrze mogłabym się przyłączyć i spróbować trochę zabawić. Oczywiście musiałabym odmówić, nawet gdyby pan Fahrenheit mnie zaprosił.

Zastanawiam się, czy on wie, że chętnie przestałabym go nienawidzić i byłabym gotowa nawet trochę polubić, gdyby tylko choć odrobinę się ze mną liczył.

– Te wizyty o północy są dla mnie tak samo kłopotliwe jak dla ciebie, Justin – odpowiadam. – Szczególnie gdy jest tak zimno i leje jak z cebra. Czy przestałeś już puszczać muzykę? Dochodzi północ.

– Nie, nie przestałem puszczać muzyki. – Zatacza się lekko w tył.

– Powiedz jej, żeby się odpierdoliła – woła jego kumpel w butach turystycznych, machając na mnie.

Siedzi po turecku na podłodze obok wysokiej stojącej lampy, która jest udrapowana czymś, co przypomina czerwony obrus. On i ta lampa są dwiema wyspami w morzu pustych butelek po winie walających się wokół. Pokój wygląda, jakby pośpiesznie opuścili go uczestnicy gry w butelkę, która toczyła się w kilkunastu kręgach.

– W takim razie czy mógłbyś od tej chwili przyciszyć dźwięk tak, by nie niósł się przez ścianę do mojego domu? – pytam Justina.

Grubaska w czerwonych okularach zjawia się u jego boku.

– Bądź rozsądna, kochaniutka – mówi. – Nie ma nawet dwunastej. Dwunasta to taka pora graniczna, prawda? Przynajmniej tam, gdzie ja mieszkam. Musisz przyznać, że czasem próbujesz nas uciszyć już za piętnaście jedenasta.

– A Justin często puszcza muzykę co najmniej do pierwszej trzydzieści – odpalam. – Może to raczej jego namówisz, by zachowywał się rozsądnie? Skoro zjawiłam się przed jedenastą, to dlatego, że właśnie wtedy chciałam iść spać.

– Kurwa, Louise, przecież jest sobota – protestuje pan Fahrenheit.

– Czasami kładę się wcześniej w soboty, a siedzę do późna we wtorki – mówię. – A gdybym tak była pilotem samolotu i musiałabym wstawać o czwartej rano... – przerywam natychmiast, by nie dać panu Fahrenheitowi szansy powiedzenia mi, że nie jestem pilotem samolotu, i wykazania, że nie mam racji. – Słuchaj, chcę tylko chodzić spać wtedy, kiedy mam na to ochotę, i nie życzę sobie, by mnie wyrwał ze snu hałas dobiegający od ciebie. Proszę, Justin. – Przywołuję na twarz swój najprzyjaźniejszy, pełen nadziei uśmiech.

Unosi ręce i cofa się, jakbym trzymała wycelowany w niego pistolet, a on wiedziałby, że jest nienaładowany.

– Louise... wypierdalaj z powrotem do siebie, z łaski swojej. Znów zepsułaś mi wieczór, tak jak sam już nie wiem ile razy wcześniej, dobra robota. Brawo. Nie mam zamiaru tracić więcej czasu na kłótnie z tobą, więc... idź do domu albo kłóć się sama ze sobą, jak tam sobie chcesz.

– Wyluzuj, sąsiadeczko! – wrzeszczy z odległego krańca pokoju facet z oklapniętą grzywką.

Siedzi przy dużym stole jadalnym upstrzonym rozdartymi bibułkami do papierosów i plamami z wina. Stół mieści się pod wymyślnym szklanym żyrandolem, jest dosunięty do jedynej

w pomieszczeniu ściany pokrytej bladoniebieską tapetą w złote zawijasy w kształcie skrzy-
piec. Właściwie jest piękna i pewnie słono kosztowała, ale aż oczy bołą, jak się w nią długo
wpatrywać. Pan Fahrenheit przywiązuje wielką wagę do wystroju wnętrza. Przykłada się też
pilnie do chłania i ćpania, za to do sprzątanía wcale. Jego dom jest dziwną mieszanką dwóch
różnych stylów: aspiracyjnego, w pełnej gotowości do sesji fotograficznej, oraz dokumentacyj-
no-wspominkowego gniazda rozpusty – popielniczki przewrócone kopniakiem na drogą wy-
kładzinę z sizalu, pudełka po jedzeniu na wynos stojące naprzeciw designerskich krzesel, jak-
by stanowiły podnóżki do kompletu.

Pan Oklapnięta Grzywka ma stylówkę podobną do pana Fahrenheita: koszula w kratę nałożona na biały T-shirt, spłowiałe dzinsy. Jedyna różnica wynika z wyboru obuwia: pan Fahrenheit lubi sportowe klapki, a Oklapnięta Grzywka nosi przeróżne kowbojki. Zauważam jego plecaczek oparty o te, które ma na sobie tego wieczoru. Wolę nazwę „trawiaczek”.

– Świetny płaszcz przeciwdeszczowy – drwi głośno kudłata nauczycielka tańca, nie pa-
trząc na mnie. – Ciasno zasznurowany kapturek – to się nazywa styl.

Reszta się śmieje. To pierwszy raz, kiedy pan Fahrenheit mnie zbluzgał, pierwszy raz, gdy
jego przyjaciele wzięli jego stronę. Czekam, aż osłabnie uczucie upokorzenia, i mówię sobie,
że to nieważne, co jacyś tam nieuprzejmi obcy ludzie myślą o moim płaszczu przeciwdeszczo-
wym. Mam nadzieję, że nie płacze. Gdy uspokajam się na tyle, by móc się odezwać, mówię:

– Możesz mnie dziś zignorować, Justinie, ale problem związany z twoim zachowaniem nie
zniknie. Jeśli mnie nie posłuchasz, będę musiała rozejrzeć się za kimś innym, kogo posłu-
chasz. Może na przykład zwrócić się do policji.

– Powodzenia, koleżanko – rzuca Angie, podkreślając sarkastycznie drugie słowo. – Możesz
sobie pomarzyć. Nikt nie zabroni nam słuchania piosenek w naszym własnym domu w sobot-
ni wieczór.

– W czyim domu? – drażni się z nią Justin.

Ona udaje, że wtóruje mu śmiechem, ale nie sędzę, by ten dowcip podobał jej się tak samo
jak jemu.

– Louise! – Justin wskazuje mnie uniesioną ręką. Bardziej przypomina to salutowanie. –
Obiecuję ci, że pewnego dnia znajdziesz się po drugiej stronie i ktoś w taki sam gówniany
sposób popsuje ci zabawę. Tak! Gdziekolwiek zamieszkas, kiedy twój syn będzie nastolat-
kiem, o ile nie wybierzesz zabitego dechami odludzia, jakaś cipa zacznie bębnić ci w okna,
jak tylko twój chłopak zechce się trochę wyluzować ze swoimi kumplami. I wtedy pomyślisz:
Co za pieprzona cipa, przecież oni tylko się bawią. Wiesz co, Louise? W tej chwili to ty jesteś
tą cipą. – Kiwa głową, jakby wygłosił jakąś głęboką mądrość. – Ach, czekaj, przepraszam, za-
pomniałem, że twój syn już opuścił dom, prawda? Pozbyłaś się go, tak? Ileż on ma lat? Sie-
dem? Założę się, że w twoim domku jest bez niego miło i cicho. Właśnie dlatego to zrobiłaś?
Cała ta brednia z chórem to tylko wymówka, co? Czyżby pewnego dnia zbyt głośno podkręcił
sobie muzykę z pieprzonego serialu *Balamory*?

Dosłownie mnie zamurowało. Nie mogę uwierzyć, że sąsiad coś takiego powiedział. Że tak
pomyślał, nawet będąc wściekły. Nie mógłby tego powiedzieć, gdyby wcześniej tak nie pomy-
ślał.

A jednak. Powiedział i pomyślał.

Nie potrafię znaleźć żadnych słów w odpowiedzi. Justin dostałby niezłą nauczkę, gdybym
jutro o tej porze stała w tym samym miejscu, wbita w ziemię jego okrutnymi słowami.

– Daj spokój, Jub – rzuca ostrzegawczo Angie.

Wydaje się zaniepokojona. Ciekawe, czy wyglądam groźnie: jakbym zamierzała wdrapać się przez okno do środka – ociekająca wodą zakapturzona czarna postać – i wydusić z niego życie. Jakże kusząca myśl.

– Spławiła siedmioletniego syna? – upewnia się nauczycielka tańca. – O kurwa, serio?

– A może wolałabyś, żebym puszczał muzykę klasyczną? – pyta szyderczo pan Fahrenheit. –

Czy nadal psułabyś mi każdą cholerną zabawę, gdybym puszczał... dajmy na to Mozarta?

Zastanawiam się, dlaczego naśladuje Hitlera, przykładając palec pionowo nad górną wargą. Potem dociera do mnie, że nie chodzi o wąsy. Ten gest – uniesienie koniuszka nosa – ma oznaczać snobizm.

– Mozart? – śmieje się Pan Turystyczne Buty. – Akurat coś masz!

– Tak się składa, że owszem – odpala pan Fahrenheit. – Trzeba mieć muzykę klasyczną.

Prawda, Louise? – Do przyjaciół rzuca: – Chcecie posłuchać, prostaki?

Nikt nie chce. Jęczą, klną, śmieją się.

– Wygląda na to, że tylko ty i ja, Louise, jesteśmy ci kulturalni. Snoby. – Pochyliła się ku dzielącej nas barierze z deszczu i puszcza do mnie oko.

Nie mogę tu dłużej tkwić. Tak szybko, jak tylko mogę, uważając, by się nie poślizgnąć, wspinam się po schodach na ulicę i pędzę do domu, żegnana hucznymi brawami pana Fahrenheita i jego przyjaciół.



– Stuart! Stuart!

Same słowa nie wystarczą. Dźgam go w ramię koniuszkami palców. Otwiera oczy i gapi się na mnie, leżąc na plecach.

– Co?

– Słyszysz? Posłuchaj.

– Louise. Lepiej, żeby to był już ranek.

Jestem innego zdania. Lepiej, żeby ranek nie nastał, dopóki nie złapię przynajmniej sześciu godzin snu. Teraz, kiedy nie muszę szykować Josepha do szkoły, mogę pospać dłużej, ale właśnie z tego powodu tak się nie dzieje. Każdego ranka uruchamiam się o wpół do siódmej, dokładnie o tej porze, kiedy musiałam wtedy wstawać. To codzienny protest mojego ciała przeciwko nieobecności syna.

– Przykro mi. Jest środek nocy – mówię.

Nie mogę pozwolić sobie na to, by zdefiniować obecną chwilę jako ranek, chociaż technicznie rzecz biorąc, tak jest. Jeszcze nie zaznałam nocy. To paradoks Głośnego Sąsiada. Czy mówi się: „Przecież jest trzecia nad ranem!”, by dać do zrozumienia samolubnemu prostakowi zza ściany, że jest bardzo, ale to bardzo późno? „Czwarta rano”, „piąta nad ranem”? W którym momencie to zaczyna brzmieć tak, że niby czynni ludzie już podśpiewują sobie pod prysznicem, wciskają włączniki ekspresów do kawy, szykują się, by pobiec do biura?

Stuart chwyta obiema rękami brzeży poduszki, po lewej i prawej stronie głowy, i próbuje naciągnąć je sobie na twarz, jakby starannie pakował samego siebie przed wysyłką.

– Środek nocy – powtarza. – W takim razie powinienem jeszcze spać.

– Słyszysz muzykę?

– Tak, ale ona nie wytrąca mnie ze snu. Od tego mam żonę.

– To Verdi. Przedtem leciał Bizet i kawałek Pucciniego.

Na ścianie akademika St John's College znajdującego się na tyłach naszego domu włącza się lampa monitoringu, świeci mi prosto w twarz. Widocznie jakiś samochód za blisko podjechał do budynku. Pochylam się i przesuwam zasłonkę w prawo. Jest zbyt wąska: musimy wybierać, którą część okna chcemy zasłonić: po stronie lampy czy okien sypialni studentów.

– Pan F. dostał pewnie CD z hitami klasyki jako darmowy dodatek do niedzielnej gazety – mówi Stuart, znów zamykając oczy.

– To jest wymierzone przeciwko mnie – wyjaśniam. – Melodyjne „pieprz się”. Znudził się atakowaniem mnie swoją muzyką, więc teraz używa takiej, którą uważa za moją.

– Czy ty nie masz przypadkiem paranoi?

Mogłabym się przyznać do tego, że poszłam do sąsiada, odbyłam kolejną kłótnię z panem Fahrenheitem, w trakcie której wypłynął temat muzyki klasycznej. Stuart nie zna tego kontekstu. Gdybym mu powiedziała, co zaszło, przyznałby, że mam rację co do złośliwości tego ostatniego hałaśliwego ataku, ale również by mnie skrytykował; „skryztorcował”, jak powiedziałby Joseph (wymyślił słowo, z którego jest bardzo dumny, skontaminował słowa: skrytykować i obsztorcować), za to, że poszłam sama: bezbronna kobieta bez męża, który mógłby mnie obronić. A wtedy ja też mogłabym go „skryztorcować”, bo jestem wykończona i sfrustrowana i trudno by mi było zachować umiar. Mogłabym podniesionym głosem przypomnieć, że ilekroć proponuję, żebyśmy odwiedzili pana Fahrenheita razem, by złożyć skargę, albo żeby Stuart poszedł dla odmiany zamiast mnie, zawsze odpowiada tak samo:

– Daj spokój, Lou, nie nakręcaj się tak. Słuchaj, przecież lepiej unikać scen. Niedługo może uznać, że jednak jest już noc.

Może noc, a może ranek. Może balanga, a może spotkanko towarzyskie.

Dlatego właśnie chodzę na skargę sama. Ponieważ mój mąż zawsze woli się wstrzymać, usatysfakcjonować się poczuciem, że nie jesteśmy parą postrzelonych zadymiarzy.

– Zamierzam zadzwonić na policję – oświadczam.

– Co? – Stuart dźwiga się do pozycji siedzącej i pociera wewnętrzne kąciaki oczu kciukami, dłonie sterczą mu przy twarzy jak poroże. – Lou, przyhamuj na chwilę, proszę cię. Policję?

Tak, tak, policję. Policję z Cambridge. Nie SS, tylko miłego, uczynnego posterunkowego w mundurze, który powie coś uspokajającego w rodzaju: „Czy mógłbym uprzejmie prosić, żeby pan nieco ściszył muzykę?”. Raczej nie zrobią nalotu na narkotykową melinę pana Fahrenheita, przyozdobioną tapetą Farrow&Ball, i nie podziurawią go kulami. A szkoda.

– Nie mogę zasnąć przy tym hałasie dudniącym za ścianą, Stuarcie. Co jeszcze mam zrobić? Próbowałam z nim rozmawiać, kilkanaście razy, i nic się nie zmienia. Nawet nie udaje, że tak się stanie! Jest dumnie, bezczelnie głośny, tylko że nazywa to „niegłośny”.

Stuart sięga do łańcuszka swojej lampki nocnej i ciągnie. Potem, jakby światło stanowiło afront dla pokoju pełnego nocy, podczas której powinien spać, znów je wyłącza.

– Być może telefon na policję jest rozsądnym kolejnym krokiem, ale nie dziś w nocy, Lou.

– A niby kiedy?

– Z samego rana? – rzuca z nadzieją w głosie.

– Czyli kiedy pan Fahrenheit będzie spał i nie będzie słyszał żadnej muzyki? – pytam, sądząc, że to wystarczy, by wytrącić męża z chwilowego otępienia umysłowego, ale najwyraźniej tak nie jest.

– Tak. Nie potrzebujesz dudnienia utworu *Video Killed the Radio Star*, by udowodnić swoją rację. Możesz wyjaśnić sytuację, opowiedzieć, jak było. Przecież policjanci nie będą wątpić w twoje słowa.

– Doprawdy? A nie sądzisz, że pomyślą od razu: Hm... ciekawe, czy ten sąsiad rzeczywiście zbyt głośno puszcza muzykę, czy ta kobieta jest neurotyczną głędą, która stara się każdemu popsuć zabawę. Gdybyśmy tylko mogli usłyszeć tę muzykę i osądzić sami – ułatwiłoby to nam sprawę...

– No dobrze, posłuchaj, po prostu... muszę zasnąć, Lou. Imran przychodzi z samego rana. Jak nie możesz spać tutaj, idź na strych i śpij na sofie w moim gabinecie.

Nie, nie. Chcę spać we własnym łóżku. Jeśli się wyniosę gdzieś indziej, to znaczy, że pan Fahrenheit wygrał. Zresztą i tak bym nie mogła zasnąć. Leżałabym płasko na plecach, sztywna jak deska, z bijącym sercem, a myśl, że pozwoliłam się wypłoszyć z własnej sypialni, tłukłaby mi się w mózgu jak uprzykrzona mucha.

– Jeśli wezwiesz teraz policję, a oni powiedzą, że przyjadą, to znaczy, że nie będę mógł się położyć nie wiem jak długo...

– Nie – odpowiadam tonem, który, mam nadzieję, jest spokojny i życzliwy.

Stosuję wobec męża tę samą zasadę co wobec mojego nieliczącego się z innymi, cholernego sąsiada: lepiej nie pozwolić im dostrzec, jaka jestem wściekła, bo mogą wykorzystać to przeciwko mnie.

– Możesz spać. Ja i tak nie dam rady. Sama porozmawiam z policjantami, zakładając, że zdołają szybko przyjechać.

Stuart podskakuje w łóżku, jakbym mu rzuciła na kolana granat ręczny.

– Nie chcę, byś robiła to sama – sprzeciwia się. – Proszę, czy możemy dziś w nocy dać sobie z tym spokój? Jestem wykończony, Lou. Ty pewnie też.

On pierwszy, ja na drugim miejscu. To nie znaczy, że jest samolubny, mówię sobie. Rzecz naturalna, że myśli się najpierw o sobie. Wszyscy tak robimy. Ja też jestem samolubna. Całe szczęście, że nikt nie może czytać w moich myślach i zobaczyć listy rzeczy, które za moim przyzwoleniem mogłyby się przydarzyć panu Fahrenheitowi, byleby już więcej nie zakłócał mi spokoju w nocy.

Stuart nie zauważył, że spodnie od piżamy mam przemoczone aż do kolan. Przypuszczam, że trudno dostrzec taki szczegół po ciemku. Gdyby to zobaczył, zarzuciłby mi, że popadam w przesadę: on za nic nie przemoczyłby sobie ubrania, chyba że chodziłoby o czyjeś życie, a nawet wtedy musiałby to chyba być jego krewny.

– Masz rację – przyznaję neutralnym tonem. – Pójdę na stryszek. Śpij sobie. Przepraszam, że cię zbudziłam.

– Dobrze – odpowiada Stuart z ulgą.

Jest taki łatwowierny. Kocham swojego męża, ale bez wątpienia moje życie toczy się łatwiej, kiedy mówię mu możliwie mało. To żadna nowość: po raz pierwszy zauważyłam, że tak jest, wkrótce po narodzinach Josepha, choć trudno byłoby mi wymienić sprawy, które zataiłam – zawsze chodzi o drobiazgi, o których następnego dnia zapominam. Staję się kłamczuchą, która nic nie ukrywa.

Stuart wydaje z siebie odgłos typu: „Jestem zbyt zmęczony, by powiedzieć dobranoc”. Wiem, że za kilka sekund znów pogrąży się we śnie, pomimo głośnego Verdiego. Jego talent do spania w niemal każdych warunkach jest przyczyną tego, że potrafi z takim optymizmem

odnosić się do weekendowych wybryków pana Fahrenheita: jego sen nie jest zagrożony, jedynie mój.

– A ten... Imran, jutro... – mruczę. – Czy... możesz to przełożyć?

– Nie bardzo. Przychodzi o ósmej trzydzieści. Trzeba liczyć się z tym, że zabawi przynajmniej z godzinę, a w Saviour musimy być na dziesiątą...

– Nie... chodzi mi o to, czy mógłbyś go w ogóle odwołać? Po prostu... no wiesz, nie musimy się z tym spieszyć, prawda?

– Ma zacząć w poniedziałek. Co jest? – Stuart włącza swoją lampkę nocną. – Co znaczy ta mina? Louise, przecież już wszystko omówiliśmy.

– Trzydzieści tysięcy funtów to dużo pieniędzy, a nie ma co ich wydawać na dom, w którym być może nie zostaniemy, zwłaszcza że ten wydatek i tak nie jest niezbędny.

– Być może nie zostaniemy? Odkąd to? Czy chodzi o pana Fahrenheita?

– Nie chcę żyć w jego sąsiedztwie.

Stuart wyraża niezadowolenie poprzez wychylenie się do przodu i pad na swoją stronę łóżka. Podnosi moją poduszkę i przykrywa sobie nią twarz.

– To zupełne przeciwieństwo tego, co mówiłaś wczoraj. Powiedziałaś: „nie dam się wykurzyć...”.

– Zmieniłam zdanie.

– Słuchaj, jeśli na serio mówisz o przeprowadzce, to na pewno nie dzwoń na policję. Jak sprzedajesz dom, musisz zgłosić wszystkie oficjalne skargi dotyczące hałasu u sąsiadów, bo w przeciwnym razie kupujący może cię pozwać do sądu.

Zastanawiam się, czy to oznacza, że możemy pozwać tę kobietę, która nam sprzedała dom. Powiedziała, że chce się przeprowadzić, bo dom jest zbyt duży dla samotnej kobiety. Ciekawe, czy to był tylko częściowy powód.

– Nie mogę mieszkać obok Justina Claya – oznajmiam Stuartowi. – Nawet jeśli już nigdy nie puści ani jednej piosenki, nie zniosę jego bliskości, zwłaszcza teraz, kiedy wiem, jaki jest. To jak... życie na terytorium wroga. Poważnie, Stuarcie, czy możesz wysłać teraz esemesa do Imrana i go odwołać?

Czy gdybym wyjawiała, co Justin powiedział o odesłaniu Josepha w celu zapewnienia ciszy w domu, coś by to zmieniło? Przez chwilę nie mogę się z tym zmierzyć. Chcę jedynie odepchnąć jak najdalej od siebie świadomość, że to się stało, wspomnienie o tym.

– Nie będę podejmował teraz żadnych decyzji, Lou, a ty też nie. Obojgu nam potrzeba trochę odpoczynku. Proszę.

Co oznacza, że nie zamierza wysłać do Imrana esemesa z prośbą, by jutro nie przychodził. A kiedy się zbudzi, zrobi się na to za późno: Imran będzie już w drodze.

Ostry strumień rozczarowania zanika i krzepnie, jak to bywa ostatnimi czasy. Zmienia się w szary kamyczek, który toczy się wolno po spiralnej zjeżdżalni, zwężającej się na samym końcu, a wreszcie wpada wprost w jamę mojego brzucha. Kiedy słaby dyskomfort z powodu spadania i lądowania przemija, nie czuję już nic więcej.

Oczywiście wiem, że tak naprawdę nie ma żadnej spiralnej zjeżdżalni w moim ciele, a zgłuszona nadzieja nie może przemienić się w szary kamyk. To zabawne, że czasem daje się opisać coś z doskonałą dokładnością tylko wtedy, gdy jest się szokująco niedokładnym.

– Jutro po południu, jak tylko wrócimy, pójdę do Fahrenheita i rozmówię się z tym gamoniem – obiecuje Stuart. – Powiem mu, że to ostatnie ostrzeżenie i następnym razem złożymy

oficjalną skargę.

– Po co czekać aż do popołudnia? – pytam. – Może zrobisz to o ósmej rano, przed przyjściem Imrana?

Stuart chichocze.

– Czy widziałaś kiedykolwiek, by pan F. wyłaniał się przed południem?

– Czyli... nie chcesz go budzić, tak?

Widać, że czuje się przyłapany. Potem mówi:

– Możemy jednak postarać się załatwić to polubownie, Lou. Jeśli zbudzimy go o ósmej, nie będzie otwarty na żadne nasze argumenty.

Tchórzostwo pod płaszczykiem strategii. Kolejny szary kamyczek sunie w dół po kręgach zjeżdżalni, zwalniając po drodze, co stoi w sprzeczności z – jak go tam zwał – naukowym prawem dotyczącym staczania się małych przedmiotów.

Klepię Stuarta po ramieniu.

– Idź spać – mówię. – Jutro czeka nas mnóstwo zajęć.



Telefon dzwoni raz, a ja rzucam się, by go odebrać.

– Halo?

– Pani Beeston?

– Tak, to ja.

– Tu Trevor Chibnall, samorządowy inspektor sanitarny Cambridge. Oddzwaniam do pani.

– Tak. – Któż inny mógłby to być o drugiej nad ranem? I wcale nie oddzwania: mówi, jakbym wcześniej zostawiła dla niego wiadomość.

– Jak mniemam, skontaktowała się pani z policją w związku z zakłócaniem ciszy nocnej i tam polecono pani porozumieć się w tej sprawie z samorządem?

On mniema? Przecież właśnie to mu oznajmiłam, gdy rozmawialiśmy przed zaledwie kilkoma minutami. Kusi mnie, by odrzec: „Ależ skąd, myli się pan”, żeby zobaczyć, czy powie: „Ale... przecież sama mi tak pani wcześniej oświadczyła”.

– Dziękuję, że pan oddzwania – mówię, chociaż nie rozumiem, dlaczego stworzył taką potrzebę, przerywając naszą pierwszą rozmowę telefoniczną. Nie wyjaśnił mi tego, jedynie poprosił o nazwisko i numer oraz powiedział, że wkrótce się skontaktuje. Zakładałam najgorsze – że miał na myśli dni, a może nawet tygodnie – spytałam więc, co oznacza „wkrótce”, po to tylko, by się dowiedzieć, że moja wściekłość nie znajdzie ujścia, gdyż poinformował mnie, że za dziesięć do piętnastu minut.

Dotrzymał słowa, więc teraz nie wiem, co począć ze swoim bezpodstawnym poczuciem opuszczenia. Kłapie przy moim sercu jak pusty wór skóry po liposukcji.

– Numer, który podano pani na policji, to numer alarmowy. Czy chodzi o przypadek hałasu, który zaklasyfikowałyby pani jako nagły?

Staram się skupić na pytaniu Chibnalla, a nie jego tonie, który sam w sobie wystarczy, by nabrać przekonania, że nic, z czym on będzie miał do czynienia, nie nastąpi szybko. Jego głos jest głęboki, poważny i wyprany z emocji. Świetnie się nadaje do mówienia osobie pogrążonej w śpiączce, by się nie opierała i podążała w stronę światła.

– To nagły przypadek w tym sensie, że chcę, by natychmiast coś z nim zrobiono – mówię. –

Nadal mam nadzieję, że jeszcze trochę pośpię tej nocy. W swoim własnym łóżku. – Czy słyszy pan muzykę?

– Tak.

– Głośna, prawda? Nie puszczam jej w swoim domu. Dobiega od sąsiada. – Nie znając upodobań muzycznych Chibnalla, nie dodaję: „Możliwe, że to Rachmaninow, ale dziesięć minut wcześniej leciał Wagner”.

– Poproszę o adres.

– Weldon Road numer siedemnaście.

– Cambridge?

Nie, Southampton. Dlatego właśnie zadzwoniłam do inspektoratu sanitarnego Cambridge.

– Tak.

– Poproszę o pełne personalia.

Nie podoba mi się kierunek, w jakim to wszystko zmierza. Jego reakcje wydają się chybiłoby. Raczej wcale nie reaguje, chociaż powinien. Miałam nadzieję, że nasza rozmowa potoczy się następująco:

„Głośna, prawda? Nie puszczam jej w swoim domu. Dobiega od sąsiada”.

„Chyba pani żartuje! Poważnie? No nie, to przechodzi wszelkie pojęcie! Nie może pani być zmuszana, by znosić coś takiego o tej porze! Proszę czekać na miejscu, a ja zaraz tam przyjadę i rozprawię się z tym draniem”.

Jaki jest sens istnienia inspektora sanitarnego od hałasu, skoro wieści o niestosownym hałasie nie doprowadzają go do mściwej histerii?

– Louise Caroline Beeston – mówię więc.

– Kod pocztowy?

– CBI 2YL.

– Pełny adres sąsiada?

– Weldon Road numer dziewiętnaście. Ten sam kod pocztowy, jak przypuszczam.

– Owszem.

Skąd on to wie? Czyżby siedział obok tablicy pokrytej zdjęciami najbardziej hałaśliwych zakątków Cambridge, z ich personaliami wypisanymi niebieskim ścieralnym długopisem pod zdjęciami policyjnymi: wrogowie publiczni, na których Chibnall i jego zespół polują od lat, ale nigdy nie byli w stanie ich przyszpilić.

Albo to, albo oglądam za dużo telewizji.

– Od jak dawna mieszka pani pod siedemnastką? – pyta. Intonacja zupełnie nijaka.

– Od pięciu miesięcy. – A jakież to ma znaczenie?

– A pani sąsiad od jak dawna przebywa pod numerem dziewiętnastym?

Biorę głęboki oddech. Potem następny. Jak długo inspektor Chibnall zamierza zatrzymywać się na nudnych, nieistotnych szczegółach?

– Odkąd się wprowadziliśmy. Tyle tylko wiem.

– Jak się nazywa pani sąsiad?

– Justin Clay. Nie wiem, czy ma jakieś drugie imię.

Aby przypomnieć Chibnallowi, że jestem osobą, a nie tylko źródłem danych, mówię:

– Mój mąż i ja nazywamy go panem Fahrenheitem. No wie pan, tym z piosenki Queenów, *Don't Stop Me Now*. Bez przerwy ją puszcza. Tak więc... proszę, by pan go teraz powstrzymał.

– Udaję, że się śmieję, a potem czuję się jak idiotka.

– A więc pan Clay mieszkał już pod numerem dziewiętnastym, kiedy pani przeniosła się pod siedemnastkę? – pyta Chibnall i widać, że moja próba ożywienia rozmowy spęzła na niczym.

– Tak.

– Ile osób łącznie mieszka pod numerem dziewiętnastym?

O Boże, to jest nie do zniesienia. Może jeszcze spyta mnie, czy pan Fahrenheit ma jakieś zwierzęta domowe? Czy zamierza rozwiązać mój problem, zadając nieistotne pytania tak długo, aż wreszcie umrę ze starości?

– Tylko on. Chociaż jego dziewczyna spędza tam dużo czasu.

– Ale nie jest stałą mieszkanką domu?

– Nie.

– Czy może pani mi opisać, na czym polega natura problemu? – pyta Chibnall.

– Co drugi lub trzeci sobotni wieczór sąsiad puszcza głośno muzykę, co nie pozwala mi zasnąć. Czuję, jak basy dudnią w moim domu.

– A tak mniej więcej w jakim przedziale czasowym się to odbywa? Czy może w różnych?

– Niezupełnie. Zawsze najpierw idą do pubu na kilka drinków, więc zaczyna się około dziesiątej. A kończy pomiędzy pierwszą a pierwszą trzydzieści. Halo? – mówię, gdy Chibnall nie odpowiada.

– Teraz jest już później – zauważa.

– Owszem. Nigdy jeszcze tak daleko się nie posunął i to jego sposób na powiedzenie: „pieprz się”. Zaszłam do niego mniej więcej przed dwiema godzinami i poprosiłam o wyłączenie muzyki. To ma być kara. Jednak nawet jeśli nie wymierza mi kary, muzyka zawsze gra tak głośno, a nawet głośniej, i zwykle są to utwory z tekstami, a pan... Clay i jego przyjaciele wyją je przeraźliwie głośno.

Po pijaku. Nie mówię tego, bo nie chcę wyjść na świętoszkę. A wcale nią nie jestem. Mam przyjaciół, którzy piją o wiele za dużo, ale do głowy by im nie przyszło, żeby pozbawiać sąsiadów snu albo spokoju ducha. Można być alkoholikiem, który liczy się z innymi.

– Przecież to, co on mi robi, jest nie w porządku, prawda? Czy może pan... to znaczy, czy jest coś, co może pan zrobić, by go powstrzymać? Zapewne łamie prawo – zakłócanie spokoju, społeczne zachowania.

– Przed wydaniem opinii ktoś musiałby przyjść do pani i ocenić sytuację.

– Słusznie. – Wściekłość kuli się ciasno w moim wnętrzu. – Więc... czy tą osobą mógłby być pan dziś wieczorem?

Próbuję pokryć sarkazm niewinnym żartem i wychodzi mi z tego groteskowa parodia hollywoodzkiej komedii romantycznej. Krzywię się do siebie w lustrze umieszczonym nad kominem. Moja skóra wydaje się wyblakła. Jest w niej o wiele za mało koloru, podczas gdy wszystko inne w moim salonie ma go zbyt wiele: fioletowe kwiaty na zasłonach zdają się pulsować na zieleni w odcieniu mięty; biała ściana za mną zdaje się niemal żółta. To przez światło: o wiele za jasne, parodiujące dzienne. Powinno zostać wyłączone wiele godzin temu. Przyciemniłabym je nieco, ale stoję zbyt daleko od regulatora, a poza tym jest coś posepnie satysfakcjonującego w tej okropnej wizji mojej wynędzniałej osoby: oto co mi uczynił pan Fahrenheit.

– Jeśli zdołam wepchnąć panią w grafik przed przekazaniem dyżuru, zajmę się tym osobiście – mówi Trevor Chibnall. – Jeśli nie, robi to mój kolega. Sądzę, że takie rozwiązanie jest

bardziej prawdopodobne. W każdym razie ktoś powinien zjawić się u pani w ciągu godziny.

– Och.

Tego nie oczekiwałam. Przez chwilę ważę jego słowa w myślach, by sprawdzić, czy właściwie je zrozumiałam. Wygląda na to, że tak. Najwyraźniej coś się wydarzy. Zwiodła mnie bierność w jego głosie. Trevor Chibnall zamierza przystąpić żwawo do działania. Mam nadzieję, że będzie ono polegało raczej na przysłaniu kolegi, a nie samego siebie. Chętnie poczekam nieco dłużej, jeśli przybędzie ktoś, kto umie nadać swemu głosowi pewną ekspresję.

– Świetnie – mówię.

– Dziękuję za telefon.

– Chwileczkę... jak pan kogoś do mnie przysłał... czy to się robi oficjalne? – pytam. – To znaczy... czy zostaje gdzieś formalnie zarejestrowane? Mój mąż uważa, że możemy mieć problem ze sprzedażą domu, jeśli zgłosimy problem z hałasem, więc...

– Nie, sprawa nie nabierze charakteru oficjalnego tylko dlatego, że do pani przyjedziemy.

– Nie żebyśmy się chcieli wyprowadzać i miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli, ale...

– Rozsiewanie strasznych historii o tym, że nie można sprzedać domu z powodu scysji sąsiedzkich na tle hałasu, nie sprzyja naszym działaniom – mówi. – Kiedy dowiadujemy się, że ktoś zakłóca ciszę, podejmiemy odpowiednie kroki, by uzdrowić sytuację.

Dla kogoś z większą wyobraźnią to mógłby być eufemizm oznaczający odcięcie głowy panu Fahrenheitowi. Jednak nie dla Chibnalla, jak sądzę. Wyobrażam sobie, jak apatycznie дума o wypełnianiu formularzy. Pewnie w jaskrawym świetle jarzeńówek w swoim biurze wygląda równie wymoczkowato jak ja w swoim lustrze w salonie. Nie potrafię dobrać dla niego w wyobraźni żadnej twarzy: bezkształtna bura plama to wszystko, na co mogę się zdobyć.

– Gdy konflikt zostaje zażegnany, nie ma powodu, by ktoś nie kupował domu, w którym wcześniej zakłócano ciszę – gładzi dalej. – Jednak nie możemy znaleźć dowodów na zakłócanie ciszy i wszcząć odpowiedniego postępowania zapobiegawczego, jeśli ludzie nie zgłaszają takiego problemu, bo słyszeli od przyjaciela czy kolegi, że musiał takie zgłoszenie zadeklarować, a potem nie mógł przez to sprzedać domu.

– Zgadza się z panem – mówię.

Chociaż teoretycznie z zadowoleniem zrywam się z miejskim inspektorem sanitarnym przeciw swemu mężowi, trochę się martwię, że Chibnall wydaje się bardziej zorientowany w kwestii siania paniki związanej ze sprzedażą domów niż zachowania pana Fahrenheita.

– Dlatego właśnie zgłaszam ten problem i bardzo liczę na jego rozwiązanie.

– Oficer sanitarny wkrótce do pani przybędzie, pani Beeston – mówi Chibnall.

– Dziękuję.

Na drugim końcu linii zapada cisza. Odkładam słuchawkę, idę do kuchni, gdzie muzyka pana Fahrenheita jest nieco mniej słyszalna, napełniam czajnik wodą i włączam go. Potrzebuję mocnej herbaty. Minęła druga w nocy, jestem wykończona i wiem tylko, że zapowiada bardzo ważne, w moim przekonaniu, spotkanie.

Zastanawiam się, czy powinnam się do niego jakoś przygotować. W domu nie trzeba nic uprzątnąć: wszystko jest w porządku i robi dobre wrażenie. Nie walają się tu puste butelki po winie, nie ma przewróconych popielniczek.

Nie ma żadnych dowodów na to, że mieszka tu jakieś dziecko. Wszystkie zabawki Josepha leżą skrzętnie spakowane w jego pokoju, co zostało zrobione na początku semestru.

Bębnię dłońmi po blacie w kuchni, czekając, aż woda się zagotuje. Czy Chibnall albo jego

kolega będzie musiał przeprowadzić inspekcję w całym domu, na każdym piętrze? A jeśli spyta, dlaczego jest tu pokój, który wyraźnie należy do dziecka, lecz stoi pusty? Będzie musiał sprawdzić dokładnie, jak daleko dobiega dźwięk, ale może, jeśli zamknę drzwi do pokoju Josepha, to wtedy tam nie wejdzie.

Mam lepszy pomysł: jeśli zamknę drzwi pokoju Josepha, będę mogła powiedzieć Chibnallowi, że Joseph tam jest, śpi. Tak, to kłamstwo, ale nieszkodliwe. Może nawet nie będę musiała mówić mu tego wprost. Na drzwiach jest przyklejona kartka z napisem „Pokój Josepha”, na którym każda wypisana chwiejnymi kapitalikami litera ma inny kolor. Jeśli Chibnall zobaczy ten napis na zamkniętych drzwiach, dojdzie do wniosku, że w pokoju za nimi śpi dziecko, i nie poprosi, by go wpuścić do środka. Każdy na jego miejscu przyjąłby takie założenie. Gdzie mógłby być siedmioletni chłopiec przed świtem w niedzielny rano, jak nie w domu, bezpiecznie utulony w łóżeczku?

Przestań. Nie myśl o tym.

Bezpieczny w swoim łóżeczku, z mamą i tatą po drugiej stronie korytarza, w razie gdyby potrzebował czegoś w nocy, gdyby miał zły sen i chciał, by go przytulić...

Schylałam się, z trudem łapię oddech. Dlaczego sobie to robię? Może wszystko nie byłoby takie złe, gdybym nie zapełniała swojego umysłu właśnie takimi słowami, które najbardziej mnie ranią. Jest inny sposób na zdefiniowanie nieobecności Josepha, taki, który nie jest wcale bolesny. Są inne słowa na opis sytuacji, która jest, pod tak wieloma względami, dobrą i szczęśliwą sytuacją – dlaczego więc nigdy ich nie używam?

Pstryknięcie czajnika przywołuje mnie znów do rozsądku. Przysuwam się, nadstawiam twarz na smugę pary: na tyle blisko, by poczuć wilgotne ciepło bez ryzyka oparzenia.

Czy rzeczywiście kilka sekund temu zamierzałam oszukać osobę zajmującą się problemem hałasu z ramienia samorządu w kwestii miejsca pobytu mojego syna? Szaleństwo. Nie wolno mi tego robić. To by implikowało poczucie winy, którego, według Stuarta, nie powinnam odczuwać. Nie zrobiliśmy nic złego: wręcz przeciwnie. Wyrządzilibyśmy Josephowi krzywdę, zatrzymując go w domu, narażając na szwank jego przyszłość. Powiem Chibnallowi prawdę, a jeśli będzie wyglądał na rozczarowanego, zabawię się w Stuarta i powiem te wszystkie rzeczy, które on codziennie wielokrotnie mi powtarza.

Ostrzegając siebie, że nie powinnam – milcząco i usilnie obiecując sobie, że tego nie zrobię – otwieram szufladę, w której trzymam ściereczki. Podnoszę je i wyjmuję plastikową torebkę z marihuaną, którą ukradłam kilka tygodni temu z domu pana Fahrenheita, kiedy poszłam do niego na skargę. Staliśmy w jego kuchni, gdzie pośrodku znajduje się wielka wyspa z granitowym blatem – dodatkowa przestrzeń do obróbki narkotyków – a lśniące srebrne rondle zwisały z sufitu niby nowoczesny artystyczny żyrandol. Pan Fahrenheit się na mnie rozłościł i wyszedł, a ja chwyciłam jedną z trzech torebek trawki z wyspy i wsunęłam do kieszeni dzinsów.

Ciekawa jestem, jak by to na mnie podziało. Czy odprężyłabym się tak bardzo, że już bym się niczym nie przejmowała? Nie mam żadnych papierosów ani bibulek w domu, więc nie mogę przygotować sobie blanta, ale widziałam, jak pan Fahrenheit robił to inaczej: z plastikową butelką i dziurą wypaloną w jej dnie. Sądzę, że butelka w pewnym momencie wypełnia się dymem, ale nie wiem jak ani czy potrzebny jest jeszcze jakiś dodatkowy wihajster – tylko raz widziałam, jak pan Fahrenheit to robił, kiedy przechodziłam koło jego domu, a on zapomniał zaciągnąć zasłony. Był wtedy sam w salonie. Jak zdążyliśmy się zorientować ze Stuar-

tem, Fahrenheit przyjmuje narkotyki we wszystkich pomieszczeniach domu, codziennie, ale muzyki słucha tylko w suterenie.

Wzdycham, bo chętnie bym spróbowała, gdyby to było prostsze, ale nie jest, odkładam więc plastikową torebkę z powrotem do szuflady i zakrywam ściereczkami. Pewnie powinnam ją wyrzucić, na wypadek gdyby Trevor Chibnall miał się na nią natknąć, ale nie chcę. Zresztą mało prawdopodobne, by grzebał mi po szufladach w kuchni. To śmieszne, że martwię się, iż może odkryć nieobecność mojego syna, a nie zapasik nielegalnych narkotyków.

Wrzucam dwie kostki cukru do herbaty z mlekiem, chociaż zazwyczaj nie słodzę. To da mi trochę energii.

Rachmaninow cichnie. Ciekawe, co pan Fahrenheit zagra teraz. Pewnie już rzyga muzyką klasyczną.

No, dalej, panie F. Włącz coś, cokolwiek. Coś naprawdę prostackiego i nachalnego, co potwierdzi moją opinię i nie będę musiała już nic mówić, kiedy zjawi się pan Chibnall.

Odzywa się dzwonek u drzwi.



– Muzyka ucichła dosłownie kilka sekund przed tym, jak nacisnęła pani dzwonek – mówię Patricii Jervis, zastępczyni Trevora Chibnalla, która siedzi na mojej sofie.

Trzyma w jednej ręce kubek z herbatą Earl Grey, którą jej przygotowałam, a długopis w drugiej. Jest niska i przysadzista – dobrze po pięćdziesiątce, jak sędzę, ma kręcone siwe włosy zgarnięte z pozbawionej makijażu twarzy zieloną przepaską, przystającą do całego wyglądu nauczycielki wf-u: granatowy dres, prążkowane białe skarpetki, niebieskoszare trampki. Powiedziała, bym mówiła do niej Pat, bo wszyscy się tak właśnie do niej zwracają, chociaż z jej tonu wynikało, że tak w ogóle to nie jest tym zachwycona. Pisze w notesie, którym balansuje na kolanie.

– Czy zaparkowałaś przed domem? – pytam.

– Hmm? – mruczy, nie podnosząc wzroku. – A... tak, tak.

Pięć sekund na zamknięcie samochodu i sprawdzenie, czy jest zamknięty, kolejnych siedem na podejście do moich drzwi frontowych... Wiem z doświadczenia, że kiedy muzyka dobiegająca od pana Fahrenheita jest słyszalna w moim domu, słyhać ją również na ulicy.

– Czy nic nie słyszałaś, wysiadając z samochodu? – pytam. – Muzyka klasyczna. Była głośna. Musiałaś ją słyszeć.

Pat Jervis uśmiecha się do swego notesu spoczywającego na kolanach.

– Z moim słuchem wszystko w porządku – mówi, uchylając się od odpowiedzi. – Wszyscy musimy przechodzić regularne testy. Nie musisz się obawiać, że ci nie wierzę. Nasz wydział rozstrzyga rocznie ponad dwieście sporów dotyczących hałasu. Spróbujesz zgadnąć, w jak wielu wypadkach zarzuty okazują się bezpodstawne?

Kręcę głową.

– W tym roku, jak dotąd, nie było żadnego. W zeszłym roku jeden. Ludzie nie siedzą po nocach, gadając z inspektorami sanitarnymi po to, by zwrócić na siebie uwagę. Robią to zwykle w rozpaczliwym odruchu szukania ostatniej deski ratunku.

– Tak.

Chybaby jej się nie spodobało, gdybym rzuciła jej się do stóp i powiedziała: „Dziękuję za

okazanie mi zrozumienia”. A może wszyscy tak robią, oprócz tego, że zwracają się do niej per Pat? Czy ktoś kiedykolwiek tak się zachował?

– To wielka szkoda, ale zwykle bywa tak, że osoby poszkodowane z powodu nadmiernego hałasu wątpią, czy ktoś im uwierzy, i nie chcą nikomu sprawiać kłopotu, więc nieraz całymi latami cierpią po cichu.

– Albo cierpią w hałasie – rzucam dowcipnie.

– Tak, przez lata cierpią w hałasie – powtarza mój głupi żarcik z beznamiętnym wyrazem twarzy, a potem znów uśmiecha się do swojego notesu. – Tymczasem aspołeczni sąsiedzi odpowiedzialni za te katusze i zamęt zwykle nie mają takich problemów z pewnością siebie – mówi. – A w każdym razie nie dręczą ich wątpliwości co do własnych praw i słuszności zachowania. Są przekonani, że oficjalne dochodzenie wypadnie na ich korzyść, i są niezwykle zdziwieni, kiedy im mówimy, że jeśli nie zmienią swego zachowania, wystąpimy przeciw nim na drogę sądową.

Katusze. Droga sądowa. To dobre słowa. Wolę Pat Jervis od Trevora Chibnalla. Podoba mi się jej słownictwo. Pochyliła się, by potrzeć kostkę lewą ręką. Zauważyłam, gdy przechadzała się po kuchni, oglądając nadmorskie widoczki wiszące na ścianach, że kiwa się lekko na boki.

– Widzę, że lubi pani obrazy przedstawiające nadmorski krajobraz – powiedziała, dotykając szkła czubkiem palca wskazującego.

Powiedziałam jej, że morze jest tylko w kuchni, w innych pomieszczeniach nie ma tematycznie określonych dzieł sztuki. Tak w ogóle to nie lubię niczego porządkować pod względem tematycznym i nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłam zapełnić ściany jednego konkretnego pomieszczenia w domu obrazami przedstawiającymi łodzie, piaszczyste plaże, fale rozbijające się o odległy horyzont. Powiedziałam o tym Pat Jervis.

– Bardzo interesujące – odrzekła tonem wskazującym na to, że istotnie tak sądzi, choć zarazem pragnie zamknąć temat.

Pracuję nad teorią, że ludzie zatrudniani przez samorząd nie są tacy sami jak reszta z nas. Na razie ta teoria jest we wstępnej fazie rozwoju.

Pat zadaje mi te same pytania co Trevor Chibnall oraz inne. Spisuje moje odpowiedzi. Widzę, że jej dłonie wyglądają starzej niż cała reszta – skóra na nich jest papierowa, sucha i pomarszczona – i dochodzę do wniosku, że byłaby z tego niezła opowieść grozy: o kobiecie, której praca polega na zapisywaniu – dzień po dniu, noc po nocy – szczegółów dotyczących cierpienia innych ludzi, w wyniku czego jej ręce przedwcześnie się starzeją.

Mówi dość przyjaznym tonem, ale wygląda na to, że nawiązywanie kontaktu wzrokowego stanowi dla niej pewien problem. Czy każdy pracownik środowiskowego wydziału zdrowia ma jakąś mocną stronę, która uzupełnia braki innych członków zespołu? Może Chibnall, gdyby tu teraz był, rzucałby mi zadziwiająco współczujące, budujące więź spojrzenia, by zrekomensować monotonię swego tonu, w wyniku czego bardziej bym go polubiła.

– Czy w domu mieszkają jakieś dzieci? – pyta Pat.

Prostuję się na siedzeniu.

– Tak, ale... nie w tej chwili.

– W porządku – zapisuje coś w notesie. – Wspólne sprawowanie opieki nad dzieckiem? Dziecko z poprzedniego małżeństwa?

– Nie, ja... – Nie jest w porządku. Wcale nie jest. – Mój syn mieszka tu w trakcie wakacji szkolnych. Ma siedem lat.

– Ale mieszka tu przynajmniej przez jakiś czas? – pyta Pat.

Czy zauważyła, jak okropnie to zabrzmiało? Czy wychodzę przez to na złą matkę? Gdyby jej sposób bycia był mniej bezpośredni, podejrzewałabym ją o złośliwość, o naumyślne sformułowanie dwuznacznego komentarza, którego nie mogę jej wytknąć pod zarzutem złych intencji.

– To po prostu dość użyteczne w wypadku hałasu, gdy można powiedzieć, że w dotkniętym tym problemem domu mieszka dziecko. Praca domowa, dobry nocny sen, i tak dalej. W kółko to powtarzamy. – Pat chichocze nad swoją herbatą. – Chociaż na ironię zakrawa fakt, że dzieciom z zasady o wiele mniej niż dorosłym przeszkadza hałas, tak to już jest.

Czy powiedziała „wytkniętym domu”? Nie. „Dotkniętym”, na pewno.

Stuart i ja nie musimy się martwić o pracę domową Josepha, Pat Jarvis również nie. Odrabianie lekcji nigdy nie odbywa się w domu. Przedstawiono mi to jako jedną z wielu zalet status quo. Gdy nasza rodzina ponownie zbiera się razem, podczas wakacji szkolnych, możemy się odprężyć i przyjemnie spędzać razem czas, a Stuart i ja nigdy nie będziemy musieli prawić Josephowi kazań, że ma nauczyć się swojego planu lekcji, jak robią rodzice dzieci w szkołach bez internatów.

– No dobrze – mówi Pat, spoglądając na swoje notatki. – Tak więc przy wielu okazjach próbowała pani omawiać sytuację z panem Clayem, a on stale wykazywał brak zrozumienia dla pani kłopotliwego położenia. Czy to pani zdaniem dokładny opis tego, co się działo?

– Tak.

– Tak – powtarza Pat.

– Aż do tej nocy zawsze było tak, że kłócił się ze mną, potem niechętnie godził się trochę ściszyć muzykę, ale zawsze znów ją pogłaśniał, ledwie zdążyłam wrócić do domu i zdjąć płaszcz.

– Wcale mnie to nie dziwi – mówi Pat. – To klasyczna taktyka. Zakłada, że będzie pani zbyt zażenowana albo zmęczona, by wrócić po raz drugi tej samej nocy. Czy kiedykolwiek pani tak zrobiła?

– Nie.

– Nie – powtarza znów za mną jak echo. – Gdyby pani to zrobiła, to wie pani, co by powiedział? „Ściszyłem. Prosiłaś, żebym ściszył, więc ściszyłem”. I uważałyby, że to bardzo sprytny wykręt. No dobrze, czy jest jeszcze coś, o co pani nie zapytałam albo czego mi pani nie powiedziała, a co pani zdaniem powinnam wiedzieć?

– To nie ma związku konkretnie z problemem hałasu – odpowiadam.

– Proszę to z siebie wyrzucić, śmiało – zachęca dziarsko Pat.

– Chodzi o to... że mojego syna tu nie ma. Justin Clay prawdopodobnie powie pani, że odeślałam go, bo zbyt hałasował, ale to kompletna bzdura. Kłamstwo.

Pat podnosi na mnie wzrok. Wreszcie.

– Najlepiej będzie, jak wyjaśni mi pani, o co właściwie chodzi z pani synem – mówi.

– Uczy się w Saviour College, mieszka tam w internacie. Musi, ponieważ nie pozwalają chórzystom mieszkać w domu. Tak. – Kiwam głową, widząc, że Pat unosi brwi. – To wielki Saviour College i oni wszystko wiedzą najlepiej. Mój syn jest nowicjuszem w chórze chłopięcym, który stanowi absolutną elitę szkoły – och, to takie śmieszne i absurdalne dla wszystkich poza głupią, zamkniętą, mającą obsesję na punkcie muzyki bańką Saviour! No bo czy to ma dla ciebie jakiś sens? W szkole jest czterystu uczniów, a trzystu osiemdziesięciu czterech może wy-

brać, czy chce mieszkać w internacie, również z możliwością jeżdżenia do domu na weekend, a szesnastu chórzystów jest na siłę oderwanych od rodziny na cały semestr, bez względu na to, co te rodziny o tym myślą. To jest jak jakieś... okropne, prymitywne składanie ofiar!

– Pani Beeston... – Pat Jervis pochyła się do przodu.

– Możesz zwracać się do mnie Louise.

– Louise. Nie chciałabym sprawiać wrażenia osoby nieczulej, ale... jak to się ma do nieporozumienia pomiędzy tobą a panem Clayem? Tu chodzi o jego antyspołeczne zachowanie, a nie wybory edukacyjne twojej rodziny.

– Tak.

Tylko że ja nie mam wyboru. Doktor Ivan Freeman, dyrektor muzyczny z Saviour, uważa, że Joseph, jako jeden z jego bezcennych nowicjuszy, należy do niego co najmniej w takim samym stopniu jak do mnie i Stuarta. Zdaniem doktora Freemana mamy tak małe prawo do wygłaszania komentarzy, jak według mnie ma pan Fahrenheit.

– Wiem co nieco o Saviour College – mówi Pat. – Moja koleżanka jest tam pokojówką, zabrała mnie raz na występ chóru do kaplicy. Ci chłopcy byli niesamowici. Sądzę, że warto w to wejść, chociaż rozumiem, że wolałabyś mieć syna przy sobie. Jednak to dla niego niezwykła szansa. Moja przyjaciółka twierdzi, że chórzyści z Saviour robią oszałamiającą muzyczną karierę, przynajmniej niektórzy – są słynnymi śpiewakami operowymi, kompozytorami muzyki klasycznej, którzy zgarniają różne nagrody i tak dalej. Mówi, że zostają prawdziwymi gwiazdami. Jeśli twój synek dobrze poradzi sobie w tym chórze, będzie ustawiony na całe życie. Poza tym zdaje się, że chórzyści nie muszą płacić czesnego? Nie można zrezygnować z takiego układu, prawda?

– Jeśli chodzi o sprawę zakłócania ciszy, jaki jest kolejny krok? – pytam szorstko.

Przemowa Pat na temat korzyści edukacyjnych chórzysty Saviour jest zadziwiająco podobna do tych, które wygłasza regularnie doktor Freeman. Słyszałam również różne wersje tej gadki od wielu rodziców pozostałych chórzystów. Przypuszczam, że muszą próbować wierzyć, że warto.

– Kolejny krok. – Pat zamyka notes z takim trzaskiem, że aż podskakuję. – Jeśli chcesz oficjalnie zgłosić sprawę, mogę zorganizować wysyłkę zawiadomienia do pana Claya w poniedziałek rano, priorytetem, więc otrzyma je we wtorek. Na początku jedynie zawiadomimy go, że została złożona skarga oraz co może nastąpić później...

– Mianowicie?

– No cóż, poinformujemy go, że będziemy monitorować sytuację – odpowiada Pat.

Monitorować. Brzmi to koszmarnie zniechęcająco.

– W razie niepożądanego hałasu w przyszłości od razu do nas zadzwonisz, a my ocenimy stopień zakłócenia spokoju. Jeśli uznamy, że problem istnieje, porozmawiamy z panem Clayem osobiście, damy mu ostatnią szansę, by zachowywał się rozsądnie. Jeśli nadal będzie uciążliwy, złożymy zakaz naruszania ciszy.

Staram się słuchać tego, co mówi, ale paranoiczny bełkot w mojej głowie zagłusza jej głos. A co jeśli za każdym razem będzie robił to, co tej nocy? Będzie wyłączał muzykę na widok jej samochodu podjeżdżającego pod dom, w związku z czym ona nigdy go nie przyłapie, nigdy nie będzie mogła ocenić hałasu i uznać go za problematyczny?

Jestem taka zmęczona. Mój mózg jest niczym napuchnięty balon, który ma zaraz wybuchnąć.

– Później, po stwierdzeniu, że narusza zakaz, poczynimy poważne kroki – ciągnie Pat. – W grę wchodzi konfiskata sprzętu muzycznego – głośników, całej aparatury nagłaśniającej. Czasami kierujemy nawet sprawę do sądu. Ludzie dostają grzywny, niektórzy trafiają za kratki.

Kara pozbawienia wolności za zbyt głośne puszczanie Queenów?

– Naprawdę? – dziwię się.

– Znałam utrapieńców, którzy dorobili się tego uporczywym zakłócaniem ciszy, owszem – przyznaje.

Wyobrażam sobie pana Fahrenheita na ławie oskarżonych, gdy grozi mu kara odosobnienia. W pewnym sensie mam nadzieję, że dojdzie przynajmniej do rozprawy, chociaż uczciwie mówiąc, nie chciałabym, żeby go przymknięto. To byłaby przesada. Teraz, kiedy Pat przekonała mnie, że może rozwiązać mój problem, jestem bardziej wyrozumiała.

Jednak dociera do mnie, że dopóki tego nie zrobi, nie mogę wystawić domu na sprzedaż. Choć nie obowiązują w tej kwestii żadne przepisy prawne, nie mogłabym żyć z przeświadczeniem, że sprzedałam dom z nieujarzmionym panem Fahrenheitem w sąsiedztwie. Nie, jest lepszy sposób: Pat wszystko załatwi, a wtedy będę mogła opowiedzieć naszemu nabywcy całą historię, wraz ze szczęśliwym zakończeniem. Oraz wręczyć mu numer Pat, na wypadek gdyby pan Fahrenheit jeszcze raz spróbował szczęścia po mojej wyprowadzce.

– W dziewięciu wypadkach na dziesięć pierwszy wysłany przez nas list działa cuda – zapewnia Pat. – Bardzo przydatny byłby zapis wszelkich incydentów, czyli prowadzenie dziennika hałasów. Warto byłoby notować wszelkie interakcje pomiędzy tobą a sąsiadem, sąsiadem a twoim mężem, a nawet synem, choć oczywiście w tej chwili go tu nie ma. No ale wtedy, kiedy jest. Liczy się wszystko. W obecnej chwili nie wiadomo, czego będziemy potrzebować, więc nawet gdy masz wątpliwości, czy coś jest istotne, zapisuj. W zależności od tego, jak uparty jest sąsiad i jak bardzo chce walczyć, notatki mogą okazać się użyteczne.

– Dobrze – odpowiadam. – Czy powinnam zapisać to, co zdarzyło się dzisiaj?

– Tak, jasne. – Pat wstaje. – I pamiętaj, następnym razem, jak coś takiego się zdarzy, natychmiast do mnie dzwoń. Do mnie, Trevora albo Douga. Masz wszystkie numery, prawda? Znasz godziny pracy w biurze, telefon alarmowy?

– Tak, dziękuję.

Pat podchodzi do lustra i dotyka jego powierzchni palcem wskazującym prawej dłoni, dokładnie tak samo, jak zrobiła z szybą oprawionego obrazu w kuchni. Cóż to za dziwna kobieta. Jednak jest również Terminatorem hałasujących utrapieńców, więc nie może robić nic złego, gdy to mnie się tyczy.

Kiedy ma już dość naciskania lustra palcem, odwraca się, by stanąć ze mną twarzą w twarz, i wbija wzrok w jakiś punkt nad moim prawym ramieniem, tak jakbym tam właśnie stała.

– Ludzie utyskują, że nie ma sensu dzwonić do samorządu, bo ten nic nie robi – mówi. – Nic bardziej mylnego. Obserwuj, a zobaczysz. Rozprawimy się z twoim panem Clayem. Nie sądzę, by zabrało to nam wiele czasu.

Czuję się mniej pokrzepiona niż przed kilkoma sekundami. Czy wolno jej odstawiać taką chojraczkę? Czy regulamin samorządowy, zabraniający funkcjonariuszom kontaktu wzrokowego z obywatelami, którzy mogliby, mylnie interpretując spojrzenia, się w nich zakochiwać, nie przestrzega również przed obiecywaniem ludziom korzystnych rozwiązań, chociaż wcale nie można ich zagwarantować?

– Nie wolno mi mówić ci tego oficjalnie... – Pat bawi się suwakiem bluzy od dresu, pociągając go to w górę, to w dół. – Trevor by tego nie zrobił. Ani Doug. Nigdy nie wzbudzajcie w nich nadziei, powtarzają nam. Ale ja uważam, że jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, nie ma nic złego w tym, że cieszymy się na zapas, a jeśli coś pójdzie nie tak, no cóż... – Rozkłada ramiona, jakby to było oczywiste. – Nie poczujesz się gorzej, bo przez kilka miesięcy miałaś nadzieję na coś bardzo dobrego, prawda? Nie spotkałam jeszcze człowieka, który żałowałby, że nie rozpaczał nad jakimś niepowodzeniem na długo przed tym, zanim nastąpiło. A ty?

– Nie. Ale...

– Dobranoc, pani Beeston. To znaczy Louise, przepraszam. – Pat potrząsa moją dłońią, nie patrząc na mnie. – Prześpij się trochę. Ale najpierw może zrób zapiski z dzisiejszej nocy. Zdziwiłabyś się, ile szczegółów wymazuje sen.

Otwieram drzwi wejściowe, a ona pospiesznie wychodzi, kiwając się na boki.



Siadam, oczy kleją mi się z niewyspania. Umysł kiwa się sennie wewnątrz ciała: bezkostna szara papka, którą skłaniam usilnie do przyjęcia pozycji pionowej, bo coś się dzieje i jest przerażające, a ja muszę zastanowić się, co to znaczy.

Muzyka. Inna. Zbyt blisko.

Otwieram oczy i czuję, jakbym je rozłupywała. Coś jest nie tak. Przesuwam czubkami palców po wgłębieniach pod nimi. Wcale nie wydają się wklęsłe. Wystają tam jakieś purchle. Jest tak, jakby były wypełnione jakąś gęstą mazią, która pęcznieje i zaczyna gnić. Może to tylko ze zmęczenia albo nagromadziły się tam łzy złości, które powstrzymywałam. Poruszanie powiekami daje takie odczucie jak wbijanie dwóch ostrych szpilek w tył czaszki.

Która to godzina? Mogłabym sprawdzić, sięgając po telefon leżący na szafce nocnej.

Tym razem śpiew nie dochodzi z sutereny sąsiedniego domu. Nie może. To dźwięk, który nie przenosi się na odległość. Dziecięce głosy. Chłopięce.

Stuart chrapie obok mnie: inny rytm niż w muzyce dochodzącej zza ściany. Ona musi przynikać stamtąd: z sypialni pana Fahrenheita.

To Joseph śpiewa.

Nie.

Tej melodii nie słyszałam, ale słowa znam bardzo dobrze. To psalmy responsoryjne. Kapełan Saviour College i chór chłopięcy śpiewają je na początku każdego wieczornego nabożeństwa.

Otwórz moje wargi, Panie,

A usta moje będą głosić Twoją chwałę⁴.

Racz mnie wybawić, o Boże;

Panie, pospiesz mi na pomoc!⁵.

Chwała Bogu Ojcu i Synowi,

i Duchowi Świętemu,

Jak było na początku, jest teraz i trwać będzie
Po wieków wiek! Amen, Amen.

Chwalcie Pana.

Niech imię Pańskie będzie błogosławione.

Jest wiele muzycznych podkładów pod te słowa, tak samo jak do tych, które Joseph nazywa *Mag* oraz *Nunc: Magnificat* i *Nunc Dimittis*. Zanim Saviour College porwał mi syna, nie znał on żadnych roboczych nazw utworów liturgicznych.

To Joseph śpiewa.

Nie. Niemożliwe.

Słyszę, jak mój syn śpiewa do mnie zza ściany sypialni.

Trzęsę się. Bardzo się staram nie krzyczeć. Robi mi się słabo.



Dziennik hałasów - niedziela, 30 września, 5.25

Właśnie odłożyłam słuchawkę po następującej rozmowie z Dougiem Minnsem ze środowiskowego wydziału zdrowia samorządu Cambridge. Poniżej spisałam ją mniej więcej słowo w słowo.

Ja: Halo, czy mogłabym rozmawiać z Pat Jervis?

On: Czy mogę spytać, o co chodzi?

Ja: Problem z hałasem. Nazywam się Louise Beeston. Mieszkam przy Weldon Road siedemnaście...

On: Mam przed sobą pani dane. Pani Louise Beeston. Zakłócanie ciszy ze strony sąsiada spod dziewiętnastki. Głośna muzyka.

Ja: Tak, właśnie. Jeśli Pat nadal jest na służbie, chciałabym bardzo, by znów do mnie przyjechała i ...

On: Po raz pierwszy zadzwoniła pani pod ten numer, by zgłosić uciążliwe hałasy o pierwszej czterdzieści pięć. Zgadza się?

Ja: Nie wiem. Tak, chyba tak. To było mniej więcej wtedy. Ale od tamtej pory...

On: Czy hałas nadal występuje na nieakceptowalnym poziomie?

Ja: Gdyby słucał pan tego, co próbuję powiedzieć, może znałby pan już odpowiedź na to pytanie. Czy może pan pozwolić mi mówić?

On: Staram się ustalić obecną sytuację, pani Beeston. Czy zakłócanie ciszy nadal trwa?

Ja: W tej chwili sąsiad nie hałasuje, ale właśnie mnie obudził, ledwie pół godziny po tym, jak zdołałam zasnąć. Naumyślnie. Chciałabym, żeby Pat przyjechała i...

On: To niemożliwe, by ktoś do pani przyjechał, jeżeli hałas nie jest wywoływany w obecnej chwili. W poniedziałek z samego rana mogę wysłać do pani sąsiada powiadomienie, że złożono na niego zażalenie w związku z zakłócaniem ciszy. Poza tym gdyby mogła pani zapisać...

Ja: Pan mnie nie rozumie. Tak, wszystko zapiszę, i tak, proszę wysłać do niego list z powiadomieniem, ale potrzebuję kogoś, kto napędzi mu stracha dzisiaj w nocy. W przeciwnym razie co powstrzyma go przed obudzeniem mnie za kolejną godzinę, zakładając, że w ogóle zasnę? To jest coś więcej niż uciążliwy hałas - naumyślnie tortury.

On: To nasz jedyny telefon alarmowy, pani Beeston. Jestem na dyżurze w pogotowiu. Obecnie oprócz mnie nie ma nikogo w biurze. Nie mogę pozostać na linii i kontynuować rozmowy z panią, ponieważ ustaliłem, że nie cierpi pani z powodu aktualnego hałasu, który wymaga natychmiastowej interwencji.

Ja: Cholera jasna, gdyby pan mnie słuchał, wiedziałby pan, że ten hałas trwa. Puszczal muzykę już wcześniej, głośno – proszę spytać Trevora Chibnalla. Słyszał ją, gdy dzwoniłam do niego o pierwszej czterdzieści pięć. Potem przerwał, kiedy...

On: „Aktualny” znaczy, że muzyka rozlega się w obecnej chwili. Czy tak jest?

Ja: Nie. Już to powiedziałam. Ale...

On: W takim razie będę musiał poprosić, żeby zadzwoniła pani ponownie w poniedziałek rano. Przykro mi, pani Be-eston, ale takie u nas obowiązują zasady.

Ja: Jest pan najmniej pomocnym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miałam pecha rozmawiać. Do widzenia.

Mam nadzieję, że powyższy zapis pokazuje, że nie pozwolono mi wytłumaczyć sytuacji. Spróbuję zrobić to tutaj, gdzie nie istnieje niebezpieczeństwo, że zablokuję ważną linię telefoniczną.

O drugiej nad ranem, kiedy po raz pierwszy zatelefonowałam pod numer alarmowy samorządu, gdzie zgłasza się przypadki naruszania ciszy, mój sąsiad mieszkający na Weldon Road 19, Justin Clay, puszczał głośno muzykę, którą słyszał Trevor Chibnall. Pan Clay włączył głośną muzykę wkrótce po 22.00 i puszczał ją nieprzerwanie. Nie powiedziałam panu Chibnallowi, że na początku była to jak zawsze muzyka w stylach pop i rock, jednak po tym, jak poszłam, by się poskarżyć i poprosić, by ściszył dźwięk (a on podczas tej rozmowy zarzucił mi, że jestem muzyczną snobką, lubiącą jedynie klasykę), wyłączył pop i puścił głośno muzykę klasyczną. Trudno mi postrzegać to inaczej niż umyślne szyderstwo.

Następnie przybyła do mojego domu Pat Jarvis, by dokonać oceny sytuacji, jednak zanim weszła do mnie, muzyka ucichła. Wylczyłam, że musiała zaparkować przed moim domem dokładnie w chwili, kiedy pan Clay wyłączył muzykę, i w moim przekonaniu zrobił to umyślnie, by sprawić wrażenie, że przesadziłam, wyobraziłam sobie albo złośliwie wymyśliłam problem.

Kiedy Pat Jarvis wyszła, położyłam się do łóżka i przez jakiś czas nie mogłam zasnąć, bo byłam zbyt rozstrojona i rozdrażniona. Wreszcie zapadłam w sen i wtedy znów zostałam z niego wyrwana o 4.20 przez muzykę dobiegającą z domu pana Claya, tylko że tym razem nie dobiegała ona z jego sutereny, lecz z sypialni. Poprzednio ograniczał swoją aktywność w tej dziedzinie do sutereny. Jego sypialnia sąsiaduje z moją (nasze domy to lustrzane odbicie bliźniaka), pokoje oddziela jedynie niewystarczająco wytłumiona wiktoriańska ściana, a on to wie. Kiedy się poznaliśmy, wkrótce po tym, jak wprowadziłam się wraz z rodziną, a zanim jeszcze zrodził się między nami konflikt, za jego namową obejrzeliśmy swoje domy. Uznałam, że to dziwna propozycja, bo przecież się nie znaliśmy, ale wkrótce stało się oczywiste, że chciał się po prostu popisać swoim szpanerskim, „wypasionym” wnętrzem. Mam więc nadzieję, że udowodniłam, iż wie doskonale, jak rozmieszczona jest jego sypialnia w stosunku do mojej.

Muzyka, którą puszczał w sypialni, była chóralna. A konkretnie był to chór chłopięcy, wykonujący dokładnie takie liturgiczne responsoria, jakie mój syn śpiewa w każdy wtorek i czwartek na nabożeństwach wieczornych w kaplicy Saviour College: kolejne umyślne szyderstwo. Pan Clay puszczał śpiewy responsorialne w kółko – nie wiem dokładnie ile razy, bo byłam zbyt rozstrojona, by liczyć. Jak głośne to było? Przypuszczam, że te sprawy są względne. Mój mąż, przebudzony raczej z powodu mojego niepokoju niż muzyki, powiedział, że muzyka była ledwie słyszalna. Jednak wystarczająco głośna, by mnie wyrwać ze snu.

Sądzę, że pan Clay wypatrywał, kiedy Pat Jarvis opuścił mój dom, dał mi wystarczająco dużo czasu, bym się uspokoiła i zasnęła, a potem naumyślnie mnie obudził, używając do tego utworu, którego wybór był prowokacją. To, co przydarzyło mi się tej nocy, jest o wiele poważniejsze niż zwykłe uprzykrzanie życia hałasem. Od tego się zaczęło, ale zmieniło się w coś podłego i groźnego, a pozbawiony wyobraźni człowiek, jakim jest Doug Minns, nie ma na to ustalonej wcześniej procedury. Chociaż w tej właśnie chwili z domu mojego sąsiada nie dobiega muzyka, problem

jest aktualny w tym sensie, że istnieje praktycznie zerowa szansa na to, iż złapię jeszcze choć trochę snu. Zbyt się boję, że zostanę znów przebudzona, a pewnie właśnie taki skutek chciał wywołać pan Clay. Biorąc pod uwagę, jak złośliwy i wykalkulowany był wybór nagrania, można się spodziewać, że za pół godziny postanowi ponownie włączyć muzykę, a jeśli tego nie zrobi, to dlatego, iż wie, że tego nie potrzebuje – wie, że zaszczerpił mi tyle strachu i przerażenia, iż nie odważę się zmrużyć oka. Tak więc, owszem, problem jest aktualny, bo bardzo się boję, że sąsiad znów to robi – może nie będzie powtarzał tego każdej nocy, ale tak często, jak mu się spodoba. Może to robić, kiedy zechce, i przerywać, kiedy zobaczy, że samochód pracownika samorządowego podjeżdża pod mój dom, tak więc nikt nigdy nic nie usłyszy ani o tym nie zaświadczy. I on wie, że ja to wiem.

Słuchajcie, nie jestem głupia. Wiem, o co chodzi. Oczywiście, że funkcjonariusze pełniący akurat nocny dyżur nie mogą tracić czasu na to, by pędzić do domów, w których kiedyś, dawno temu gdzieś w okolicy hałasowano. To byłoby niedorzeczne. Rozumiem, dlaczego macie tam u siebie określone przepisy, ale czy korona spadłaby wam z głowy, gdybyście byli trochę bardziej elastyczni? Właściwie to jestem przekonana, że gdyby telefon odebrała Pat Jervis, a nie Doug Minns, odpowiedź byłaby zupełnie inna. Wygląda na to, że Pat jest po mojej stronie. Na pewno nagięłaby te durne przepisy, przyjechałaby, zastukałaby do drzwi mojego sąsiada i powiedziała mu jasno i wyraźnie: „Proszę z tym skończyć natychmiast albo wylądуйте pan w sądzie. To jest nękanie”.

Może powinnam spróbować znów zadzwonić na policję i powiedzieć, że środowiskowy wydział zdrowia nie rozpoczął żadnych działań, by zapobiec makabrycznemu morderstwu na Weldon Road. Wtedy wreszcie by się zainteresowali tą sprawą.

Otwieram oczy i widzę nad sobą drewniane szczeble. Zgadza się: leżę na dolnym materacu piętrowego łóżka Josepha od około szóstej rano i w głowie mi się nie mieści, że mogłam zasnąć. To, że potrafiłam, daje mi na krótko poczucie zwycięstwa. Następnie triumf ustępuje rozczarowaniu z tego powodu, że nie udało mi się pospać dłużej. Czuję się gorzej niż poprzednio: jakby ktoś zdrapał wnętrza moich powiek i wyszorował mi mózg pumeksem.

Która to godzina? Na dworze jest całkiem jasno, a tu niewiele ciemniej. Zastłony w pokoju Josepha są bezużyteczne: białe i przezroczyste, cienkie jak bibułka. Zamierzałam je wymienić, odkąd kupiliśmy dom, i jakoś się do tego nie zabrałam. Joseph na szczęście nie przejmuje się przenikaniem światła przez firanki tak samo jak hałasem wywoływanym przez pana Fahrenheita w co drugą sobotę. W ogóle nie zwraca na to uwagi. Jestem szczęściarą. A przynajmniej tak uważałam, dopóki nie opuścił domu.

Nie mów, że „opuścił dom”. On nadal tu mieszka. Przecież wiesz.

Joseph zawsze spał jak suseł: od wpół do ósmej wieczorem do siódmej rano, wszystko jedno, czy było jasno, ciemno, głośno czy cicho w jego otoczeniu. Inne matki myślą, że kłamię, kiedy tak mówię, ale to prawda: odkąd miał cztery tygodnie, przesypiał całe noce. Nawet kiedy chorował, co zdarzało się rzadko, jego potrzeba snu jeszcze się zwiększała i spał mocniej. Współczułam przyjaciółkom, które miały gorzej – Enioli, która nie spała przez trzy noce z rzędu, kiedy Matthew miał okropną kolkę, i Jenny, która często lądowała na pogotowiu z powodu astmy Chloe.

Zazdroszczę im teraz obydwu, i nie tylko im. Zazdroszczę wszystkim rodzicom, którym szkoła nie ukradła dziecka bez powodu, czyli, jak się zastanowić, prawie wszystkim rodzicom, których znam, każdej matce, której synowi brak pewności siebie, kurczowo trzymającemu się rodziców, by mieszkać i dobrze się czuć z dala od domu. To moja wina, że Joseph jest tak zre-laksowany i niezależny umysłowo. Jako młoda matka nie byłam niespokojna ani neurotyczna. Regularnie zostawiałam go z opiekunkami. Liczyłam na to, że będą się nim opiekować co najmniej tak dobrze jak ja, jeśli nie lepiej.

Gdybym przewidziała spisek mający na celu odebranie mi syna, zadbałabym o to, by być jedną z tych mamusiek, które nigdy nie spuszczają dzieciaka z oka. Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, by zamienić Josepha w chłopca, który jest przekonany, że przydarzy mu się coś złego, jeśli w pobliżu nie będzie mamy mogącej go chronić.

Gdybym była mniej zmęczona, mogłabym użyć wobec siebie kontrargumentów. Zakwestionowałabym żenujące, retrospektywne snucie intryg, hiperboliczne użycie pewnych słów – „spisek”, „ukradła”, „wina” – jednak w tej chwili nie mam na to ani energii, ani ochoty.

Słyszę głos Stuarta, który mówi: „Myślałam, że będziesz spała w gabinecie”, i uświadamiam sobie, że nie jestem sama w pokoju. Odrzucam kołdrę, starając się nie zauważać maleńkich niebieskich i czerwonych żaglówek na pościeli. Joseph sam ją wybrał. To on powinien odrzucać dziś tę kołdrę, a nie ja.

Staje przede mną mój mąż, którego obcięta sylwetka zaślania mi trochę światła. Widzę

część jego nóg, talię i klatkę piersiową. Górne łóżko zasłania twarz Stuarta, ale mogę sobie wyobrazić, jak wygląda, kiedy mówi:

– Może byś już wstała. Imran będzie za piętnaście minut. I pamiętaj, że zaraz po jego wyjściu musimy wyruszyć do Saviour, więc musisz się już teraz odpowiednio ubrać.

Wyskakuję z łóżka i jestem na nogach, zanim zdąży dojść do drzwi.

– Słucham? – rzucam wojowniczo. – Odkąd to mówisz mi, kiedy i jak mam się ubierać?

Wydaje się zaskoczony siłą mojej reakcji i czuję się winna.

– Dopiero co się obudziłaś, więc pomyślałem, że... no wiesz.

Ma rację. Właśnie się zbudziłam, mniej niż dwie godziny po tym, jak udało mi się zasnąć po raz drugi. Po co zrobiłam coś tak głupiego? Cóż, nie z własnej woli. Ja postąpiłabym rozsądnie, a mianowicie pospała sobie do za piętnaście dziesiąta, kiedy to i tak miałabym dość czasu, by wskoczyć pod prysznic przed wyruszeniem do kaplicy Saviour College na występ Josepha. Tak właśnie prześmiewczo myślę o nabożeństwach.

– Obudziłeś mnie? – pytam Stuarta.

– Tak. Wreszcie. To nie było łatwe.

– Dziękuję bardzo. Wiesz, o której zasnęłam? Jakies dziesięć po szóstej.

– Cóż, wiem, że było to po piątej dwadzieścia pięć – przyznaje poirytowanym tonem Stuart.

– Co miałem robić, Lou? Imran przyjeżdża aż ze Stamford i będzie tutaj za...

– W dupie mam Imrana i dokładny moment jego przybycia! Nie jest składającym mi wizytę dygnitarzem, na którym muszę zrobić dobre wrażenie, lecz jednym z moich najstarszych przyjaciół. Mógłbyś powiedzieć: „Przepraszam, Imran, Lou śpi – miała koszmarną noc i nie chciałem jej budzić”. On nie miałby z tym żadnego problemu.

– Jasne. – Stuart unosi brwi.

Cofa się chwiejnie o krok, jakby pozbawił go równowagi nieoczekiwany powiew wiatru.

– Przepraszam, sądziłem, że skoro mamy rozmawiać o pracach związanych z domem, zechcesz w tym uczestniczyć.

– Dlaczego? I tak nie będziesz słuchał tego, co powiem. Nie posłuchałeś tej nocy, kiedy prosiłam, byś wysłał esemesa do Imrana i go odwołał. Nie chcę piaskować domu! Kolor murarki to ostatnia rzecz, jaka mnie w tej chwili obchodzi.

– A jednak mówisz, że powinienem pozwolić ci spać i dać Imranowi wolną rękę – zauważa Stuart z wkurzającą cierpliwością. – Wygląda na to, że ty, ja i Imran powinniśmy się zebrać razem, bo mamy raczej różne poglądy na sprawę. Mój jest zapewne inny od twojego.

Znów próbuje wyjść z pokoju.

– Czekał – mówię. – Skąd wiesz, że nie położyłam się aż do dwadzieścia pięć po piątej?

Pytając, uświadamiam sobie, że może być tylko jedna odpowiedź.

– Znalazłem twój dziennik hałasów – rzuca oskarżycielsko Stuart.

I nic więcej? Naprawdę powinnam schować trawkę, którą ukradłam panu Fahrenheitowi, w jakimś sensowniejszym miejscu. Niewykluczone, że któregoś dnia Stuart mógłby uznać, iż obecnie używana ścierka nadaje się do prania. To mało prawdopodobne, ale całkiem możliwe, że zamiast wziąć pierwszą z wierzchu ze stosiku w szufladzie, mógłby wyjąć wszystkie, by je przejrzeć. Gdyby tak zrobił, zauważyłby pod spodem plastikową torebeczkę pełną marihuany i, przerażony, poddałby mnie przesłuchaniu.

– Najwyraźniej byłaś bardzo zajęta ostatniej nocy, kiedy znów zasnąłem – mówi. – Chociaż bardzo mnie ciekawi, co wyprawiałaś, nie mam teraz czasu tego wysłuchać. Poważnie, Lou,

skoro już nie śpisz, a Imran zjawi się lada moment...

– Zadzwoiłam do samorządu, a nie na policję – wtrącam, po czym dodaję sarkastycznie: – Nie okazałam nieposłuszeństwa wobec ciebie, mój panie, jeśli to właśnie cię tak złości.

To nieprawda – bo najpierw zadzwoiłam na policję – ale Stuart nie musi o tym wiedzieć. Nie sądzę, że w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone, ale zaczynam wierzyć, że ta zasada obowiązuje w małżeństwie, które jest kombinacją tych dwóch zjawisk.

– Myślałem, że dość jasno dałem do zrozumienia, iż nie chcę, byś dzwoniła gdziekolwiek – mówi Stuart. – Jednak to zrobiłaś, więc nie ma sensu o tym dyskutować, prawda? Muszę jednak powiedzieć, że jeśli ktoś polecił ci prowadzić dziennik hałasów, w moim przekonaniu... ta rzecz leżąca na kuchennym stole nie jest tym, co ten ktoś miał na myśli.

– Powiedziano mi, bym prowadziła zapiski na bieżąco – wyjaśniam możliwie neutralnym tonem. – I tak właśnie robię.

– No cóż, czyta się to jak obsesyjne przynudzanie pozbawionej snu neurotyczki. A skoro już poruszamy ten temat, ponieważ najwyraźniej nie zależy ci na tym, by wyszykować się na przyście Imrana, czy mogłabyś spać na sofie na strychu zamiast w łóżku Josepha, jeśli nie możesz spać w naszym pokoju? Tak jak zasugerowałem ci w nocy. – Stuart wzdycha, jakby nie miało sensu próbować mnie przekonywać. – Pamiętasz? Zaproponowałem, żebyś pościeliła sobie na sofie w moim gabinecie?

„A skoro poruszamy ten temat”? Wcale go nie poruszaliśmy. To, gdzie w końcu się położyłam w nocy, nie ma nic wspólnego z tym, co napisałam w dzienniku hałasu. Jestem skonsterowana, dopóki nie uświadomiam sobie, co Stuart miał na myśli. Jego „temat” to żadna z tych rzeczy, choć obie go dotyczą. Zastanawiam się, jak by to określił, gdybym go spytała: moje wątpliwe zachowanie? Upieranie się przy tym, by postępować zgodnie z własnymi pomysłami, a nie tak, jak jemu się podoba?

– Nie udawaj, że to jest „to”, Stuarcie, dobra?

Głupio. Powinna inaczej to sformułować. Nie istnieje żadne „to”, choć Stuart uważa, że jest inaczej. To jeden z bardziej ohydnych wątków w jego kampanii mającej na celu udowodnienie, że jego specjalistyczny temat: „Czyż Louise nie ma świra, moi drodzy?”, zasługuje na miejsce w naszym minimum programowym.

– Trzy rzeczy – mówię. Mój ton to lodowa rzeźba. – Po pierwsze: o szóstej rano, niewyspana, dlaczego miałabym ścielić sobie na sofie, skoro miałam gotowe łóżko bliżej i w pomieszczeniu cieplejszym niż strych? Po drugie: nie spałam w łóżku Josepha. On zawsze sypia na tym górnym. Spałam na dolnym, na którym on nigdy nie sypia, i absolutnie nie ma nic niewłaściwego w tym, że tam sypiam, jeśli przyjdzie mi na to ochota. Po trzecie: w tym wypadku to i tak jest nieistotne, bo nie zamierzałam zasypiać w pokoju Josepha ani gdzie indziej. Jestem zdziwiona, że mi się to udało po całym tym stresie. Położyłam się po prostu dlatego, że byłam zbyt wykończona, żeby stać...

– W pokoju Josepha, który nawiedzasz jak jakiś pieprzony...

Stuart, który wpadł mi w słowo, teraz sam sobie przerywa. Odwraca się i staje sztywno, plecami do mnie, jakbyśmy bawili się w „Stary niedźwiedź mocno śpi” i trwało odliczanie.

– Nawiedzam? – pytam.

– To nieodpowiednie słowo. A wiesz dlaczego? – Wściekły Niedźwiedź się odwraca. – Dlatego że nikt jeszcze nie umarł! Ty nie jesteś martwa, Joseph nie jest martwy ani ja nie jestem! W rzeczywistości należymy do największych szczęściarzy na tej planecie. Dlaczego więc wciąż

znajduję cię tutaj, rozczulającą się w uprzątniętym pokoju syna, jakbyś go opłakiwała w żałobie czy coś takiego? To odrażające, Louise. Nie widzisz tego?

Rozlega się dzwonek u drzwi.

– No i właśnie przyszedł Imran – warczy Stuart, choć jego słowa są naładowane przekazem: „Patrz, coś narobiła”. Chociaż wcale nie chciałam, by Imran przychodził tego ranka, i prosiłam, żeby go odwołać.

„Uprzątnięty pokój syna”...

Większość osób skupiłaby się na odniesieniach do śmierci i żałoby, które rzeczywiście były niewybaczalne, ale określenie „uprzątnięty” było jeszcze gorsze. Subtelniejsze, ale silniej oddziałujące, jeśli powoli się je przyswajało.

– To jest trochę jak polowanie na czarownice – mówię spokojnie, myśląc o tym, że oskarżony zawsze ubiera się porządnie na rozprawę sądową, a moje uczucia robią to samo. – Nie pograżam się w żałobie po Josephie w tym pokoju ani w żadnym innym, ponieważ, jak zauważyłaś, jest całkiem żywy. Jest inne słowo, które tu o wiele bardziej pasuje – tęsknota. Ja tęsknię za swoim synem, który ma tylko siedem lat i nie ma go tutaj. Czy to do ciebie dociera?

Stuart podchodzi do okna i otwiera je, podciągając w górę.

– Będziemy musieli porozmawiać o tym później. Imran! – krzyczy na ulicę. – Czeka. Już schodzę.

Zastanawiam się, czy nie wyrwać sobie dwóch kępek włosów, by okazać frustrację. W moim obecnym nastroju i trudnej sytuacji nie wydaje mi się, bym potrzebowała wszystkich kosmyków. Po tym efektownym geście i tak zostałyby mi ich jeszcze mnóstwo.

– Nigdy więcej nie mów o śmierci i żałobie w związku z Josephem – żądam. – I nie mów, że ten pokój jest uprzątnięty, bo to również odniesienie do śmierci. Nie... tak, właśnie tak! – Nie zamierzam słuchać, jak temu zaprzecza. Łzy kłują mnie pod powiekami, gorzkie, palące jak kwas. – Pokój Josepha jest uporządkowany, ponieważ w związku z tym, że nie ma go w nim obecnie, nie miał okazji nabałaganić od czasu, jak ostatnio tu sprzątałam. To uporządkowany pokój – i tyle! Tak go określaj!

Stuart myśli tylko o Imranie: zamyka okno, by nic nie dotarło do uszu tamtego.

– Lou, reagujesz przesadnie emocjonalnie na całkiem niewinną uwagę. Ja...

– Nie była niewinna! „Uprzątnięty” – wiem, co to znaczy! Rodzice, których dzieci umierają, a oni utrzymują ich pokoje w nienagannym porządku, podobnie jak za ich życia. Niby w jakimś sanktuarium!

– Wcale nie miałem tego na myśli!

– Nie kłam! – krzyczę mu prosto w twarz. – Jeśli tak nie myślałaś, dlaczego nie powiedziałaś po prostu „uporządkowany”? Po co ten „uprzątnięty”? No? Nie wiesz, co odpowiedzieć, prawda? Bo ja mam rację – starałaś się podkreślić, że pokój Josepha jest zbyt wysprzątany, jak jakiś zakonserwowany pokój zmarłego chłopca!

Stuart się wzdyga. Odsuwa się ode mnie.

– Idę na dół porozmawiać z Imranem – oznajmia. – Proszę, byś do nas nie przychodziła, jeśli masz się tak zachowywać. Szczerze mówiąc, żałuję, że cię nie posłuchałem i nie odwołałem tego spotkania.

– Ja również – odpowiadam. – Odwołaj go teraz. Odeślij go.

Wiem, że tak się nie stanie.



Kiedy wchodzę do kuchni, Imran uśmiecha się do mnie. Macham do niego i bezgłośnie mówię „cześć”, ale się nie odzywam, bo nie chcę przerywać Stuartowi, który siedzi plecami do mnie i właśnie peroruje:

– Wierz mi, gdyby było mnie stać, żeby zapłacić ci również za odnowienie domów sąsiadów, tobym tak zrobił. Na razie zdołałem skupić swoje niezadowolenie na okropnym wyglądzie naszego domu – i spójrzmy prawdzie w oczy, w tej chwili jest najohydniejszy z pewnej odległości – ale jak tylko odprawisz swoje czary i stanie się olśniewający, zamierzam zająć się wyglądem pozostałych.

– Walka z góry skazana na przegraną – mówi Imran, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Stara się włączyć mnie do rozmowy, bo nieuprzejmie byłoby postąpić inaczej. Ja na razie się wstrzymuję, nie jestem jeszcze gotowa wziąć w niej udziału. Rozliczne płachty porannego „Sunday Timesa” leżą przed Imranem w porządnym stosiku, co przywodzi mi na myśl trik karciany. Mogę się domyślać, jak to było: Stuart zostawił je rozrzucone na stole, jak zwykle robi, a Imran poczuł potrzebę zaprowadzenia porządku.

– Nie walka – zaprzecza Stuart. – Traktuję to raczej jako kampanię z pozytywnym nastawieniem. Dawanie dobrego przykładu. Mam nadzieję, że ludzie zobaczą, jak świetnie wygląda nasz dom, i pomyślą: „Hej, może my też tak zrobimy? Widać, że to możliwe”. Chyba w tym właśnie tkwi problem: ludzie zakładają, że jeśli kupują okopcony sadzą wiktoriański dom, to już nic nie mogą z nim zrobić – jest, jaki jest. To straszliwie głupie. Bez trudu przychodzi im wypruwanie mu bebeczków, ale żeby oczyścić dom z zewnątrz? Wygląda na to, że nawet tym, którzy za nic nie dopuszczają, by gdziekolwiek w domu nagromadził się brud, nie przychodzi do głowy, iż beztrudnie zostawiają rozsmarowany na fasadzie pył, który przez ponad sto lat wypluwało miasto. A murarka powinna być taka jak kiedyś, żółta! Nasz elokwentny sąsiad jest tu najlepszym przykładem.

– Przykładem kogoś, kto powinien być żółty? – Imran chichocze z własnego żartu.

– Nie, palanta – wtrącam.

Stuart się odwraca.

– O, cześć, kochanie. Chodź do nas.

Zawsze podziwiałam optymizm mojego męża, łatwość, z jaką zostawiał za sobą złe rzeczy. Gdyby tylko Imran potrafił zedrzyć piaskarką osad z czarnych myśli i wspomnień nagromadzonych na powierzchni mego mózgu.

– Chcesz herbaty? – pyta Stuart.

Kiwam głową.

Nowy dzień. Nowy początek. Światło wpada przez dwa wielkie okna kuchenne.

Jeśli usiądę przy stole z Imranem, czy zauważy, co się stało z moją twarzą? Nabrzmiące podusieczki pod oczami pękły, przerywając skórę. Mam teraz pod każdym okiem półkolistą czerwoną szramkę, przypominającą ślad po szmince. Kiedy ich dotykam, zaczynają krwawić. I opuchlizna nie zesza. Próbowалам zatuszować ślady korektorem, ale nie udało się to tak dobrze, jak chciałam.

– Zakładam, że Stuart ci opowiedział? – pytam Imrana. – O niedolach związanych z głośnym sąsiadem?

– Tak. Współczuję. Coś takiego znajduje się w pierwszej piątce najbardziej koszmarnych

scenariuszy.

Imran lubi rankingi. Robi je od czasów studiów, na których nasza trójka się poznała. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie Stuart i ja się o nim dowiedzieliśmy, było to, że cukinia to dla niego warzywo numer jeden. Zapytałam go, dlaczego tak jest, a on odrzekł: „Czyż to nie oczywiste?”. Stuart i ja nadal się z tego śmiejemy.

– A ty jesteś chyba w pierwszej trójce osób, które mają szaloną skłonność do przesady – mówi Stuart, napełniając czajnik. – Hałaśliwy sąsiad plasuje się w rankingu koszmarów najwyżej na miejscu trzydziestym piątym.

– Wiedziałem, że tak powiesz! – triumfuje Imran. – Mylisz się. Na pewno jest w pierwszej piątce. Może na piątym miejscu, ale to mocna pozycja – nic go stamtąd nie strąci. A zanim jeszcze zaczniesz wyliczać takie rzeczy, jak morderstwo, tortury, gwałt, śmiertelną chorobę...

– Kolację z wegetarianami – mruczę, siadając naprzeciw Imrana przy kuchennym stole. – W ich domu albo w twoim.

– No właśnie. – Imran kiwa entuzjastycznie głową, tak jak się spodziewałam. – Oczywiście wszystkie te rzeczy są jakościowo gorsze, ale niezbyt rozpowszechnione. Musisz wziąć to pod uwagę. Nie każdy, kogo znam, został zamordowany. Nie każdy, kogo znam, wpadł w śmiertelną chorobę...

– Chcesz chyba powiedzieć „zapadł na śmiertelną chorobę”, bo...

– Gdybym był partią polityczną i chciałbym zostać wybrany albo utrzymać się przy władzy, wiesz, co postawiłbym na pierwszym miejscu w programie politycznym? – przerywa mu Imran. – Więcej niż trzy skargi od sąsiadów na kogoś, kto hałasuje, i bang, ten ktoś ląduje na ulicy. Zero odwołań, procesów, nic. Jak wynajmujesz prywatnie albo masz zasilek na mieszkanie – wynocha. Jeśli posiadasz własny dom – przykro mi, już nie należy do ciebie, zostaje ci odebrany.

– Świetny pomysł. – Stuart puszcza do mnie oko, podając filiżankę z herbatą.

– Tak sądzisz? – pyta zaskoczony Imran.

– Nie. Ale nie zamierzam tracić czasu, atakując pogląd, pod którym niby się podpisujesz, by mnie sprowokować.

– To chyba zbyt łatwo prowadziłoby do nadużyć. – Imran marszczy brwi, sam siebie krytykując. – Każdy mógłby udawać, że ma głośnego sąsiada, tylko po to, by się go pozbyć. To by doprowadziło do odstrzału niewinnych ludzi.

– Tak sądzisz? – przedrzeźnia go Stuart. – Właściwie jeśli ktoś tak bardzo chce się pozbyć sąsiada, prawdopodobnie ten sąsiad to palant, taki jak nasz. W zeszłym tygodniu gadałem z nim o piaskowaniu fasady – by ostrzec go, że będzie trochę hałasu i bałaganu. Wiesz, co ten nadęty bałwan mi powiedział? „To oczywiście twoja decyzja, ale ja nigdy tego nie robiłem. Kupiłem wiktoriański dom, bo kocham historię. Gdybym chciał coś błyszczącego i czystego, kupiłbym dom nowo wybudowany”. Tak jakby kilkusetletnia powłoka brudu na fasadzie stanowiła jakąś zabytkową cechę, jak sufitowa rozeta albo gzymsy! Powiedziałem do Lou: „Założę się, że natychmiast by to zrobił, gdyby go było stać, ale wybulił całą kasę na odpicowane wnętrza”.

Imran otwiera usta, by coś odpowiedzieć, nieświadom tego, że przerywa. Jeszcze nie dotarliśmy do końca historii. Wiem, bo słyszałam ją już wiele razy. Efektowny morał ma dopiero nastąpić i jest to ulubiony kawałek Stuarta. Teraz, widząc, że Imran szykuje się, by przerwać potok jego wymowy, będzie musiał nieco przyspieszyć.

– Chodzi o to, że po wypolerowaniu dom pozostanie wiktoriański – mówi. – Będzie wyglądał tak jak wówczas, kiedy go zbudowano – nieskalany zniszczeniem wiktoriański dom, któremu przywrócono dawną świetność.

Rekordowy czas, doskonały dobór słów.

Przelatuje mi przez głowę nielojalna myśl: czy właśnie dlatego, odkąd kupiliśmy dom przy Weldon Road 17, Stuartowi tak zależało, by uporać się wpierw z fasadą, a wystrój wewnątrz pozostawić na później? Pragnął, żeby wszyscy sąsiedzi, których nie stać na piaskowanie murarki, z panem Fahrenheitem włącznie, mogli natychmiast zacząć nam tego zazdrościć? Ja wolałam mieć najpierw zrobione wnętrza, bo w nich mieszkamy, ale Stuart nie chciał o tym słyszeć. W końcu skapitulowałam, w obawie, że nabiorę do niego niechęci, jeśli jeszcze raz usłyszę, jak mówi o „tkance budynku”.

– A co będzie, jak pan Fahrenheit zacznie się skarżyć na hałas robiony przez Imrana? – pytam, zdziwiona, że wcześniej o tym nie pomyślałam. – To nas stawia na słabszej pozycji, jeśli nasz dom będzie generował tyle hałasu w ciągu dnia, ile jego w nocy.

Imran kręci głową.

– Każdy ma prawo wykonywać prace przy swoim domu w dzień. Jeśli będzie próbował cię powstrzymać, nie uda mu się. Ciągłe mam z tym do czynienia. Czasem przychodzą pomyszkować jacyś służbiści z samorządu, ale nigdy nie przerwano mi pracy wykonywanej w ciągu dnia i jestem pewien, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Jednak Lou ma rację – mówi Stuart. – Ten facet dużo pracuje w domu. Niewątpliwie będziemy mu przeszkadzać. – Zwraca się do mnie: – Może powinnaś zadzwonić do samorządu jutro z samego rana i wycofać skargę.

– Co? A niby czemu?

Kolejny szary kamyk, ułożony na szczycie równi, gotów do długiego turlania się w dół.

– No wiesz, to raczej nie fair, prawda? – pyta Stuart. – Bez względu na to, jakie stanowisko zajmie samorząd, i nawet jeśli Imran ma słuszność, skoro zamierzamy narazić Fahrenheita na kilka tygodni hałasu podczas piaskowania, może powinniśmy wstrzymać się ze składaniem skargi, aż skończymy i sami przestaniemy zakłócać ciszę. W przeciwnym razie zakrawa to na hipokryzję.

– Nie – protestuje zdecydowanie Imran. – Porównujesz dwie różne rzeczy. Uprawniony hałas to jedno, a zakazany to drugie. Hałaśliwym sąsiadom nie ma co okazywać litości. Ugłaskiwanie ich nigdy się nie opłaca.

– Nie zamierzam nikogo ugłaskiwać – mówię.

Ani pana Fahrenheita, ani męża, ani Imrana.

– Myślałam o tym, że może powinniśmy odłożyć piaskowanie na później. Albo nawet z niego zrezygnować.

Skoro już podjęłam wysiłek uczestniczenia w tym spotkaniu, mogę powiedzieć, co naprawdę myślę.

– Przepraszam, Imran, wiem, że to ostatnia rzecz, którą chcesz usłyszeć po tym, jak przejechałeś taki kawał drogi...

– Mną się nie przejmuj, Lou. To żaden problem. Mam roboty na następne dwa lata. Wierz mi, że odwołane zamówienia są zawsze mile widziane.

– Hola, czekaj! – mówi Stuart. – Nikt niczego nie odwołuje.

– Ja może tak.

– Lou, przesadzasz. Przed tym, co się zdarzyło z panem Fahrenheitem...

– Nieważne, Stuart, co było przedtem. Tamto się jednak zdarzyło i przekonało mnie, że nie chcę mieszkać obok niego. Imran, to nie ma nic wspólnego z tobą ani z twoją pracą. Wiem, że wspaniale byś wszystko zrobił, ale jaki sens wydawać pieniądze, jeśli tu nie zostaniemy?

– Imran. Nie odwołujemy cię. – Słowa Stuarta zmawiają się z tonem jego głosu, by nadużyć stanowiska. Tak jakby to, co powiedziałam, nie miało żadnego znaczenia. – Chcemy, byś zaczął jak najszybciej, z tego właśnie powodu, który podała Lou. Może się okazać, że w końcu sprzedamy ten dom, jeśli Lou rzeczywiście będzie chciała za wszelką cenę uciec od pana Fahrenheita....

– Dlaczego ciągle powtarzasz „Lou”, jakby chodziło wyłącznie o mnie? A co z tobą? Czy chcesz mieszkać obok faceta, który prześladowuje nas w środku nocy śpiewami chórów chłopięcych?

– Co takiego? – woła zdziwiony Imran.

Stuart przymyka oczy.

– To długa historia.

– Nie taka znowu długa – mówię.

– Jestem pewien, że to był tylko jednorazowy numer – upiera się Stuart.

Najwyraźniej nie chce, by Imran usłyszał tę historię, bez względu na jej długość.

– Skąd możesz wiedzieć!

– Nawet jeśli postanowimy, że chcemy się wyprowadzić, wydanie trzydziestu tysięcy na piaszkowanie jest jak najbardziej sensowne. To podniesie wartość domu o co najmniej pięćdziesiąt tysięcy. Prawdopodobnie nawet więcej, na takiej ulicy, blisko stacji.

– Ma rację, Lou. I weź pod uwagę, że liczę wam według stawki dla znajomych.

– Właśnie. Więc zaczynamy. Róbmy, jak zaplanowaliśmy.

Stuart uderza spodami dłoni o blat, przez co porusza stołem i rozlewa moją herbatę. Sięgam po jedną zszywkę „Sunday Timesa”, która leży najbliżej mnie, i kładę ją na małej beżowej kałuży. Mam nadzieję, że to część z wiadomościami. Liczę też na to, że Stuart jeszcze jej nie przeczytał, a teraz nie będzie mógł tego zrobić.

Płyn przesiąka na wylot, choć zszywka składa się z kilku stron. Odwracam papier i widzę, że to część poświęcona nieruchomościom – moja ulubiona. Jeszcze jej nie czytałam, a teraz nie będę mogła tego zrobić. Czyżby mnie pokarało za wredne myśli?

– Czyli jesteś przygotowana na życie w ciemności? – pyta Imran.

– W ciemności? – pytam.

Patrzy na Stuarta ze zdziwieniem.

– Nie powiedziałaś jej?

– Chyba całkiem wyleciało mi z głowy. To nie potrwa długo, prawda? A zresztą... mamy prąd. I świece na wypadek jakiejś awarii.

– No więc? – Wpatruję się w niego. – Teraz, jak już sobie przypomniałeś, czy zamierzasz mi powiedzieć, o czym mowa?

Stuart patrzy na Imrana, który mówi:

– Wokół domu będzie rusztowanie. Wiedziałaś o tym, prawda?

Kiwam głową.

– Rusztowanie trzeba będzie zakryć grubą folią, z przodu i z tyłu, a okna zasłonić kartonem i je zakleić. Nie zaznasz raczej dziennego światła, dopóki nie skończymy. Ale mam nadzieję,

że ponieważ jesteś przez cały dzień w pracy, to nie zrobi zbyt wielkiej różnicy. A skoro dni i tak są coraz krótsze...

– Brak naturalnego światła – powtarzam, patrząc na Stuarta.

Nagle jestem bardzo świadoma bicia swego serca. Chce pochować nas żywcem. Czuję się, jakby to już się stało. Pokój wydaje się ciemniejszy niż przed kilkoma sekundami.

– Taka jest właśnie korzyść z dłuższych nocy – mówi wesoło Imran.

Niby jaka? Chyba mi umknęło, jeśli jakaś jest. Nie słyszałam nic, co by mi się spodobało.

– Niekorzystne jest to, że robota potrwa o wiele dłużej, niż trwałaby latem, bo nie możemy pracować po ciemku. Obawiam się więc, że utkniecie na jakiś czas z tymi rusztowaniami i osłoną z płacht.

– Czy nie możecie robić tego partiami? – pytam. – Zasłaniać okna tylko na jednym piętrze albo najpierw zrobić tył domu, a potem przód?

– Przykro mi – odpowiada Imran. – Tak nie pracujemy.

– Nawet jeśli klienci chcą, byście pracowali inaczej?

– Lou – mruczy Stuart.

– Gdybyśmy dwukrotnie ustawiali rusztowania, to podwoiłoby koszty – wyjaśnia Imran.

– To zapłacimy podwójnie!

– Nie, nie zapłacimy – sprzeciwia się Stuart. – Lou, nie wygłupiaj się. Będzie dobrze. Jak powiedział Imran, przez cały dzień jesteś w pracy...

– Ale nie w weekendy! A co z feriami świątecznymi? Joseph przyjedzie wtedy do domu. – Zwracam się do Imrana. – Czy skończysz przed czternastym grudnia? Nie przywiozę syna do domu pozbawionego naturalnego światła. Nie zrobię tego! Jak będzie trzeba, zedrę te plastikowe płachty osobiście.

– Mało prawdopodobne, bym skończył tak wcześnie – odpowiada Imran. – Piaskowanie to żmudna praca, jeśli wykonuje się ją porządnie – a ja jestem perfekcjonistą. Słuchajcie, może jestem przewrażliwiony, ale nie wyczuwam u was nieposkromionego entuzjazmu. Może musicie...

– Musimy iść dalej i zrobić, co ma być zrobione – wtrąca z naciskiem Stuart.

Stracimy nie tylko światło. Również widoki. W każdym oknie nic poza czernią.

– Musi być jakieś inne rozwiązanie – mówię, podczas gdy narasta we mnie panika. – Nie zgadzam się na to, jeśli ma oznaczać mieszkanie przez kilka miesięcy w ciemnym pudełku. Wyprowadzę się! Sam sobie mieszkaj w ciemności – warczę na Stuarta.

– Lou. – Kładzie swoją dłoń na mojej. Wygląda na zmartwionego. – Jesteś zmęczona i reagujesz przesadnie emocjonalnie.

– Rzeczywiście trochę tak jest, Lou – przyznaje Imran. – Robię to od lat. Można się przyzwyczaić do braku światła. Słowo daję, zdziwisz się, jak szybko to zacznie się wydawać normalne. A jeśli tego nie zrobimy, po półgodzinie od zaczęcia prac ustawi się kolejka ludzi zgłaszających pretensje. Gdybyś mieszkała na zabitej wsi i w promieniu wielu kilometrów nie miała wokół siebie sąsiadów, moglibyśmy darować sobie osłonę, a ty miałabyś to swoje światło, ale tak... – Wzrusza ramionami.

Więc: to słowo dźwięczy mi w głowie. Słyszałam je niedawno. Gdzie? Nie, nie słyszałam. Przeczytałam je. W mokrej gazecie.

Zerkam na poplamiony herbatą dodatek do „Sunday Timesa” poświęcony nieruchomościom i widzę całostronicowe ogłoszenie czegoś o nazwie Swallowfield: „Gdzie stawianie Natury na

pierwszym miejscu jest drugą naturą”. Nie, to nie tak. Swallowfield to pewnie nazwa jakiegoś miejsca, a reszta to ogłoszenie. „Doskonałe, spokojne miejsce odosobnienia na wsi, jedynie dwie godziny od Londynu”. W tle zdjęcie pól o zmierzchu, oddzielonych żywopłotami, zachód słońca utkany z fioletowych i pomarańczowych smug. Na górze są trzy inne zdjęcia w małych ramkach, zasłaniające część idyllicznego obrazka: nagie, opalone plecy kobiece, na których leżą w rzędzie okrągłe czarne kamienie i biały ręcznik zakrywający jej najwidoczniej jędrną pupę, następnie wielki odkryty basen z wodą o ciemnozielonej barwie i czterema kamiennymi fontannami w czterech rogach, wlewającymi świeżą wodę, oraz długi jednopiętrowy dom, który wygląda, jakby był cały ze szkła, z jednym tylko dziwnym metalowym pasem utrzymującym szkło w całości. Podpis głosi: „Nasz Szklany Dom, zdobywca nagród”. Jest piękny. Jak klejnot, który otacza jedynie zielona pustka.

Podobają mi się wszystkie słowa, które widzę na tej stronie. Podobają mi się o wiele bardziej od tego, o czym mówią Stuart i Imran.

„Ogrodzone osiedle domów wypoczynkowych w Culver Valley”. To może być dwie godziny drogi z Londynu – może trochę więcej, raczej dwie i pół – ale tylko godzinę od Cambridge.

„Doskonałe, spokojne miejsce odosobnienia na wsi.

Nasz ogrzewany, otwarty, dwudziestopięciometrowy basen z zielonego łupku jest do dyspozycji mieszkańców i ich gości przez 365 dni w roku.

Kuracja gorącymi kamieniami w naszej Lumina Spa, która wygrała nagrodę w wysokości 10 mln funtów”.

Podano tam numer telefonu. Do biura sprzedaży. Odrywam od niego wzrok i patrzę gdzie indziej, mając świadomość, że nie chcę zostać przyłapana. Teraz moje serce bije zbyt szybko, nie z przerażenia, ale na widok numeru telefonu. Zastanawiam się, dlaczego mam poczucie winy. Skoro ten numer nie należy do innego mężczyzny, nie mam przecież powodu.

Imran nadal mówi.

– Jak chcecie, możecie zaryzykować, ale na ulicy takiej jak ta, gdzie ludzie tylko czekają, by rzucić się do gardła komuś, kto robi coś nie tak, sugeruję, żeby porządnie ofoliować cały budynek, w przeciwnym razie chmury pyłu będą przenikać do domów sąsiadów i buchać na drogę. Czy Stuart uprzedził cię, że będzie pył?

– Nie, nie uprzedził.

– Jestem pewien, że uprzedziłem.

– Dużo będzie tego pyłu? – pytam.

– Całkiem sporo – przyznaje szczerze Imran. – Postaramy się jak najlepiej zabezpieczyć was przed nim, oklejając dokładnie okna, ale... realistycznie rzecz biorąc, przez jakiś czas będziecie żyli w pyłe.

Pył. Zaklejone okna. Brak powietrza i światła. Właśnie tak mogłabym zostać uprzedzona o śmierci – dokładnie w ten sposób, przy użyciu określeń typu „realistycznie rzecz biorąc” oraz „całkiem sporo”. Jakby wcale nie miało zdarzyć się coś potwornego. Przerażenie opada na moje serce znikąd, bez ostrzeżenia, chwytając mnie. Przez kilka sekund nie mogę oddychać ani mówić. Cicho, w głowie, recytuję słowa, którym z nadzieją przypisuję magiczną moc, słowa, które wypowiedziałby Stuart: „Pewnego dnia prace prowadzone przy moim domu zostaną zakończone, a kiedy to nastąpi, światło powróci, a pył zniknie”.

Muszę jasno dać do zrozumienia Stuartowi, że nie może być piaskowania. Później, gdy Imran już pójdzie. Napatrzył się na zbyt wiele dowodów małżeńskiej dysharmonii.

„Doskonałe, spokojne miejsce odosobnienia na wsi”.

– Przrzekam, Lou, przekonasz się, że warto – zapewniam.

Stuart mu przytakuje.

„Gdzie stawianie Natury na pierwszym miejscu jest drugą naturą”.

– Wiem.

Zbyt późno uświadamiam sobie, że nie powinnam była tego mówić, ale mój umysł jej zbyt zaprzętnięty próbą zapamiętania telefonu Swallowfield.



Doktor Ivan Freeman, dyrektor muzyczny Saviour College School ma taką brodę, jakiej nienawidzę. Jest starannie utrzymana, przystrzyżona i gęsta, jakby ktoś obkleił mu twarz kawałkiem rudego dywanu. Widuję ją w każdy niedzielny poranek, a także we wtorkowe i czwartkowe wieczory. W semestrze szkolnym nie mogę ujrzeć swojego syna, nie widząc zarazem brody doktora Freemana. Zaczęłam panicznie bać się tego widoku, chociaż pojawienie się brody w dowolnym dniu oznacza, że wkrótce zobaczę Josepha. Staram się wyobrazić ją sobie teraz, zanim doktor Freeman i jego chór się zjawią, by się przygotować psychicznie.

Stuart i ja siedzimy w kaplicy Saviour tam gdzie zawsze w niedziele, wtorki i czwartki. Wszyscy rodzice chórzystów mają na stałe przypisane miejsca, które spieszenie zajmują zaraz po otwarciu drzwi kaplicy. Zapewniają one optymalny widok synów, z których każdy zawsze stoi podczas śpiewania w dokładnie tym samym miejscu.

Nasi synowie.

My, rodzice, zjawiamy się pierwsi: przed naszymi chłopcami i resztą zgromadzenia. Pospiesznie wchodzimy do zimnej, cichej kaplicy, nie zwracając uwagi na piękne witraże w oknach ani wyszukaną snycerkę na wiekowych boazeriach, ponieważ te rzeczy nie mają nic wspólnego z naszymi dziećmi, i siadamy w twardych ławkach, wyczekując dręczącej bliskości. Jesteśmy podekscytowani, bo wkrótce będziemy przez jakiś czas blisko naszych synów, a zarazem już załamani, bo wiemy, że ten rozkoszny stan potrwa jedynie czterdzieści pięć minut albo godzinę, albo dwie godziny, jeśli po występie czeka nas lunch na stojąco, jak dzisiaj.

I nie będziemy wystarczająco blisko: obyczaj i uprzejmość osaczają nas w ławkach, wiele metrów od naszych chłopców, których nie będziemy mogli uściskać: widownia, nie uczestnicy. Doktor Freeman będzie bliżej. Kiedy dzisiejsze świętowanie się skończy, powie nasze synów w zakamarki szkolne i ujrzymy ich dopiero na następnym nabożeństwie.

Może nie wszyscy rodzice czują się tak jak ja. Wiem, że Stuart nie. Zawsze jest zachwycony, że widzi Josepha, ale też chętnie się z nim żegna, gdy przychodzi na to czas. „Jak on jest szczęśliwy, Lou, to ja też, a on najwyraźniej jest w swoim żywiole”.

Nie chcę, by Joseph był w swoim żywiole. Wolę, żeby był w swoim domu. Żeby każdej nocy spał w swoim łóżku.

To zabrzmiałoby seksistowsko, więc nigdy tego nie mówię, ale nie obchodzi mnie, jak się czuje Stuart czy inni ojcowie. Są mężczyźnami. To co innego. Zastanawiam się nad matkami: ile z nich nienawidzi tej pułapki tak samo jak ja? Szczególnie podejrzliwie odnoszę się do tych, które hałaśliwie papugują gadkę, którą karmili nas doktor Freeman, kapelan i dyrektor. Że niby tacy z nas szczęściarze i że powinniśmy być wdzięczni. Mam cichą nadzieję, że pewnego dnia któraś z nich pęknie – najlepiej, żeby zdarzyło się to w trakcie ważnego nabożeń-

stwa – i na całe gardło wykrzyczy jakieś obelgi, a potem złapie swego syna i z nim zwieje.

Tylko trzy matki znam z imienia i nazwiska: Celię Morris, Donnę McSorley i Alexis Grant. Wszystkie trzy po raz pierwszy zjawily się dziś przede mną. To mnie martwi. Chcę być pierwsza w kaplicy, zawsze, w kilka sekund po tym, jak drzwi otwierają się dla publiczności. Chcę, by kapelan zauważył, że przychodzę wcześniej i czekam dłużej niż inni, i chcę, by przekazał tę informację doktorowi Freemanowi, który jeśli kiedykolwiek skusi się, by wypuścić tylko jednego chłopca, jak jakiś terrorysta w filmie akcji trzymający na muszce licznych zakładników w pokoju, może będzie bardziej skłonny wybrać Josepha, skoro słyszał o moich długich, pełnych poświęcenia czuwaniach.

Wiem, że to przesąd i bzdura; równie dobrze mogłabym wierzyć w elfy i wróżki. Doktor Freeman nie jest tak skłonny do ustępstw jak przeciętny hollywoodzki porywacz, który wprawdzie ma chwile szaleństwa i czasem zbyt szybko pociąga za spust, ale który ostatecznie jest zwykle przygotowany na uwolnienie jakiegoś słabowitego staruszka albo kobiety ciężarnej.

Zauważyłam, że Alexis Grant uśmiecha się z wyższością, widząc, jak Stuart i ja wpadamy w ostatniej chwili po spotkaniu z Imranem. Zorientowała się już, że lubię przychodzić jak najwcześniej, i jest zadowolona, że przy tej okazji zawaliłam sprawę.

Wiedziałam, że nie lubię Alexis po dziesięciu minutach pierwszej rozmowy. Zapytała, gdzie mieszkam, a kiedy odpowiedziałam, że na Weldon Road, skrzywiła się i powiedziała: „Och, biedactwo, utknęłaś w samym centrum Cambridge. Czy masz jeden z tych wielkich wiktoriańskich domów?”. Nie dając mi szansy na odpowiedź, ciągnęła dalej: „Niech zgadnę – koszmarny problem z utrzymaniem tego gmaszyska? I maleńki ogródek, co?”. Powiedziałam jej, że nie mamy ogródka jako takiego – a jedynie małe podwórko – i patrzyłam, jak na jej twarzy rozlewa się zachwyty. „My mamy osiemdziesiąt arów – oznajmiła z dumą. – W Orwell. Na nic bym tego nie zamieniła”. Pomyślałam wtedy, choć nie powiedziałam, że nie proponowałam jej żadnej zamiany. Kiedy powtórzyłam później tę rozmowę Stuartowi, prychnął tylko i odparł: „Można wymienić tylko jedną zaletę Orwell. Tylko jedną. Jest blisko Cambridge. I tyle”.

Celia Morris nie jest taka okropna jak Alexis, ale równie irytująca. Jest nieśmiałą, pozbawioną pewności siebie kobietą, która sprawia wrażenie, że gotowa jest czcić natychmiast każdego, kto ośmieli się wyrazić jakąś opinię albo rzeczywiście coś zrobić. Wkrótce po tym, jak mnie poznała, wbiła sobie do głowy, że jestem dzielną wojowniczką, która nie obawia się niczego ani nikogo – nie mam pojęcia, na jakiej podstawie wyrobiła sobie taką opinię – i teraz za każdym razem, gdy mnie widzi, mówi to samo na różne sposoby: „Popatrz na mnie, jestem cała przemoczona! Zapomniałam parasolki. Co za ofiara ze mnie. Ty pewnie nigdy nie zapominasz parasolki, prawda? Założę się, że deszcz nie ośmieliłby się na ciebie padać, nawet gdybyś to zrobiła”. Albo: „Ucałowałabym cię na powitanie, ale mam silny katar. Nie jestem taka jak ty – ty pewnie nigdy się nie przeziębiasz. Od razu widać, że z ciebie prawdziwy okaz zdrowia”. Wypowiada te absurdalne oświadczenia tonem głębokiego podziwu, z przymilnym uśmiechem, a jeśli próbuje zapewnić, że jestem zdolna do tego, by przemoknąć albo się przeziębić, jak każdy inny człowiek, uśmiecha się z jeszcze większym podziwem i mówi: „Nie mogę uwierzyć, że jesteś aż tak skromna”. Chciałabym bardzo powiedzieć jej pewnego dnia: „Celio, dosłownie nic o mnie nie wiesz. O czym ty, u licha, mówisz?”. Ona pewnie wybuchłaby wtedy płaczem i wybiegła z pokoju albo zachichotałaby tkliwie i powiedziała: „Jesteś taka zabawna. Chciałabym mieć takie poczucie humoru”.

Donna McSorley jest zdecydowanie najlepsza z nich wszystkich: pulchna notariuszka z nieprzebranymi zasobami zbyt obcisłych kostiumików, które odsłaniają szczerze dekolt, oraz z niesfornymi włosami, które nigdy nie są tak na dobre upięte ani rozpuszczone, a do tego ozdobione opaskami i klamerkami i sterczą pod dziwnymi kątami, jak u jakiejś postaci z książki doktora Seussa. Ma wielkiego jak góra drugiego męża, który ubiera się niby jakiś arystokrata przemieniony we włóczęgę – drogo, lecz niechlujnie – i najwyraźniej go uwielbia. Gdy po raz pierwszy pojawił się na nabożeństwie, popchnęła go ku mnie i trzymając jedną rękę na jego plecach, a drugą na brzuchu, zawołała: „Louise! Czy poznałaś już mojego cudownego faceta?”. Chichotali i całowali się, podczas gdy chłopcy śpiewali.

Za nic bym się nikomu do tego nie przyznała, ale wkurza mnie, że Donna, którą ledwie znam, ma nowego męża, za którym tak szaleje. Zazdroszczę jej tej dokładki. Nie chcę rozwodzić się ze Stuartem, ale choć inne rzeczy są chyba na tym samym poziomie, jak sądzę – nie, jak wiem – to pragnęłabym bardzo mieć drugiego męża, którego bym uwielbiała na tyle, by przedstawiać go ludziom jako „mojego cudownego faceta”, z ręką na jego brzuchu. Chciałabym mieć szansę wybrać sobie męża teraz, kiedy jestem starsza i wiem, jak fachowo bym go wyszukała, nie pozostawiając nic przypadkowi.

Według Alexis Grant pierwszy mąż Donny był koszmarny: brutal, alkoholik, babiarcz, rasista. Same złe rzeczy. „Czy dodała, że Orwell wcale nie robiło na nim wrażenia?”, spytał Stuart, kiedy przekazałam mu te informacje. Uśmiecham się na wspomnienie tego, jak się wówczas śmiałam. Mój pierwszy mąż jest dowcipny, mądry i mnie kocha. Nie pije za dużo, nie zdradza mnie, nie jest brutalem ani rasistą, wydaje się, że zawsze jest w dobrym nastroju. Ma stałą i ważną pracę, którą bardzo podziwiam: kierownik zespołu wdrożeniowego w Centrum Danych Krystalograficznych Cambridge. Alexis nie była zachwycona, kiedy ją o tym poinformowałam. Sama sobie winna: gdyby się nie dopytywała, dlaczego zdecydowaliśmy się na mieszkanie w hałaśliwej części miasta, nie byłabym zmuszona wspomnieć o tym, że Stuart ma tylko dwie minuty drogi do pracy i co to za praca.

Rozlegają się organy. Serce podskakuje mi w piersi. To oznacza, że Joseph jest tutaj: na zewnątrz, w przedsionku. Czekamy. Minuty zdają się tygodniami. Potem drzwi prowadzące do głównej kaplicy stają otworem i wchodzi doktor Freeman ze swoją brodą z dywanu i posyła nam swój mam-waszych-wszystkich-synów uśmiech. Chłopcy o ponurych twarzach podążają za nim w dwóch szeregach, mają na sobie czerwone sutanny i białe komże, trzymają teczki z hymnami, pieśniami i modlitwami przeznaczonymi na dzisiaj. Rozpaczliwie pragnę zobaczyć Josepha, ale wiem, że dopiero za chwilę pojawi się w polu widzenia. Jako nowicjusz idzie na końcu szeregu. Kiedy się wreszcie pokazuje, biorę gwałtowny wdech. Wygląda zdrowo i szczęśliwie. Jest rozpromieniony. Stuart kładzie mi na ramieniu rękę, jakby chciał mnie przed czymś powstrzymać. Mam ochotę powiedzieć mu: „Wszystko gra. Nie zamierzam zrobić nic szalonego”.

Joseph uśmiecha się do nas. Odpowiadam uśmiechem i macham do niego. W tym momencie Stuart zawsze patrzy na mnie z niepokojem, by sprawdzić, czy nie płaczę, i dziś nie robi wyjątku. Kilka matek zawsze płacze, i uśmiechają się jednocześnie jak szalone, by dać jasno do zrozumienia, że to tylko radosne łzy czyż-nie-jesteśmy-szczęściarzami, a nie takie, które mogą przysporzyć szkole problemów.

Oczy mam podpuchnięte, podkute czerwonymi poduszczkami, ale suche. Płacz byłby zbyt ryzykowny. Wewnątrz mnie kłębi się ognista kula wściekłości, która by mnie zaślepiła, gdy-

bym pozwoliła choć jednej łzie wypłynąć. Doktorowi Freemanowi wystarczyłoby jedno spojrzenie, by się domyślić, że w skrytości knuję plan zniszczenia jego kariery oraz szkoły, chóru, reputacji Saviour College – wszystkiego, co nauczono się tu w ciągu stuleci utrwaląc.

Włosy Josepha lśnią. Buty ma zdarte. Jego twarz, blada i owalna, przyciąga całe światło kaplicy i jest jedyna, jaką widzę. Wszyscy stojący obok niego chłopcy wyglądają jak wycięci z kartonu.

Kiedy kapelan zaczyna śpiewać psalm responsoryjny, odrywam oczy od mojego syna i przebiegam wzrokiem ławki, by sprawdzić, czy nie ma gdzieś pana Fahrenheita. Głupota: niby czemu miałby tu być?

Bo to kolejna rzecz, którą mógłby zrobić, by cię zastraszyć: wariacja na temat.

Pewne elementy nabożeństwa są niezmiennie i te jak dotąd lubię najbardziej. Zaczynam traktować je jako część swojego syna. Nie mam innego wyboru, jak tylko je kochać, skoro je wyśpiewuje, kiedykolwiek go widzę. Ale nie psalm: ten za każdym razem jest inny. W dzisiejszym jest zdanie oznajmiające wprost, że tylko ten, kto nie czyni zła sąsiadowi, zabawi w świętym namiocie Pana. Słyszysz, panie Fahrenheit? Nie dla ciebie święty namiot, lecz jedynie wielki teologiczny znak „Spierdalaj” na płachcie wejściowej.

Po odczytaniu psalmu kapelan mówi:

– Ofiarujmy teraz Bogu nasze modlitwy i zanieśmy doń nasze błagania.

To regularna część nabożeństwa, tak jak responsoria na wejście, lecz jej nie Kocham, bo Joseph nie bierze w niej udziału – to jeden z solowych występów kapelana. Nie ma tu też żadnej melodii.

– Tego ranka modlimy się za chorych i rannych. Modlimy się za Betty Carter, Andrew Saundersa, Heather Aspinall...

Blokuję się na dalszy odbiór nazwisk i modlę tylko o to, by mojemu synowi pozwolono wrócić ze mną do domu po nabożeństwie.

– Modlimy się za niedawno zmarłych, a w szczególności za spokój duszy Dennisa Hallidaya, Timothy’ego Lawsa, Edith Kelly...

Modlę się, by nagle odkryto, że Joseph nie ma słuchu muzycznego, więc nie może być dłużej członkiem chóru chłopięcego Saviour College. Żeby mógł zostać odesłany do domu.

– ...Modlimy się za pokój na ziemi, lecz również o ustanowienie na świecie sprawiedliwości, bez której nie może być pokoju.

– To kwestia dyskusyjna – szepczę do Stuarta.

– Ciiii – odpowiada.

– Pokój będzie musiał polegać wyłącznie na sobie, bo ludzie nigdy nie przyjmą jednej definicji sprawiedliwości, nie mówiąc już o jej ustanowieniu.

– Czy możemy przedyskutować to później?

– Wkurza mnie, że tak gładko przechodzi od śmierci jakiejś biednej cici czy babci kogoś ze zgromadzenia do globalnych nieszczęść i... serwuje te abstrakcyjne frazesy – mruczę.

Mówię to w każdą niedzielę. We wtorki i czwartki, dla odmiany, wściekam się na słowa powtarzanego w nieskończoność *Magnificat*. „Głodnych nasycił hojnie i dobra spanoszył, Bogaczyów z niczym puścił i nędznie rozproszył”. Brzmi to bardzo mściwie, a poza tym jest bez sensu, bo ci, których odesłano z kwitkiem, wkrótce stworzą nowe zastępy głodnych. Czy wówczas Pan ich nakarmi? Jak bardzo muszą zgłodnieć, by się do tego kwalifikować? Czy Bóg chce, by wszyscy byli równie dobrze karmieni, czy jest bardziej zainteresowany karaniem

uprzywilejowanych z powodu sprzyjającego im losu? Bez wątplenia tak właśnie to brzmi, zwłaszcza w połączeniu z „Wyniosłych złożył z tronu”. Czy należałoby przyjąć, że Bóg miał bolszewickie ciągotki?

Jestem gotowa przyznać, że ktokolwiek napisał te słowa *Magnificat*, prawdopodobnie wcale nie chciał, by brzmiały aż tak okropnie, a jednak szybka redakcja tekstu rozwiązała by problem. „Głodnych nasycił hojnie i dobra spanoszył, bogaczów zaś skierował do restauracji z kilkoma gwiazdkami Michelina, wiedząc, że zostaną tam dobrze obsłużeni”.

– Panie, w swym miłosierdziu... – intonuje kapelan.

To nasza końcówka.

– Wysłuchaj naszych modlitw – mówimy wszyscy unisono.

Lubię ten kawałek: wypowiedzianie tych samych słów co mój syn. Próbuję oddychać jego oddechem z drugiej strony sali.

– Modlimy się za osoby, które prosiły o nasze modlitwy, i za te, w których intencji modlitwę zamówił ktoś inny. Są to: Cath i Dan Taylorowie, Margaret, Elsie...

Zmartwiony tym, że zdenerwował mnie próbami uciszenia, Stuart nachyla się do mnie i szepcze:

– Założę się, że to Elsie prosiła o modlitwę za siebie. Słysząc, że to potworna egotyczka.

Uśmiecham się.

– Z okazji rocznicy ich śmierci modlimy się za Norę Wallis, Anne Dobson, Petera Turnera, Emmę Kobayashi. Panie, w swym miłosierdziu...

– Wysłuchaj naszych modlitw.

Stuart mówi mi wprost do ucha:

– Modlimy się o sprawę sądową dla pana Fahrenheita, który całkowicie na to zasłużył, albowiem przez kilka miesięcy zachowywał się po chamsku i nie liczył z otoczeniem. Wyzywam cię, żebyś napisała to w wielkiej niebieskiej księdze modlitw, jak będziesz wychodzić.

– Mogłabym to zrobić – odszeptuję. – A ty?

– Mógłbym.

– Wyzywam cię.

– Dobrze. Zrobię to. Jeśli obiecasz, że nigdy nie powiesz o tym Josephowi. Czy wspomniałaś o panu Fahrenheicie komukolwiek związanemu z Saviour? To znaczy pod tym nazwiskiem?

– W ogóle o nim nie mówiłam.

– Dobrze. W takim razie nie ma mowy, by połączyli to z Josephem.

– Tak naprawdę nie zamierzasz tego zrobić, prawda?

– A niby czemu? – dziwi się Stuart. – Zmienię charakter pisma.

– Nie ma szans, by kiedykolwiek odczytano to na głos, nawet gdybyś opuścił „po chamsku”.

– Nieważne – szepcze Stuart. – Jak to się znajdzie w wielkiej niebieskiej księdze, to będzie już sprawa między mną a Panem Bogiem.

Tłumię chichot. Joseph posyła mi znaczące spojrzenie: jego zenująca matka.

Kocham swojego męża odrobinę bardziej niż wtedy, gdy się tu zjawiliśmy. Odkąd Joseph zaczął uczyć się w Saviour, po raz pierwszy w tej kaplicy dzięki Stuartowi zostałam oddzielona od swego gniewu i przygnębienia na tyle długo, by się roześmiać.

– Wyobraź sobie, że zabiłbym Fahrenheita i zapisał jego nazwisko w błękitnej księdze pod „Ostatnio zmarli, niech spoczywają w spokoju” – mówi Stuart cicho, zasłaniając się ręką. – To

zostałoby odczytane na głos. Usłyszałaabyś, jak kapelan modli się za spoczynek duszy Justina Claya, i odwróciłabyś się ku mnie z zaskoczeniem. Wtedy zauważyłabyś znaczący błysk w moim oku – i uświadomiłabyś sobie, że go zabiłem, a to mój sposób na powiadomienie cię o tym – wykorzystałbym kapelana jako pośrednika dla swojego wyznania, bez jego wiedzy.

– A wtedy ja wstałabym i zawołała: „Niechaj jego dusza spłonie w piekle” – sugeruję, niezbyt zachwycona swoją bierną rolą w opowieści Stuarta.

Co nie znaczy, że nie podoba mi się ona jako całość, wręcz przeciwnie. Nie obchodzi mnie, czy wychodzi z siebie, by mnie zadowolić, tylko dlatego, że czuje się winny w związku z piaskowaniem i pyłem oraz własną umiejętnością spania w hałasie. Ma talent do tego, by nakłaniać mnie do wybaczenia.

To dlatego Bóg, jeśli istnieje, nigdy nie przydzieli mi drugiego męża. Donna ma drugiego tylko dlatego, że ten pierwszy był przez cały czas okropny. Pewnie na tym polega ten układ: albo masz okropnego męża, po którym otrzymujesz drugiego, który jest bliski ideału, albo dostajesz jednego na całe życie, który sprawia, że czujesz się opuszczona i zawiedziona w jednej chwili, a uratowana z bolesnego wygnania w kolejnej.

Nie wiem, czy jednak nie wolałabym zamienić się z Donna.



Przyjęcie na stojąco odbywa się w olbrzymiej, podziemnej Starej Kuchni Saviour. Menu jest znakomicie nudne: najlepsze paszteciki i małe kiełbaski, bardzo kremowa sałatka coleslaw, najdroższe kurze udka, quiche i pokrojone bagietki, ale nie ma tu nic, czego nie mogłabym przewidzieć, i nie tylko dlatego, że to przyjęcie jest takie samo jak każde inne, w którym brałam udział w Saviour.

My, rodzice, znów czekamy na swoich synów. Joseph wraz z innymi chórzystami i nowicjuszami przebierają się z sutann i komż w to, co nazywają „ubranie do zabawy”. To kolejny punkt ustalonego porządku, którego nie znoszę. Jaka to różnica, co mają na sobie? Daj ich nam, Panie, na dziesięć minut dłużej.

– Nie wiem, czy dam radę znów zjeść ten lunch – skarżę się Alexis, której jedyną użyteczną cechą jest to, że jeśli mam chęć na coś napsioczyć, ona zwykle z entuzjazmem się przyłącza.

– To Lunch Świstaka – mówi teraz.

Doktor Freeman rechocze głośno po drugiej stronie pomieszczenia, zza swojej Brody Świstaka. Otoczył go wianuszek rodziców. Jest w nim również mój zdradziecki mąż.

– Następnym razem przyniosę własne wiktuały z kawiarni w ogrodzie botanicznym – oznajmiam Alexis, wybierając pasztecik, na który wcale nie mam apetytu, i kładę na swoim talerzu.

– Chyba ci się tam nie podoba, co? – Marszczy nos.

– Ależ bardzo. Przeważnie chodzę tam na lunch. Jedzenie jest zupełnie inne, w dobrym znaczeniu. Jak byłam tam ostatnim razem, wzięłam sobie batata i sałatkę z twarożkiem – pycha.

– Skoro tak twierdzisz. Dla mnie brzmi okropnie. Jak tego słucham, od razu bardziej podobają mi się te kurze udka.

Śmieje się, bierze jedno udko przez papierową serwetkę i zaczyna je delikatnie ogryzać.

Powinnam porzucić ten temat, ale nie mogę się powstrzymać i mówię:

– W tej kawiarni podają również zupeł, wieprzowinę zapiekaną w cieście, pyszne ciastka – lubisz takie rzeczy? I możesz, jedząc, zachwycać się fantastycznym widokiem ogrodu botanicznego. Lubisz ogrody, prawda?

– Mogę sobie patrzeć na swój ogród za darmo, dziękuję bardzo. Cztery funciaki za każdym razem za samo przekroczenie bramy, a kiedyś nic się za to nie płaciło? Nie, dziękuję.

Alexis jest przewidywalna jak przyjęcia w Saviour. Nie może przyznać, że ogród botaniczny ma do zaoferowania cokolwiek wartościowego, bo znajduje się on w Cambridge. Przemawia przeciwko niemu również to, że jest w pobliżu mojego domu i biura, co przypuszczalnie przypomina Alexis, że ona sama utkwiała w Orwell, daleko od miejsca, w którym pracuje wraz z mężem, czyli KPMG. Tak się składa, że biuro tej firmy również mieści się blisko ogrodu botanicznego; po drugiej stronie Hills Road.

– Byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby przyznała, że bardzo by chciała mieszkać w Cambridge, ale jej na to nie stać – powtarzał mi parę razy Stuart. – Powinnaś jej to powiedzieć.

– Oto chłopcy! – woła kobiecy głos, a wtedy oni napływają, biegnąc do swoich rodziców.

W całym pomieszczeniu małe ramionka zamasyżycie otaczają talie. Ale nie Josepha, on kieruje się w stronę bufetu, wołając: „Cześć, mamó! Cześć, tato!”, z oczami wbitymi w koktajlowe kiełbaski. Podchodzę do niego i mocno obejmuję, ledwie mogę znieść radość i ból, które podrywają się we mnie: każde rozwija się jak podnoszący głowę wąż, kiedy czuje obecność tego drugiego, i przygotowuje się na walkę na śmierć i życie, zapomniawszy, że zawsze kończy się tak samo; zwycięzca jest zawsze ten sam – mniej na to zasługujący, lecz silniejszy.

Czy kiedyś może być łatwiej? Mogłabym spytać o to matki starszych chórzystów, ale się boję, że zrobiłyby zdziwioną minę i spytały: „Ale o co chodzi? Czy dla pani to trudne?”, a ja poczułabym się jak jakiś dziwoląg.

Może Stuart ma rację. Może obdarzam Josepha zbyt silnym uczuciem, zbyt jestem od niego zależna. Jednak na swoją obronę mogę powiedzieć, że na pewno by tak nie było, gdyby dano mi standardowe osiemnaście lat na odpuszczenie. Nikt mnie nie ostrzegł, że będę musiała to zrobić, gdy syn ma siedem lat.

– Byłeś znakomity, kochanie – mówię, przyciskając go do siebie.

Wijąc się, uwalnia się z uścisku. Nigdy do tego nie przywyknę: przyciskam go do siebie przy każdej okazji i zatrzymuję w ramionach zbyt długo, więc czuje, że musi uciekać. Szkoła Saviour College wykreowała we mnie bluszczowatość: w zeszłym roku o tej porze ten problem jeszcze nie istniał.

– Zawsze mówisz, że jestem znakomity, mamó. Bo jesteś moją mamą.

Wygląda dobrze. Wydaje się szczęśliwy. Jest dokładnie taki, jaki był. Nic złego mu się nie przydarzyło. Mogę pocieszać się tym później, kiedy zniknie.

– Bo zawsze jesteś znakomity – zapewniam.

Wokół siebie słyszę rodziców, którzy to samo mówią swoim synom. Zastanawiam się, jak wielu z nich życzyło sobie nagłego braku słuchu muzycznego, który położyłby kres tej znakomości. Nikt aż tak gorąco jak ja, jestem o tym przekonana.

– Mamó, powiedziałaś, że nie mogę mieć trampek sznurowanych aż do kostek?

– Co?

Joseph zgarnia kilka kiełbasek i próbuje włożyć je wszystkie naraz do buzi. Jedna upada na podłogę. Przydeptuję ją i wgniatam w dywan.

– Mamó! – gani mnie Joseph, rozglądając się na lewo i prawo, by sprawdzić, czy ktoś to za-

uważył. – Poza tym ty i tata rozmawialiście w czasie nabożeństwa! Widziałem.

– Przepraszam.

– Daruję ci, jeśli kupisz mi trampki sznurowane za kostkę – mówi z nadzieją.

– Czyli jakie?

– No wiesz, te, które spodobały mi się w Sports Direct, a ty powiedziałaś, że gdzieś przeczytałaś, że szkodzą na stopy albo kostki? No ale wcale tak nie jest. Louis nosi takie trampki przez cały czas i mówi, że to nieprawda. Widziałem jego stopy i kostki, wszystko z nimi w porządku.

Louis to syn Donny McSorley. Tak jak Joseph jest nowicjuszem.

To by było zbyt łatwe, gdybym powiedziała: „Na razie z jego stopami i kostkami wszystko w porządku, ale jeszcze zobaczysz, jak wykrzywią się w przyszłości przez to, że nosił nieodpowiednie trampki”. Nie wiem i nie wiedziałam, czy te wysoko sznurowane trampki niosą ze sobą jakieś zagrożenie. Dodałam na wpół zapomnianą plotkę o sznurowanych do kolan butach, które nosiłam jako nastoletnia gotka, do pragnienia natychmiastowego opuszczenia sklepu Sport Direct, a tekst o niszczeniu kostek i stóp akurat wpadł mi do głowy. Nie mogę się do tego przyznać, więc mówię:

– Prawdopodobnie możesz dostać wysoko sznurowane trampki. Może na Gwiazdkę.

– Naprawdę? – Joseph wygląda na zaskoczonego. – Super!

– Co super? – pyta Stuart, który do nas dołącza.

Mierzwi włosy Josepha: typowy, podręcznikowy wręcz gest „kochającego ojca”. Pragnę demonstracji silnych uczuć ze strony mojego męża wobec naszego syna, a nie czegoś, co wygląda, jakby było zainspirowane przez ogłoszenie oszczędnościowej kasy mieszkaniowej.

Alexis Grant ciągnie mnie za rękaw.

– Mieszkasz pod numerem dziewiętnastym na Weldon Road, prawda? – pyta.

– Nie. Siedemnastym. Czemu pytasz?

Stuka w ekranik swojego iPhone’a.

– Lista kartek świątecznych – odpowiada.

Nie wierzę jej. Gdyby chciała wysłać mi kartkę świąteczną, mogłaby wręczyć mi ją po każdym nabożeństwie z udziałem chóru pomiędzy dniem dzisiejszym a dwudziestym piątym grudnia.

– Jeśli zamierzasz dostarczyć ją osobiście, na drzwiach nie ma numeru. Po prostu szukaj najbrudniejszego, najbardziej zapyłonego domu na ulicy.

Natychmiast się ożywia, jak pies węszący perspektywę spaceru, chętna do wysłuchania dalszych punktów z listy wad mojego domu.

– No, ale długo to nie potrwa – przechodzę szybko do puenty. – Za tydzień od jutra zaczyna się czyszczenie fasady. Potem dom będzie wyglądał fantastycznie.

– Mama mówi, że mogę dostać wysokie trampki pod choinkę – oznajmia Joseph Nathanowi i innemu chłopcu, który się właśnie przypałał. To chyba Sebby. Nie znam jego nazwiska.

– Super! – mówią we dwóch naraz.

Potem Sebby odwraca się do Natana i woła:

– Raz, dwa, trzy, moje szczęście!

– Jego szczęście – oświadcza Joseph Nathanowi, jakby to było coś poważnego i ostatecznego, nieodwołalnego.

Mój syn jest dwujęzyczny – inaczej porozumiewa się w domu, a inaczej w szkole.

Widzę, że zbliża się doktor Freeman, i czuję, jak mój szkielet sztywnieje, jakby jego twardość mogła ochronić mnie od środka. Zamiast powiedzieć: „Witam, pani Beeston” albo „Cześć, Louise”, mówi: „A oto i mama Josepha”, podchodząc do mnie. Mam wielką ochotę odpowiedzieć: „A oto i chórmistrz Josepha”.

– Chłopcy dobrze wypadli dziś rano – mówię zamiast tego.

– Prawda? – rozpromienia się doktor Freeman. – Myślę, że to był najlepszy występ na dotychczasowych nabożeństwach w tym semestrze. Poczynili zadziwiające postępy w zaledwie kilka tygodni – to doprawdy niewiarygodne.

Nie posuwałabym się aż tak daleko. Odśpiewali kilka pieśni. Ładnie. Cóż w tym trudnego?

– W tym roku mamy bardzo zdolnych nowicjuszy, szybko się uczą. Od razu widać różnicę. Joseph robi szybko olbrzymie postępy.

– Wspaniale to słyszeć – rozplywa się Stuart. – Ciężko pracuje, prawda?

– Chyba mógłbym bardziej się starać – wtrąca Joseph.

– Jest niezwykle zaangażowany – przyznaje doktor Freeman, a mój syn wygląda, jakby mu ulżyło. – Zresztą jak wszyscy nowi chłopcy. To wspaniałe. Ale niech ci te wszystkie pochwały nie uderzą do głowy, młodzieńcze. – Klepie Josepha po ramieniu, potem zwraca się do mnie: – Wiem, że rodzicom jest na początku ciężko, ale mam nadzieję, że widzi pani, że nie ma powodów do zmartwień, pani Beeston. Joseph rozkwita.

– Tak, na to wygląda...

Na tyle tylko mogę się zdobyć i niemal się krztuszę tymi słowami. To będzie musiało wystarczyć. Żeby nie mieć przed oczami doktora Freemana, odwracam się w lewo i patrzę na plecy Alexis. Rozmawia z uczącym się gry na organach szkolnym stypendystą, Tobiasem, o czymś, o co zabiegał albo zamierza się starać.

Rozkwita... Mógł powiedzieć „świetnie sobie radzi” albo „dobrze się aklimatyzuje”, ale wolał powiedzieć „rozkwita”. Słowo to wywołuje skojarzenie z kwiatem nagle skąpanym w słońcu i wodzie, kwiatem, któremu dano mnóstwo miejsca do rośnięcia po latach zamknięcia w niedogodnych warunkach. Aż mnie zatyka od tej jego arogancji.

– Och, mogę ci to wygugłować – mówi Alexis do Tobiasa.

Zanim zdąży coś wystukać na klawiaturze, widzę przez ramię ekran jej telefonu. Znajduje się na nim mój adres, cena, jaką Stuart i ja zapłaciliśmy za dom, oraz data nabycia. Czytam, co jest napisane poniżej, i widzę, że dom pod numerem dwudziestym siódmym na Weldon Road sprzedano w listopadzie 2011 roku za 989 950 funtów. Shamirom. Tej informacji nie ma w telefonie Alexis, ale znam Salmę Shamir: chodzimy razem na jogę.

Zajmuje mi to kilka sekund, ale w końcu wiem, o co chodzi: to strona z cenami sprzedanych domów. Słyszałam o takich, ale nigdy wcześniej żadnej nie widziałam.

Klepię Alexis po ramieniu, a ona się odwraca.

– Dalibyśmy za niego nawet półtora miliona, gdyby było trzeba – mówię kumplowskim, poufałym tonem, skinąwszy głową w stronę jej telefonu. Ponieważ najwyraźniej zabrakło jej słów, pomagam jej, mówiąc: – Na twoim miejscu i tak wysłałabym tę kartkę święteczną, jakkolwiek to może być żenujące. Niewysłanie byłoby jeszcze gorsze.

Odwracam się z powrotem do doktora Freemana i Stuarta, którzy rozmawiają o narodowej nagrodzie za klasyczną kompozycję dla dzieci poniżej dwunastego roku życia. Joseph, Nathan i Sebby powędrowali na koniec bufetowego stołu, gdzie znajdują się ciastka. Czekam na przerwę w rozmowie, by powiedzieć:

– Zastanawiałam się nad kwestią mieszkania w internacie.

Stuart patrzy na mnie rozszerzonymi oczami: jasny znak „stop”.

– Chodzi mi o wymóg, żeby chórzyści mieszkali na stałe w internacie – precyzuję.

– Tak. – Doktor Freeman robi poważną minę. – Wiem, że miała pani pewne zastrzeżenia, gdy rozmawialiśmy o tym latem...

– Ponieważ to jest doprowadzone do ekstremum. Nie mam nic przeciwko samej idei internatu jako takiego, ale zastanawiałam się, czy można by rozważyć małą modyfikację systemu, aby uzyskać większą równowagę?

Uśmiecham się promiennie. Stuart powie mi później, że na próżno strzępiłam sobie język i zrobiłam z siebie idiotkę. Powinnam wiedzieć, że żaden aspekt porządku ustalonego dla chóru Saviour College nie zmienił się od początku osiemnastego wieku. Należałoby zatem wyciągnąć z tego wnioski, że nigdy się nie zmieni, co inni zdaje się już zrobili.

– Równowagę? – powtarza doktor Freeman.

Wyraz jego twarzy – autentyczne, wolne od uprzedzeń pytanie – jest bezbłędny. Bez wątpienia stoją za tym lata praktyki. Nie mogę uwierzyć, że jestem pierwszą matką, która sugeruje zmianę albo narzeka.

– Tak, pomiędzy przejawianą przez szkołę potrzebą zatrzymania chłopców na miejscu w jak największym wymiarze godzin oraz ich potrzebą posiadania godziwego życia domowego – mówię. – Chodzi mi o to, czy mogliby na przykład w semestrze szkolnym przebywać w internacie przez cztery noce w tygodniu, a w domu przez trzy? Wtedy mogliby nadal uczestniczyć w próbach chóru przez cztery z siedmiu poranków przed lekcjami – czyż to by nie wystarczyło?

– Ach. Ojej. – Doktor Freeman uśmiecha się współczująco. – Przykro mi, jeśli trudno pani przywyknąć do tego, że Josepha nie ma w domu. To naprawdę z czasem stanie się łatwiejsze.

– Tak, ale sposobem na ułatwienie tego byłaby zmiana zasad, prawda? – drążę. – Tylko dlatego, że coś zawsze robiono tak samo...

– Uważamy, że ze słusznych powodów, pani Beeston. Chórzyści są tak obciążeni – mają o wiele więcej obowiązków niż pozostali uczniowie, prawdopodobnie dwa razy więcej pracy. Obawiam się, że codzienne przemieszczanie się z domu do szkoły i z powrotem byłoby dla nich niewykonalne.

– Nie powiedziałam, że codziennie...

– To zakłócałoby im spokój.

– A co powie pan na pięć do dwóch? Pięć nocy w szkole, dwie w domu.

– W semestrze szkolnym istnieje potrzeba, by chłopcy mieszkali w szkole, Lou – wtrąca się Stuart. – W przeciwnym razie nie byłoby takiego wymogu.

– Akceptuję to, że ty i doktor Freeman tak myślicie, kochanie, oraz że możecie mieć rację, a ja mogę się mylić – mówię wybitnie niedzielnym głosem, którego nigdy wcześniej nie używałam. Nigdy też nie zwracałam się do Stuarta per „kochanie” ani nie sprzymierzałam się przeciw niemu z ludźmi, którzy bez powodu próbują ukraść mu dziecko. – Pytam tylko o to, czy dałoby się tę sprawę rozważyć... na forum szkolnym, przy udziale wszystkich zainteresowanych, czyli rodziców i dzieci? Jeśli zostanę przegłosowana, pogodzę się z porażką, ale sądzę, że jest to kwestia, którą należałoby zrewidować.

– Pani Beeston, doprawdy nie chciałbym rozbudzać w pani nadziei...

– Nie zrobił pan tego. I jestem pewna, że nie mogę na to liczyć.

– Proszę zaczekać jeszcze kilka tygodni. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nie poczuła się pani do tego czasu szczęśliwsza.

– Źle mnie pan zrozumiał. Nie musi się pan martwić o mój stan emocjonalny – to ja ponoszę zań odpowiedzialność, a nie pan.

– O Boże, Lou. Przepraszam, doktorze Freeman.

– Za co? – pytam. – Za to, że wzywasz imienia Pana Boga swego nadaremno czy że zadajesz rozsądne pytanie?

– Wszystko w porządku, panie Beeston. Nie ma potrzeby przepraszać.

– To proste pytanie formalne, doktorze Freeman. Co pan powie na taki temat do dyskusji i zebranie opinii zainteresowanych stron?

– Jest jeszcze Jesus College – rzuca stojąca za moimi plecami Alexis. – Tamtejsi chórzyci mieszkają w swoich domach.

Nie zdawałam sobie sprawy, że słucha.

Wszyscy słuchają.

– To nie to samo – wtrąca się matka, której nazwiska nie znam. Wydaje się zdenerwowana. – Nie mają tak pełnego doświadczenia. Wpadanie na chór kilka razy w tygodniu to nie to samo.

Teraz odzywa się doktor Freeman:

– Jesus ma wspaniały chór. Oczywiście sądzę, że nasz jest o wiele lepszy, ale jestem stronniczy. – Chichocze. – No a teraz, rodzice, częstujcie się jedzeniem, zanim wasi synowie wszystko pochłoną.

„Proszę pana, czy możemy dostać jeszcze trochę?”, jak mógłby spytać Oliver Twist. On mieszkał w internacie.

Kilka twarzy, na których kilka sekund temu malowało się zmartwienie, teraz powróciło do mdłej, uśmiechniętej normalności. Doktor Freeman rzucił kilka niefrasobliwych uwag i teraz znów wszystko jest w porządku w świecie matek chórzystów.

Wszystkie głosowałyby przeciwko mnie. Pewnie nawet Donna. Z powodu historii, z powodu tradycji. Gdyby pewnego dnia doktor Freeman oznajmił, że dzięki postępowi nauki możliwe jest odkopanie szczątków szesnastu chórzystów z pierwszego poboru do Saviour w 1712 roku oraz wydobyć z nich głosów przy użyciu fragmentów DNA znalezionych w mogiłach, matki z chóru prawdopodobnie też pewnie by za tym głosowały, nawet gdyby to miało oznaczać, że ich synów wyleją z chóru. „Uwielbiamy wasze podejście do historii”, szczebiotałyby ze swoich zimnych ław w kaplicy, podczas gdy dźwięki *Magnificat* wznosiłyby się z szesnastu kupek szarego prochu z kości.

Kiedy doktor Freeman kolejny raz patrzy w moją stronę, biorę nietknięty pasztecik ze swojego talerza i kładę na stole obok wielkiej misy z sałatką owocową.



Stuart skręca w Weldon Road, a następnie podjeżdża pod krawężnik kilkaset metrów od naszego domu. Do tej pory jechaliśmy w całkowitym milczeniu.

– Dlaczego tu się zatrzymaliśmy? Sądziłam, że jedziemy do domu. A dom jest tam – pokazuję.

– Czy zechcesz mi wyjaśnić, w co sobie, do cholery, pogrywałeś? – pyta.

– Chcę dojechać do domu. To nie jest chyba jakiś chwyt w stylu mafii, który zaaranżowałaś wspólnie z doktorem Freemanem?

– Przestań się wygłupiać.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że żarty są zabronione.

– Czy mówiłem coś takiego? – prychna.

Postanawiam to przetestować.

– Wszyscy wiedzą, co spotyka kobiety, które mówią za dużo nieodpowiednim ludziom. Są wywożone w nieoczekiwanym kierunku przez mężczyzn, którzy nie patrzą im w oczy, a następnie rozstrzelane.

Znów zaczęło padać. Jest też słonecznie w zimny, jasny, biały sposób: postrzępione lśniące płatki rozrzucone po całym niebie. Gdyby był tu Joseph, powiedziałabym, żeby rozejrzał się za tęczą.

– Zadałem ci poważne pytanie – mówi mój poważny mąż.

– Jeśli masz na myśli to, co powiedziałam do doktora Freemana, to w nic sobie nie pogrywałam. Ośmieliłam się zasugerować, że coś mogłoby ulec zmianie, i tyle. Zmianie na lepsze.

– Nie chcę mieć opinii wicherzyciela, Lou.

Śmieję się.

– Myślę, że nie ma co się tego obawiać. Jestem pewna, że figurujesz w umyśle doktora Freemana jako wymarzony poplecznik.

– Tylko pytałaś, jak sądzę. Doktor Freeman zapewne nie może mieć nam tego za złe, prawda? Przynajmniej byłaś szczerą.

To musiało kotłować mu się w głowie przez całą drogę do domu: kłótnia z samym sobą o to, jak dalece jestem winna. Powinnam trzymać się z dala od tej dyskusji, bo jestem stronnicza.

Nie mogę.

– On ma naszego syna, Stuarcie. W tej chwili. My go nie mamy i mieć nie będziemy aż do czwartej po południu czternastego grudnia. Sądzę, że to daje mi prawo do zadania kilku pytań, nie sądzisz?

– Pewnie tak – przyznaje Stuart urażonym tonem, jakby nie życzył sobie poruszania tego tematu. – Nawet nie chcę myśleć o tym, że on... no nie wiem, powziął do ciebie urazę i może jakoś wyzywać się na Josephie.

– Jeśli sądzisz, że to możliwe, powinieneś nalegać, żeby Joseph natychmiast po lunchu wrócił z nami do domu.

– Na jakiej podstawie? Z powodu bezpodstawnego lęku?

Na zasadzie, że zabierasz syna spod kontroli człowieka, któremu nie ufasz, myślę.

– Słuchaj, wszystko jest w porządku – chciałaś zadać pytanie i je zadałaś...

– I zostałam zignorowana.

– Nie, dostałaś odpowiedź – nic się nie zmieni. I, szczerze mówiąc, albo to zaakceptujesz, albo...

– Czy zapisałaś coś w księdze modlitw o panu Fahrenheicie? – pytam.

Stuart się krzywi, niezadowolony, że mu przerwałam.

– A co to ma do rzeczy?

– Powiedziałaś, że to zrobisz.

– No cóż, kiedyś tak. Szczerze mówiąc, w tej chwili guzik mnie obchodzi pan Fahrenheit.

Rozmawiamy o wykształceniu naszego syna, o naszej rodzinie – to o wiele ważniejsze. Lou, jeśli chcemy mieć normalne życie i dobrze funkcjonować, twoje podejście do Saviour musi się...

– Zmienić – wtrącam szorstko. – Zgadzam się. Sądzę, że jest sposób na to, bym mogła się ze wszystkim pogodzić.

– Naprawdę?

Czas na moją przemowę, którą przygotowywałam przez całą drogę do domu. Nie spodziewałam się, że będę musiała zaprezentować ją tak wcześnie. Jednocześnie widzę zalety wygłoszenia jej przed Stuartem w samochodzie, a nie w domu. Z jakichś względów wydaje się to bardziej właściwe.

– Ty i doktor Freeman macie rację. Joseph kwitnie. Jest szczęśliwy. Wygląda na to, że bardzo szybko się zaadaptował. – Przyznanie tego sprawia mi ból. – I... Saviour jest oczywiście jedną z najlepszych szkół w kraju, a Joseph uczy się w niej za darmo. Źle byłoby go stamtąd zabierać tylko dlatego, że ja nie mogę znieść jego mieszkania poza domem. To byłoby samolubne.

– Taaak... – Stuart wzdycha z ulgą.

Musiał się czuć bardzo samotny, czekając, aż wreszcie wykażę się rozsądkiem. Zresztą ja czułam się tak samo samotnie. Gdyby zdobył się na jakieś ustępstwo na rzecz moich uczuć, choćby najmniejsze, nigdy nie osiągnęłabym takiego poziomu racjonalności.

Nigdy nie doszłabym do punktu, w którym na zimno szacuję swoją pozycję przetargową.

– Tak więc Joseph może zostać – w szkole i w chórze. A to zadowoli doktora Freemana i ciebie, prawda?

– Powinno zadowolić również ciebie – zauważa Stuart.

– Możliwe, że powinno, ale nie zadowala – odpalam. – Ale nie poddawajmy się zbyt łatwo. Może jest coś innego, co może mnie uszczęśliwić, a przynajmniej uczynić nieco bardziej szczęśliwą. Potrzebuję czegoś, Stuarcie. Chociaż Saviour jest dla Josepha wielką szansą życiową, ja czuję się, jakbym poniosła druzgoczącą stratę.

– Stratę? – Gdyby mógł pochwycić to słowo w sieć i wyciągnąć na bok, tak by zrobił. – Czy ty aby nie przesadzasz? Joseph jest kilka ulic dalej, a nie na innym kontynencie. Widzimy go trzy razy w tygodniu...

– Znam sytuację. – Podnoszę głos, by zagłuszyć jego słowa. – Jeśli nie może być tak, jak chcę, pozwól mi przynajmniej zachować swoje uczucia.

– Staram się, byś poczuła się lepiej!

Przygnębia mnie myśl, że to może być prawda. Czy mój mąż naprawdę jest tak nieudolny? Wolałabym postrzegać go jako umiejętnie samolubnego.

– Ty jesteś w innym położeniu – mówię. – Masz to, co chcesz – Josepha w Saviour, piaskowanie domu...

Stuart wybucha śmiechem.

– Co znaczy, że ja „mam” piaskowanie domu? To środek, który prowadzi do naszej obopólnej korzyści. To również twój dom.

– Ustąpiłam w dwóch kwestiach, które rzeczywiście sporo dla mnie znaczą – mój siedmioletni syn na dobrą sprawę opuścił dom, a fasada domu będzie odnawiana, co bardzo chciałam odwołać, tylko że mi na to nie pozwolił. Tak więc... wygrałeś. Dwukrotnie.

– To jakiś absurd. Przecież my ze sobą nie rywalizujemy, na litość boską.

Trudno mi zdecydować, czy przemawia przez niego skromność czy niewdzięczność.

– Wygrałeś – powtarzam. – Ja wolałabym, żeby Joseph mieszkał w domu i wstąpił do chóru w Jesus College. Wolałabym mieć okopconą murarkę jak wszyscy na ulicy, a nie być zmuszona do mieszkania miesiącami bez naturalnego światła, w pyłowej pułapce. Jak również – i wiem, że w tym wypadku nie wygrywasz na tej samej zasadzie, ale to i tak się liczy – tobie nie przeszkadza hałas wywoływany co rusz przez pana Fahrenheita. A mnie owszem.

– Nie wiem, o co ci chodzi, Lou.

Bo jeszcze ci tego nie powiedziałam.

– Ani czemu jesteś tak... dziwna i zimna. Czy jesteś na mnie zła?

– Chcę, byśmy kupili drugi dom – oświadczam.

Deszcz zacina z ukosa, gnany silnym powiewem wiatru. Uderza z głośnym bębnieniem, jakby mnóstwo niewidzialnych palców stuknęło w przednią szybę.

– Nie pleć bzdur – odpowiada Stuart.

– Co jest bzdurą?

– Od czego mam zacząć? Nie stać nas na to...

– A właśnie że stać. Zamiast wydawać pieniądze twojej babci na spłatę połowy długu hipotecznego...

– Lou, to jakieś wariactwo! Oczywiście, że spłacimy hipotekę, jak tylko nadejdzie ustalony termin – czemu mielibyśmy tego nie robić? Jesteśmy zadłużeni bardziej niż cholerna Grecja! Ten problem da się w miarę szybko rozwiązać, ale musimy opanować sytuację.

– Widziałam ogłoszenie dotyczące ogrodzonego osiedla domów wypoczynkowych w Culver Valley. – Nie chcę podawać Stuartowi jego nazwy, jeszcze nie. W mojej głowie Swallowfield jest już magicznym słowem. – Jest w dzisiejszym „Timesie”. Zauważyłam je, kiedy rozmawialiśmy z Imranem. Uderzyły mnie dwa słowa: „spokojne” i „odosobnienie”.

– Ogrodzone osiedle? Zwariowałaś?

– Masz jakieś obiekcje co do ogrodzeń? – pytam. Jak oskarżyciel. – Przecież masz w domu drzwi wejściowe, prawda? I je zamykasz.

– To co innego.

– Owszem – przyznaję. – Ale ta różnica niewiele wnosi.

– Lou. – Stuart wydycha w nieskończoność powietrze. – Nie chcesz innego domu. To tylko reakcja na to, co stało się ostatniej nocy u Fahrenheita...

– Nie potrzeba nic więcej. Jeśli chcę jedzenia, jest to reakcja na głód. To nie znaczy, że tak naprawdę nie potrzebuję czy nie chcę jedzenia. Proszę cię, byś pozwolił mi mieć coś, czego chcę, Stuarcie. Bez względu na to, czy słusznie tego chcę czy też nie.

– Lou, nawet przy najlepszych chęciach to życzenie kosztowałoby setki tysięcy funtów!

– To inwestycja – obstaję twardo przy swoim. – Nic nie tracisz. Długi termin, szykujesz się do zysku. Ale uczciwie mówiąc, tak naprawdę niewiele mnie obchodzi, co byś z tego miał.

– To dość oczywiste – mruczy Stuart.

– Chcę to mieć. Już sama myśl o tym dziś rano naprawdę... podniosła mnie na duchu. – W obawie że zabrzmiało to jak pusty frazes, dodaję: – W chwili gdy bardzo tego potrzebowałam, a nic innego nie było na horyzoncie.

Cisza.

Nie mogę się zdobyć na to, by spojrzeć na Stuarta. Gdybym wyczytała z jego twarzy brak zrozumienia, być może musiałabym spakować walizkę i opuścić go jeszcze dziś wieczorem.

– Sądzę, że zasłużyłam na rekompensatę za przegranie każdej innej bitwy i chętnie przyznanie się do porażki – mówię. – Za głośne, zmarnowane noce, za to, że nie wiem, gdzie podziawa się moje dziecko...

– Dokładnie wiemy, gdzie przebywa Joseph!

– ... za to, że grozi mi zaklejenie okien i ciemność, która będzie trwała miesiącami. Wiemy? – pytam Stuarta, obracając się na siedzeniu. – Czy rzeczywiście dokładnie wiemy, gdzie w tej chwili przebywa Joseph? Gdzie jest? Powiedz mi. Chciałabym wiedzieć. Czy jest w świetlicy? Gra w piłkę nożną? Leży na swoim łóżku? Gdzie jest?

Stuart kładzie dłonie na kierownicy. Mocno je zaciska. Okna zaczynają zachodzić parą. Wkrótce nie będziemy w stanie dostrzec drogi ewakuacyjnej: możemy na zawsze zostać w pułapce tego samochodu i tej kłótni. Gdybyśmy podjechali pod sam dom, moglibyśmy tego uniknąć będąc już w środku.

– To jakieś dziwne przesiedlenie – mówi Stuart.

– Raczej szansa na dobrą inwestycję. Przynajmniej pojedź tam ze mną i sam zobacz, zanim wszystko odrzucisz. – Kto zachowuje się teraz histerycznie? A kto jest wyważony i dojrzały? – To miejsce jest mieszkalnym rezerwatem przyrody. Dwieście hektarów oszałamiającego naturalnego piękna – jeziora, lasy, pola. Wiele rzadkich gatunków ptaków, zwierząt, roślin. – Gryzę się w język, by nie powiedzieć: „wszechogarniające doświadczanie natury”, chociaż spodobało mi się to sformułowanie, kiedy użyła go w rozmowie telefonicznej Bethan z biura sprzedaży Swallowfield. To mi uświadomiło, jak wyzute z natury jest moje życie: czterdzieści jeden lat mieszkania tylko w miastach.

– Jest tam odkryty podgrzewany basen i spa – informuję Stuarta. – Całodobowa ochrona, więc dzieci mogą wszędzie bezpiecznie się wałęsać. Nie wolno wyjeżdżać samochodami poza parking przy wjeździe. Mają tam takie małe samochodziki podobne do golfowych...

– Jak to możliwe, że tyle wiesz o tym przybytku, spojrzawszy tylko na ogłoszenie w „Sunday Timesie”? – pyta Stuart.

– Zadzwoiłam do nich.

– Kiedy?

– Po tym, jak doktor Freeman zignorował moje pytania. Joseph był zajęty nowymi kolegami. Wyszłam na zewnątrz i zadzwoniłam pod numer zapamiętany z gazety.

– Lou, to jest... – przerywa mi Stuart, kręcąc głową. – To tylko jakaś wariacka fantazja, której się uczepiłaś. Czyste szaleństwo. Nigdy nie rozmawialiśmy o kupnie drugiego domu, nawet o tym nie myśleliśmy.

– Oba te twierdzenia są fałszywe, jeśli idzie o dzień dzisiejszy – zwracam mu uwagę. – W ogłoszeniu było zdjęcie jednego z tych domów – Szklany Dom. Był wykonany prawie całkiem ze szkła. Nie istnieje tam problem niedoboru dziennego światła.

– Więc o to chodzi? O piaskowanie? Ale wiesz, to nie będzie trwać wiecznie.

– Będzie trwało do czternastego grudnia oraz przez całe ferie świąteczne Josepha – przypomnam. – Tak powiedział Imran. Będę mogła spędzić trzy tygodnie ze swoim synem, zanim szkoła znów mi go wyrwie. Nie chcę spędzić tych trzech tygodni w ciemnej czeluści zapyłonego budynku, który wcale nie sprawia wrażenia domu, a poza tym wkrótce mogę go sprzedać. No i hałas – pracownicy Imrana w ciągu dnia, a pan Fahrenheit w nocy. Obawiam się, że to nie jest... perspektywa, która wydaje mi się do zniesienia.

Stuart milczy. Stara się wymyślić jakiś definitywny argument, który sprawi, że przestanę

chcieć tego, czego chcę. Czekam, aż powie, że czternasty grudnia to za wcześnie, że nie uda nam się osiedlić do tej pory, nawet gdyby się zgodził. Ale się nie zgadza.

Nieprawda. Bethan ze Swallowfield powiedziała, że moglibyśmy wprowadzić się w połowie listopada albo na początku grudnia, jeśli nam bardzo zależy.

– Czy możemy przynajmniej pojechać i obejrzeć? – pytam. – Moglibyśmy zrobić to teraz – jeśli zaraz wyruszymy, będziemy przed trzecią. A biuro sprzedaży jest czynne do piątej.

– Teraz? Nie. Nie ma mowy.

– Dlaczego? Czy nie powinniśmy maksymalnie korzystać z tego, że jesteśmy spontaniczną, bezdzietną parą? Nie macz chyba żadnych planów na resztę dnia, prawda?

– Mam dużo roboty, Lou.

– Roboty – powtarzam beznamiętnie. – Coś jeszcze?

– Niby co? – Stuart wygląda na zaskoczonego.

– W takim razie chodzi tylko o pracę?

Muszę sprawdzić. Nie chcę postępować wobec niego nie fair.

– Tak, o pracę. Jak mi się poszczęści, skończę na tyle szybko, by móc się wcześniej położyć.

– Miejmy nadzieję – mówię niewinnym tonem. – Musisz się wyspać.

Stuart jest osobą, która nigdy nie zastawiłaby pułapki, i właśnie dlatego tak łatwo wpadł w moją. Żałosne.

Zupełnie zapomniał, że obiecał porozmawiać z panem Fahrenheitem – dziś po południu, jak tylko wrócimy z Saviour, by przypadkiem zbyt wcześnie go nie obudzić.

Dziennik hałasów - poniedziałek, 1 października, 11.10

Ostatniej nocy doszło znów do zakłócenia ciszy przez pana Claya, co wyjątkowo, po raz pierwszy zdarzyło się w niedzielę. Około godziny 23.00, gdy właśnie zapadałam w sen, z jego sutereny zaczęła dobiegać głośna muzyka w stylu pop. Chociaż pomieszczenie to dzieli od mojej sypialni dwa piętra, słyszałam wszystko wyraźnie - a pisząc wyraźnie, mam na myśli to, że linia basów każdej piosenki, dudniąc, przedostawała się przez ścianę działową do mojej sypialni. Słyszałam również słowa wszystkich utworów, a także wyraźne głosy pana Claya i jego przyjaciół śpiewających (czy raczej wrzeszczących) na całe gardło do wtóru wykonawcom. Pan Clay puszczał tę muzykę pop od 23.00 do północy, kiedy to ją wyłączył, dosłownie punkt dwunasta.

To nie zdarzyło się nigdy przedtem - nie tylko puszczenie muzyki w niedzielną noc, lecz również hałasowanie przez równą godzinę. Głośne przyjęcia pana Claya, podczas których śpiewa się do wtóru muzyki pop, są zawsze długie, przeciągają się na wiele godzin. Po prostu nie wierzę, że przy tej okazji chciał puszczać muzykę tylko przez godzinę. To był złośliwy, zaplanowany atak hałasem. Jego jedynym celem było zdenerwowanie i zastraszenie mnie. W przeszłości, kiedy zachodziłam do domu pana Claya, aby poskarżyć się na hałas, podkreślał (na swoją obronę), że robi to tylko w piątkowe i sobotnie noce, kiedy to, zgodnie z jego dziwacznym kodeksem moralnym, można stosować deprivację snu, żeby wykańczać psychicznie sąsiadów. Dlatego też odebrałam jego decyzję, by puszczać głośną muzykę w niedzielną noc, jako komunikat: „Nie doceniałaś, jak bardzo liczyłem się z tobą poprzednio, i nie pozwalałaś mi się zabawić, zobaczmy więc, co powiesz na to. Od tej pory zamierzam zakłócać twój sen, kiedy tylko mi przyjdzie na to ochota, od niedzieli do czwartku, jak mi się zachce, to nawet każdej nocy”.

Nie poszłam do niego na skargę. Częściowo dlatego, że mój mąż był temu przeciwny - uważa, że skoro zgłosiliśmy sprawę odpowiednim władzom samorządowym, musimy teraz zostawić ją w ich rękach i jedynie zapisywać wszystkie zakłócenia ciszy, jak nam polecono - a po części dlatego, że nie chciałam dać panu Clayowi satysfakcji zobaczenia, jak bardzo mnie rozwścieczył. Właściwie to byłam nawet bardziej niż wściekła. Byłam (i nadal jestem) w dość kiepskim stanie - fachowo można by to pewnie określić jako „poważny rozstrój nerwowy”. Czy samorząd ma jakiś ustalony tryb postępowania w takich wypadkach? Przy poprzednich okazjach byłam bardzo rozdrażniona tym, że mi się uprzykrza życie, ale teraz, kiedy pan Clay nasilił swoje działania, przechodząc do osobistej złośliwości i celowych ataków, a zwłaszcza używając jako broni chłopięcych głosów śpiewających w chórze, opisałabym siebie raczej jako zrozpaczoną niż rozżłoszczoną. Około kwadransa po jedenastej zeszłej nocy, kiedy to 9 to 5 Dolly Parton waliło przez ścianę, miałam gwałtowny atak wymiotów.

Nie było to zatrucie pokarmowe, jak sugerował mój mąż, ani początek infekcji. Nie mogę tego udowodnić, ale wiem, że niedyspozycję spowodowało przerażające (i nie używam tego słowa ot tak) wrażenie, że mój dom został zaatakowany, ponownie, przez człowieka, który chce naumyślnie mnie skrzywdzić. Już nie czuję się bezpieczna we własnym domu. Może dręczyć mnie hałasem, kiedy tylko zechce, a ja nie jestem w stanie zrobić nic, by go powstrzymać. Aż dziw bierze, że istnieje przyzwolenie na coś takiego. Gdyby ktoś włamał się do mojego domu, a ja zadzwoniłabym po policję, natychmiast usunęliby intruza z mojego domu. Dlaczego nie istnieją przepisy prawne umożliwiające natychmiastowy zakaz wywoływania hałasu, który atakuje i zagraża człowiekowi we własnym

domu? Dom ma być z założenia miejscem, w którym człowiek chroni się przed światem, bezpieczną przystanią. Mój w obecnej chwili wydaje się czymś wręcz przeciwnym – tak więc jedynym sposobem przetrwania tej męki, psychologicznie, jest uczepienie się pomysłu zakupu drugiego domu, z dala od Justina Claya. Można by tam uciekać w weekendy. Miałabym ochotę robić to również w inne dni, gdyby nie potrzeba pozostania w pobliżu szkoły syna, gdzie trzy razy w tygodniu chodzę na jego występy podczas nabożeństw.

Po tym, jak muzyka przestała grać o północy, próbowałam ponownie zasnąć. Nie udało mi się. O pierwszej w nocy rozległy się bardzo ciche śpiewy: chór chłopięcy wykonywał hymn *O przyjdź na świat, nasz Zbawicielu*. Drugi wers śpiewał solista, którego głos wydawał się zadziwiająco podobny do głosu mojego syna (bo chórzyści wcale nie brzmią tak samo). O pierwszej w nocy, wykończona i zrozpaczona, oczywiście byłam wystarczająco sparanoizowana, by pomyśleć: To Joseph, i nabrać przekonania, że pan Clay używa głosu mojego syna, by mnie torturować. Nie pomyślałam tak jednak, bo dobrze wiem, że chór Saviour College nie uczestniczył w żadnych nagraniach, odkąd Joseph zaczął się uczyć w tej szkole.

Zastanawiałam się wprawdzie przez krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę, czy pan Clay nie nagrał potajemnie śpiewu mojego syna. Na szczęście mogłam jednak uspokoić samą siebie w tej kwestii: za każdym razem, kiedy Joseph śpiewał z chórem i istniała możliwość zbliżenia się do niego, ja tam byłam. A pana Claya nie było. Tak więc to niemożliwe, by głos Josepha przenikał przez ścianę mojej sypialni o pierwszej w nocy. Podobieństwo musiało być przypadkowe.

Hymn, tak samo jak chóralna muzyka słyszana przeze mnie poprzedniej nocy, dobiegał z sypialni pana Claya. Był na tyle głośny, by przeniknąć przez ścianę, chociaż gdybym spała, pewnie by mnie nie obudził. Stuart, mój mąż, musiał wyteżać słuch, by go usłyszeć, gdy go przebudziłam i poprosiłam, by słuchał. Tak więc... chociaż w normalnych okolicznościach nie mogłabym zaklasyfikować tego jako zakłócania ciszy nocnej, jest to niewątpliwie zasadniczy komponent prześladowczej kampanii pana Claya.

Po jednokrotnym odegraniu hymnu pan Clay nie puszczał już muzyki. Mogę to zaręczyć, ponieważ przez resztę nocy leżałam bezsenne i płakałam. A dziś musiałam zadzwonić do pracy i powiedzieć, że się rozchorowałam, ponieważ nie jestem w stanie tam pójść, a zawdzięczam to mojemu cholernemu sąsiadowi. Trudno mi sklecić w myślach składne zdanie, a co dopiero wypowiedzieć je na głos, a poza tym wyglądam okropnie. Mam pod zapuchniętymi oczami czerwone szorstkie półksiężyce. Nie chciałabym narzucać innym ludziom widoku swojej twarzy. Jak często to się będzie powtarzać? Jeden dzień wolny to nic wielkiego, ale nie mogę robić z tego zwyczaju.

Czy samorząd mógłby, PROSZĘ, coś z tym zrobić, i to szybko, zanim ten człowiek zniszczy moją karierę, zdrowie fizyczne oraz psychiczne. Albo zanim go zamordują?



Dziennik hałasów - poniedziałek, 1 października, 17.18

To będzie dość niekonwencjonalny wpis w dzienniku hałasów, ale czuję potrzebę włączenia go w celu stworzenia pełnego obrazu sytuacji. Zresztą nie miałyby sensu zatrzymywać tego dla siebie, ponieważ pan Clay na pewno o tym wspomni, zakładając, że przeprowadzę swój plan i się nie spietram. Ponieważ nie poszłam dziś do pracy i miałam nadmiar czasu, postanowiłam zrobić coś pożytecznego po tym, jak padłam i kimałam przez trzy godziny. Poszłam do miasta i skierowałam się do Foppa na Sidney Street. Gdybyście nie wiedzieli, Fopp to sklep muzyczny, który ma rozdwojenie jaźni. Jest dziwnym skrzyżowaniem komercyjnego sklepu muzycznego spod znaku wytwórni HMV i antykwariatu, gdzie wygrzebuje się dzieła bitników. Na jednej ścianie jest schludna wystawa CD zaj-

mujących dwadzieścia pierwszych miejsc na liście przebojów, ale przy ladzie leżą sterty książek o Kafce, Hunterze S. Thompsonie, Williamie Burroughsie, Fridzie Kahlo. Personel nosi modnie wystrzępione fryzury, niekonwencjonalne ubrania, kolczyki, które wyglądają jak pierścionki, ale są włożone w płatek ucha, w którym tworzą tunel.

Jedynie z powodu zagadkowej tożsamości sklepu i alternatywnie wyglądających pracowników wpadłam na to, by zadać pytanie, które zadałam. Gdybym była w sklepie HMV, poradziłabym sobie w miarę możliwości sama, ale młody człowiek z worami pod oczami i w czapce stojący za ladą wyglądał, jakby mógł udzielić mi fachowej porady, więc pomyślałam sobie: czemu nie? Powiedziałam mu o panu Clayu. To znaczy nie wymieniłam jego nazwiska, ale poinformowałam, że mam hałaśliwego sąsiada, który chyba zamierza sabotować mój sen noc w noc, więc chcę uzbroić się w środki, które pozwolą mi się odegrać. Spytałam go, jaką płytą najbardziej nie chciałby zostać przebudzony o szóstej rano. Pan Clay nie jest rannym ptaszkiem. Widziałam, że odsuwa zasłony w sypialni o wpół do jedenastej, jedenastej, jedenastej trzydziści. Na pewno nie widziałam, by wstawał wcześniej. A raz, kiedy opowiadał mi o wakacyjnym wyjeździe, który zabukował w czasach, gdy nasze relacje nie były tak napięte jak teraz, powiedział, że nie ma mowy, żeby wstał przed dziewiątą, by zdążyć na samolot. Nazwał to okrutną i niezwykłą karą.

Facet stojący za ladą w Foppie uśmiechnął się i powiedział: „Już mnie o to pytano. Zawsze polecam to samo: Prophecy. Capleton”. Nie wiedziałam, co jest nazwą zespołu, a co tytułem albumu. „Mogę polecić również konkretny utwór – powiedział. – *Leave Babylon*. Najlepsza piosenka w albumie. Ewentualnie *Wings of the Morning*, ale utwór *Leave Babylon* jest mniej konwencjonalnie melodyjny, to znaczy występuje tam pewien dysonans. Jest naprawdę irytujący – doskonały do przeszkadzania sąsiadom. No bo niby jest tam jakaś melodia pod spodem, ale na wierzchu antymelodia. Nacierają na siebie w kapitalny sposób. To arcydzieło”.

Powiedziałam, że mój sąsiad nie zasłużył na to, żeby mieć kontakt z arcydziełem, i spytałam, czy nie przychodzi mu na myśl również irytujący, pełen dysonansów utwór pozbawiony walorów muzycznych. Roześmiał się. „Nie, to jest właściwy kawałek, proszę mi zaufać. Jest pełen wściekłości – a pani chce coś takiego, by pokazać mu, że dłużej już nie zniesie tego chamstwa”.

Potem zaczął śpiewać z udawanym jamajskim akcentem o równych prawach, sprawiedliwości i rewolucji – był to, jak sądzę, fragment z *Leave Babylon*.

To, co śpiewał, brzmiało naprawdę ostro, robiło wrażenie. „Dobra, biorę to” – rzuciłam.

Wyglądał na zadowolonego, powiedział, że pójdzie poszukać płyty. Potem zmarszczył brwi i dodał: „Och, powinienem jeszcze o czymś powiedzieć. Capleton, ten wokalista, autor piosenek i tak dalej, ma, hm... trochę szemrane poglądy. Jest okropnym homofobem. To znaczy... ja słucham go cały czas – osobiście nie sądzę, że można bojkotować dzieła sztuki, bo ich twórcy są kutasami, ale... byłoby nie w porządku, gdybym pani o tym nie uprzedził, w razie gdyby pani się z tym nie zgadzała”.

Zastanowiłam się nad tym i doszłam do wniosku, że właściwie doskonale się składa, iż ten artysta ma wstrętne poglądy. Pan Clay i ja jesteśmy w stanie wojny, wyjaśniłam. Dlaczego miałabym chcieć budzić go czymś nieszkodliwym, jeśli mogę bombardować go przez ścianę sypialni pełnymi wściekłości słowami koszmarnego homofoba? Chcę przesłać mu możliwie najwięcej złej energii. Sprzedawca roześmiał się i powiedział: „W porządku”.

Opuściłam Fopp, czując się szczęśliwsza i silniejsza. Mogę odpłacić panu Clayowi pięknym za nadobne i tak właśnie zrobię. Co mnie powstrzyma? Oczywiście odpowiedź: Stuart, jeśli będzie w domu, ale często go nie ma. Nieraz musi wstawać o czwartej czy piątej rano, by gdzieś lecieć – i postanowiłam, że właśnie te poranki wybiorę na wykonywanie wyroku i dochodzenie sprawiedliwości, jak mówią słowa piosenki. Właściwie to wiedziałam, że Stuart opuści dom nazajutrz o szóstej rano, i dlatego właśnie tak mi zależało, by pójść dziś do Foppa.

W drodze do domu zaczęło mnie dręczyć pewne pytanie: dlaczego pan Clay nie przewidział, że wpadnę na taki pomysł? Czyżby sądził, że jestem zbyt cywilizowana i zablokowana zasadami klasy średniej, by zniżyć się do jego poziomu i zrewanżować tym samym? A może nie obchodzi go, czy podejmę walkę, dlatego że wie, jaki będzie jego odwet, którym mnie kompletnie wykończy? Potem pomyślałam: jaki mógłby być jego kolejny ruch? Czy może zrobić coś gorszego niż to, co wyprawiał do tej pory, nie narażając się na problemy z policją? A gdyby wymyślił coś naprawdę okropnego, nie miałby sposobu, by się dowiedzieć, czy to nie sprowokuje mnie do zrobienia w odwecie czegoś równie przerażającego.

Zanim dotarłam do domu, postanowiłam zaryzykować. Tylko jedna piosenka, by zmanifestować swoje stanowisko – *Leave Babylon*, zaledwie kilka minut – a potem wyłączę muzykę i pozwolę mu zasnąć.

Nie zmieniałam zdania. Po tym, co pan Clay zafundował mi przez dwie noce z rzędu, zapewne nawet samorząd nie pożałowałby mi mojego trzyminutowego protestu. Już nie mogę się doczekać. Oczywiście mam nadzieję, że nie muszę mówić, iż jeśli przypadkiem dzisiejszej nocy będzie inaczej i pan Clay pozwoli mi na nieprzerwany sen, odwołam planowaną ofensywę Capletona.



Dziennik hałasów - wtorek, 2 października, 3.04

Wiem, co on robi. Z tą muzyką chóralną puszczaną za ścianą sypialni. Rozpracowałam to. Musi zaczynać od rozkręcenia głośności do maksymalnego poziomu, by wywołać wstrząs akustyczny wystarczająco duży do wyrwania mnie z głębokiego snu. Potem, po może tylko kilku sekundach, ścisza dźwięk. Zanim uświadomię sobie, że już nie śpię i słyszę chłopięcy chór, muzyka rozlega się na akceptowalnym poziomie, przy którym nie mogłaby nikogo zbudzić – nawet ja muszę siedzieć spokojnie, by ją wyłowić. Obudziłam Stuarta, kiedy usłyszałam ją po raz pierwszy, pół godziny temu, i nie sądzę, by w ogóle dotarła do jego uszu. Piszę „nie sądzę”, bo odmówił odpowiedzi, gdy go o to spytałam. Warknął tylko, że musi wstać za jakieś trzy godziny, więc czy mogłabym uprzejmie pozwolić mu dalej spać? Potem przewrócił się na drugi bok i po kilku sekundach znów chrapał.

Wiem, o co chodzi Justinowi Clayowi. Chce, bym się zastanawiała: dlaczego się obudziłam. Nie jest głośno. Czy to możliwe, że tylko sobie wyobrażam tę ledwie słyszalną muzykę? Dziś wieczór nie było nawet preludium z ohydne-go popu albo country. Próbuje doprowadzić mnie do szału i do szaleństwa. Chce, bym zwątpiła w dowód, jaki dają mi własne uszy, i zastanawiała się, czy to możliwe, żeby on czekał cichcem do 2.30 nad ranem, a potem puszczał niezbyt głośno dziwną, atonalną wersję *Magnificat*. Tylko że na początku była głośna – musiała być. Obudziłam się zszokowana, z mocno bijącym sercem. Zostałam wywleczone z snu przez coś, co odczułam jako nagłą eksplozję chłopięcych głosów. Nie mogę tylko wykoncypować, jak udaje mu się tak perfekcyjnie wymierzyć czas. Skąd wie, ile dokładnie powinien trwać ten głośny fragment, żeby mnie obudzić? Pewnego razu na pewno się przeliczy. Będę leżała bezsennie, zanim włączy muzykę, i wówczas się wreszcie przekonam, jak jest. Może ustawię jakieś urządzenie nagrywające – przypuszczam, że samorząd ma takie aparaty, które pożyczą ofiarom głośnych sąsiadów w celu zdobycia dowodów, by je można było później przedstawić w sądzie?

„Bogaczy z niczym puścił i nędznie rozproszył”. W tej wersji *Magnificat* jest „bogaczy”. Nie „bogaczów”. Czy pan Clay zajmował się w ogóle wczoraj swoją pracą, czy poświęcił poniedziałek na kompletowanie biblioteczki z płytami CD z nagraniami chóralnych śpiewów, którymi zamierza mnie torturować? Na pójście do sklepu Fopp, nabycie płyty Capletona i powrót potrzebowałam zaledwie godziny. Potem zajęłam się innymi sprawami i udało mi się nawet zapomnieć na jakiś czas o wojnie z sąsiadem (głównie dlatego, że tęskniłam za synem, ale jednak). Teraz czuję się

głupia i naiwna. Kupiłam jedną płytę CD – i co z tego? Jeśli chcę zwalczyć plagę hałasu za ścianą, muszę być równie zdeterminowana jak Justin Clay. Zamiast zadowalać się jednym CD i gratulować sobie, że jestem niezwykle sprytna, bo zamierzam powalić go jedną piosenką, muszę wygospodarować czas na to, by skompletować biblioteczkę z nagraniami, którymi będę mogła bombardować jego poranki przez wiele tygodni, a może nawet miesięcy.

No cóż, nie ma sensu, bym próbowała teraz ponownie zasnąć, skoro mam wstać za piętnaście szóstą i przygotować się do urządzenia Clayowi pobudki. Poza tym napuchnięte fałdy pod moimi oczami znów pękły, szczypią i pulsują. Ból jest spory, więc i tak nie zasnę. Przez to ciągle płkanie muszę wciąż trzeć oczy, chociaż próbuję tego unikać. Mam nadzieję, że kiedy to przeczytasz, samorządzie, podejmiesz natychmiastowe działania (o co błagam od dawna). Ten drań niszczy nie tylko mój sen i oczy. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce skończy się moje małżeństwo. W tej chwili nie mogłabym chyba bardziej nienawidzić męża za brak wsparcia z jego strony. Wątpię, bym rano widziała wszystko inaczej, bo będę wówczas tak samo zmęczona jak teraz. A zresztą już jest rano.



Dziennik hałasów - wtorek, 2 października, 12.10

Witaj, dzienniczku hałasu! Przepraszam – to brzmi, jakbym była nastolatką. Mogę tłumaczyć się tym, że czuję się triumfatorką. Nie chcę wprawdzie kusić losu, mówiąc coś tak bezczelnego, jak: „Mój plan zadziałał” albo „ Poszło lepiej, niż się spodziewałam”, ale muszę przyznać, że w obecnej chwili czuję właśnie coś w tym rodzaju. Dokładnie o szóstej rano nacisnęłam guzik z napisem „play” na starym przenośnym magnetofonie, w stylu tych, jakie noszą w murzyńskich gettach, ustawivszy go wpierw tuż przy ścianie sypialni, czyli najbliżej jak mogłam pogrążonej we śnie głowy Justina Claya. Zaczęło ryczeć *Leave Babylon* (facet z Foppa miał rację, melodia jest subtelnie ukryta pod powierzchnią kakofonicznej napaści). Gdy leciała muzyka, tańczyłam po pokoju, podskakując najciężej jak mogłam, w nadziei że efektowi dudniących basów będą towarzyszyć drgania podłogi po drugiej stronie ściany działowej, w sypialni pana Claya.

Udało mi się go obudzić. Gdy utwór dobiegł końca, wyłączyłam murzyński magnetofon, przestałam skakać i czekałam w ciszy. Trzy sekundy później usłyszałam, jak Clay wrzeszczy: „Dobra, kurwa. Aluzję zrozumiałem”.

Naprawdę nie chcę robić sobie nadziei (za późno, i tak już ją mam i nic na to nie poradzę), ale odtwarzałam w kółko jego słowa w głowie, szukając innych możliwych interpretacji, i żadnej nie znalazłam. To, co powiedział, i sposób, w jaki to powiedział, odebrałam jako słowa osoby jednoznacznie przyznającej się do porażki.

Czy rzeczywiście mogło mi pójść tak łatwo?

Pat Jervis wcale mnie nie słucha. Nie patrzy na mnie i nie słucha. Stoi przed oknem i przyciska czubek palca wskazującego do szyby.

To nie może być zbieg okoliczności. Albo ma taki tik nerwowy, albo natręctwo, może nawet obsesję. Krystallofilia – czy naprawdę coś takiego istnieje? Gdy była tu ostatnio, robiła dokładnie to samo z lustrem w salonie i szybką na jednym z obrazków w kuchni. Jednak gdyby to była obsesja, chyba raczej głaskałaby szkło, a nie dźgała je palcem?

– Pat? Czy słyszałaś, co powiedziałam?

– O, tak. – Jednak nadal nie odrywa palca od okna.

– Jestem na siebie wściekła, że byłam taka naiwna. Mam ochotę podrzeć ten głupi dziennik hałasów...

– Nie rób tego.

Mogłabym teraz zacząć wyć. Jak Pat by na to zareagowała? Nie sądzę, że w ogóle by to zrobiła. Jakoś nie wyobrażam sobie, jak pędzi, by mnie uściskać: prawdopodobnie jest to sprzeczne z zasadami samorządu. Skoro nie może zdobyć się na to, by na mnie spojrzeć, przypuszczam, że kontakt fizyczny w ogóle nie wchodzi w grę.

– Bardzo tu ciemno – zauważa nagle.

Gapię się na nią. Czy tyle tylko ma do powiedzenia? Nie po to dzwoniłam dziś rano do środowiskowego wydziału zdrowia i błagałam ich o przysłanie tu kogoś, by poddawano krytyce mój dom.

– Zabawne, prawda? – mówi rzeczowym tonem, patrząc prosto na odbicie pokoju w czarnej szybie ujętej w ramę okna. – Gdyby na zewnątrz było ciemno, myślałybyśmy, że w pokoju, przy włączonym świetle jest jasno. Ale ponieważ jest ranek, mimo włączonych lamp zdaje się, że jest ciemno. Bo powinno być jasno bez lamp.

– Jest tyle światła, ile zdołałam wydobyć – odpowiadam szorstko.

Pracownicy Imrana opakowali nas w karton i plastik wczoraj po południu, kradnąc wszystkie nasze widoki, pieczętując nas.

– Przynajmniej nie ma pyłu – dodaję. – Jak przyjdiesz następnym razem, nie będzie tak łatwo oddychać. Jutro zaczynają piaskowanie fasady.

Wreszcie Pat odchodzi od okna i siada na krześle naprzeciwko mnie.

– Następnym razem? Może nie będę musiała już przyjeżdżać? Nigdy nie wiadomo, może ci się poszczęści. – Uśmiecha się do swojej torby, wyciągając z niej notatnik.

Mam tego dość.

– Skąd u ciebie ten nagły brak zaangażowania? – pytam. – Ostatnim razem byłaś tak bojowo nastawiona. „Nie martw się, załatwimy go” i tak dalej. Dzisiaj prawie cię to nie obchodzi.

– Pozwolę sobie powiedzieć coś, czego nie zechce pani słyszeć, pani Beeston. Rozmawiałam z pani sąsiadem. Nie chciałam tego mówić, dopóki nie usłyszę pani wersji zdarzeń...

– Rozmawiałaś z nim? Kiedy?

– Dzisiaj. Zanim przyszłam tutaj, zajrzałam do sąsiada.

Moje trzewia zaciskają się wokół gorącego strumienia furii, całkiem go osuszają. Gdyby moje okna nie były osłonięte kartonem, wiedziałabym o tym. Widziałabym, jak parkuje i wchodzi pod dziewiętnastkę. Nienawidzę Imrana, nienawidzę Pat Jervis i nienawidzę pana Fahrenheita.

„Moja wersja zdarzeń”. Jakby inne były równie ciekawe i ważne.

– Pan Clay przyznaje, że przeszkadzał, hałasując w wiele piątkowych i sobotnich nocy, odkąd się pani wprowadziła. Przyznaje, że puszczał płytę z muzyką klasyczną, by panią zirytować, kiedy ostatnio zjawiała się pani u niego z pretensjami. Była to noc, kiedy po raz pierwszy zadzwoniła pani na naszą gorącą linię – w sobotę, dwudziestego dziewiątego września.

Czy mi się wydaje, czy położyła nacisk na słowo „pierwszy”? Czyżby to miał być delikatny przytyk? W tym tygodniu wydzwaniałam do środowiskowego wydziału zdrowia kilkanaście razy, błagając, by kogoś do mnie przysłali – najlepiej Pat, chociaż teraz, kiedy tu jest i rozczarowuje mnie każdym wypowiedzianym słowem, żałuję, że nie poprosiłam o kogokolwiek, byle to nie była ona.

Jeśli samorząd nie chce być nagabywany telefonicznie przez ludzi takich jak ja, którzy z każdą kolejną rozmową zachowują się coraz bardziej histerycznie, powinien pomyśleć o wprowadzeniu jakiejś doraźnej, szybkiej pomocy dla nieszczęśników cierpiących z powodu ekstremalnych prześladowań ze strony hałaśliwych sąsiadów.

– Pan Clay przyznaje, że puszczał głośno muzykę również następnej nocy, w niedzielę, trzydziestego września. Był nadal na panią zły z powodu sobotniego wieczoru, więc puszczał muzykę pomiędzy jedenastą a dwunastą – dokładnie przez godzinę, jak pani powiedziała. On to potwierdza.

– Guzik mnie obchodzi, czy on potwierdza, czy też nie. Powiedziałam ci prawdę o wszystkich aspektach tej sytuacji, prawdę i tylko prawdę. Nie potrzebuję uzgodnień z panem Clayem.

– Obawiam się, że nie mogę zlekceważyć jego relacji na temat tego, co zaszło – mówi Pat do swojego notesu. – Stanowczo twierdzi, że nigdy nie puszczał żadnej chóralnej muzyki ani innej wykonywanej przez dzieci, śpiewających chłopców. Ani w swojej sypialni, z intencją przeszkadzania pani za ścianą, ani gdziekolwiek indziej w swoim domu.

– To kłamstwo. Przeczytaj mój dziennik. Budził mnie o drugiej czy trzeciej nad ranem przez ostatnie cztery noce, noc w noc. Zawsze była to muzyka chóralna, zawsze chłopcy – a może również jakieś dziewczynki w niektórych utworach, ale zdecydowanie dzieci, czasami śpiewające nawet utwory, które mój syn wykonuje w Saviour.

Pat wzrusza ramionami.

– Pan Clay twierdzi coś wręcz przeciwnego. Zapewnił mnie, że nic takiego nie robił.

– A nie sądzisz, że ktoś, kto naumyślnie puszcza głośno muzykę w celu zastraszenia sąsiadki, która wniosła na niego skargę, jest zdolny do kłamstwa? – warczę.

– Och, nie wątpię, że jest do tego zdolny. Pani Beeston...

– Louise. Cholera jasna, jego intencje są oczywiste. Myśli, że jak przyzna się do niektórych karygodnych wybryków, uda mu się ukryć gorsze sprawy – podlejszy, bardziej złowieszczy, bardziej podstępny wątek jego kampanii. Słuchaj, spytaj Stuarta, jak mi nie wierzysz. Teraz go nie ma, ale zajrzyj, kiedy będzie, to ci powie. Może nie przeszkadzało mu to tak jak mnie, ale parę razy też słyszał.

– Ale to przecież twój mąż, prawda? – mówi Pat.

Śmieję się.

– I sądzisz, że z tego powodu będzie mnie wspierał bez względu na wszystko? Wcale nie. Nie mogę... – W ostatniej chwili gryzę się w język. Już miałam powiedzieć: „Nie mogę polegać na nim w żadnej sprawie”.

– Louise. Zapewniam cię, że w czasie mojej długiej kariery w środowiskowym wydziale zdrowia spotkałam hałasujących utrapieńców wszelkiego autoramentu. Nie jestem naiwniaczką. Wiem, że kłopotliwi sąsiedzi kłamią – niektórzy w stu procentach, niektórzy w mniejszym zakresie. Mam nosa do kłamstw. – Niucha, jakby chciała to udowodnić. – Jednak nigdy nie natknęłam się na nikogo, kto wyszukuje jakiś określony rodzaj muzyki z zamiarem zranienia uczuć sąsiada. Nigdy nie spotkałam hałaśliwego sąsiada, który puszcza głośno muzykę tylko przez kilka sekund po to, by kogoś obudzić, a potem ją ścisza z takim wyczuciem czasu, że osoba po drugiej stronie nie ma pewności, czy wcześniej było głośniejsze, i zaczyna mieć obawy co do własnej poczytalności.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Wprost nie mogę uwierzyć.

Zbieram się do kupy i walę prosto z mostu:

– Mówisz mi tylko, że nigdy wcześniej nie natknęłaś się na Justina Claya. To niczego nie dowodzi! Ja nigdy wcześniej nie mieszkałam w owiniętym w karton, pozbawionym światła domu – co nie znaczy, że teraz w nim nie mieszkam! Powiedz mi – czy kiedykolwiek znałaś osobę mającą hałaśliwego sąsiada, której zrobiły się wory pod oczami – puchnące i pękające? – Wskazuję dwa zdarte płyty skóry na twarzy. – Ale proszę, oto ja, wyglądająca jak z jakiegoś horroru, jestem dowodem na to, że nie wszyscy ludzie zachowują się i reagują w taki sam sposób jak inni!

Pat pochyla się do przodu: wreszcie kontakt wzrokowy. Przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

– Musisz to sobie posmarować balsamem St James, przez noc się wygoi. Problem w tym, że trudniej go znaleźć niż świętego Graala.

Zamiast ponownie opaść na oparcie krzesła, pozostaje pochylona długo po swojej wypowiedzi, długo po tym, jak przestała na mnie patrzeć. Tak jakby górna partia jej ciała zastygła w tym nachyleniu. Wygląda na to, że nie zauważyła, jak niewygodnie jest w tej pozycji robić zapiski w notatniku.

Chciałabym wiedzieć, co ona tam skrobie. Że jestem nieuprzejma i agresywna? Notuje sobie ku pamięci, żeby kupić mi na Gwiazdkę ten balsam, którego jej zdaniem potrzebuję? Może wypisywać, co jej się żywnie podoba.

To wariatka. Założę się, że ma świra. Takie wyjaśnienie wszystko by tłumaczyło: zmianę w jej podejściu do sprawy, hałaśliwą brawurę Terminatora, kiedy była tu ostatnim razem, brak wsparcia obecnie, dźganie palcem przypadkowych szyb.

– Najwyraźniej jesteś bardzo przygnębiona, Louise. Jak długo nie byłaś w pracy?

– A jak mogę się tam pokazać w takim stanie?

– Nie oskarżam cię o symulowanie choroby. Jednak... sądzę, że cokolwiek dzieje się z twoimi oczami, jest psychosomatyczną reakcją na twój konflikt z panem Clayem...

– Zgadzam się.

– ... i możliwe, że jest również skutkiem zmartwienia tym, że twój syn żyje z dala od domu, do czego zrobiłaś aluzję przy naszej ostatniej rozmowie.

– Nie robiłam żadnej aluzji. Powiedziałam ci wprost.

– Racja – przyznaje. – Tak zrobiłaś. I dlatego właśnie proszę, byś się zastanowiła, czy istnieje szansa, że ta muzyka w wykonaniu chłopięcego chóru, którą słyszysz, albo sądzisz, że słyszysz, może być... czymś innym? Czymś nierealnym, co nie ma nic wspólnego z panem Clayem?

– Nie ma takiej szansy – odpowiadam. Każde słowo jest jak ciężki kamień, który muszę wypluć. – Stuart też ją słyszy. No, oczywiście możesz uznać, że oboje cierpimy na takie same omamy słuchowe wywołane przez traumę. A zapewniam cię, Stuart niczym się nie martwi. Najwyraźniej nie przejmuje się nawet tym, że wyglądam jak potwór Frankensteina. Powtarza tylko, że „wszystko się zagoi”.

– Hm. – Pat opada na oparcie krzesła, nareszcie. – Może powinnam porozmawiać z twoim mężem.

– Czemu? By sprawdzić, czy nie jestem wariatką? Nie jestem. Te chóralne śpiewy są realne. Nie wiem, jak możesz tak spokojnie tu sobie siedzieć i mówić te wszystkie rzeczy! Przecież obiecałaś mi pomóc!

– I to właśnie próbuję zrobić.

– Okazujesz to w dość dziwny sposób. Co powstrzymuje cię przed wręceniem panu Clayowi oficjalnego zakazu hałasowania?

– Pan Clay obiecał mi, że w przyszłości nie będzie ci przeszkadzał – mówi Pat. – Twoja taktyka okazała się skuteczna – powinnaś być zadowolona. Jak pokazałaś, co potrafisz, sama puszczając mu trochę głośniejszej muzyki, wyciągnął z tego wniosek, do którego ktoś rozsądniejszy pewnie doszedłby już przed wieloma tygodniami – że nie ujdzie mu to wszystko na sucho. Och, widziałam to wiele razy. Zawsze mnie to śmieszy. Sprawcy hałasu zakładają, że znanych sobie powodów, że ich protestujący przeciw hałasom sąsiedzi nie zastosują w walce z nimi tych samych metod. Dlaczego? Cóż... – Pat wznosi wzrok do sufitu. – Mam na ten temat pewną teorię...

Nie spytam jaką. Gównu mnie obchodzą jej teorie. Jeśli nie zamierza mi pomóc, nie interesuje mnie to, co ma do powiedzenia.

– Myślę, że rozumują następująco: „Jeśli ona nie znosi głośniejszej muzyki, to nie może jej użyć jako broni przeciwko mnie, bo to by oznaczało, że sama musi jej słuchać”. Trochę jak z kimś, kto nie znosi widoku krwi – taka osoba nie pójdzie na medycynę, prawda?

– To śmieszne – mówię, zastanawiając się, czy ma rację. – Przecież problemem jest głośniejsza muzyka, której nie można kontrolować.

– No jasne. Ale wielu ludziom brak wyobraźni i... cóż, są trochę głupi. Pan Clay jest tu uderzająco dobrym przykładem. Dlatego właśnie, kiedy powiedział, że nie zaryzykuje ponownego rozżłoszczenia cię, jeśli miałabyś znów podobnie zareagować, uwierzyłam w te słowa.

Znów pochyła się do przodu, patrzy na swoje buty.

– Moim zdaniem nie jest na tyle przebiegły, by wymyślić taki złośliwy plan, jak ten opisany w twoim dzienniku hałasów. Naprawdę w to nie wierzę.

Aż mnie zatyka ze złości. Jestem wściekła na siebie. Głosik w mojej głowie szepcze: „Ona ma rację. Wiesz, że ma rację”.

– Louise, sądzę, że powinnaś pójść do lekarza.

– Nie! I co z tego, że brak mu wyobraźni? Ma przyjaciół, prawda? Dziewczynę? Ktoś mógł mu podpowiedzieć ten pomysł z muzyką chóralną. Kto mówi, że sam to wymyślił?

Zbyt późno dociera do mnie, że mogła mieć na myśli tylko moje oczy: że powinnam zapisać

się do lekarza z powodu tych pęknięć na skórze.

– Gdzie się wybierasz? – pyta nagle Pat ni z tego, ni z owego.

– Co?

Wskazuje kluczyki samochodowe, które trzymam w ręku.

– Kiedy przyszedłam, powiedziałaś, że właśnie wychodzisz.

– Och, ja tylko.... – Nie chcę jej tego mówić. Nie muszę. Nic jej do tego.

– Mam nadzieję, że nie planujesz długiej jazdy – dodaje. – Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Jadę do Culver Valley. Na przejażdżkę zorganizowaną przez biuro nieruchomości sprzedające tam domy wypoczynkowe. Myślę o kupnie domu w tamtej okolicy. Żebym mogła wyjechać stąd, przynajmniej w weekendy.

Z feriami będzie gorzej, bo Stuartowi nie zawsze uda się wziąć wolne w firmie. Na szczęście dla mnie to nie stanowi problemu. Kiedy tylko dowiedziałam się, że Joseph dostał się do Saviour, tak przeorganizowałam plan pracy, żeby dłużej siedzieć w biurze w semestrze szkolnym, a pracować w domu w trakcie ferii szkolnych, w czasie których wykorzystywać będę również cały swój urlop. Nie spodziewałam się, że w firmie na to przystaną, i zamierzałam zrezygnować z pracy, jeśli tak się stanie, ale ku mojemu zaskoczeniu się na to zgodzili.

Trudno będzie przyznać się do tego, że zamierzam mieszkać z Josephem w Swallowfield, kiedy tylko nie ma zajęć szkolnych, nawet jeśli to oznacza pozostawienie Stuarta w Cambridge, co często się zdarzy.

Czyżbym próbowała ukradkiem opuścić męża, zrobić to subtelnie i na raty? Czy jest to próba udowodnienia doktorowi Freemanowi, że ja tu rządzę, poprzez uporczywe zabieranie Josepha jak najdalej od Saviour, kiedy tylko się da?

Z jakichkolwiek powodów chcę opuścić Cambridge, wolę ich nie znać. Czuję się, jakbym otrzymywała instrukcje od jakiejś władzy, która nie ma nic wspólnego ze mną i nawet nie jest częścią mnie – lecz absolutnie jej ufam. Wiem, co powinnam zrobić i tyle. Dziwne uczucie. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie doznałam.

Muszę kupić dom w Swallowfield Estate.

– Radzę tego nie robić – mówi Pat.

Na chwilę zapomniałam o jej obecności.

– Słucham?

– To nie jest dobry czas na podejmowanie ważnych decyzji, Louise. Zaufaj mi. Brzmi to tak, jakbyś próbowała uciec. Powinnaś najpierw uporządkować sprawy tutaj, w domu.

– Co takiego? – śmieję się. – Po pierwsze, głupio robiłam, że ci zaufałam, bo w rezultacie wierzysz w kłamstwa mojego sąsiada, a nie w to, co ja mówię. Po drugie, za kogo ty się masz, że mówisz mi, jak mam urządzać sobie życie? Nawet cię nie znam. A ty nic nie wiesz o mnie.

– Wiem, że nie powinnaś jechać do Culver Valley. Nie rób tego, Louise.

W pokoju pociemniało, jakby ktoś pokręcił regulatorem światła, ale to niemożliwe. Pat i ja jesteśmy jedynymi osobami w tym pomieszczeniu. Trzęsąc się, wstaję i mówię:

– Proszę, byś już wyszła.

Pat również podnosi się z miejsca.

– Zostań tutaj – mówi, patrząc ponad moim ramieniem, na ścianę za mną. – Wyśpij się. Zapomnij o kupnie drugiego domu. Te hałasy teraz się skończą. Już się skończyły. Pan Clay nie będzie więcej uprzykrzał ci życia. Proszę, posłuchaj mojej rady.

– To nieprawda! Nie słuchałaś wcale tego, co mówiłam. Proszę... idź już.

Kiwa głową, najwyraźniej wcale nie czuje się urażona, i zmierza w kierunku drzwi, kiwając się na boki.

– Zadzwoń, jak będziesz mnie potrzebować. Wiesz, gdzie jestem – mówi przed wyjściem. – I pisz dalej dziennik.

To jest jak zakochiwanie się. Ja się naprawdę zakochuję. Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam, że Swallowfield okaże się właściwym miejscem. Przed dwiema godzinami, kiedy mijałam znak z napisem „Witamy w Culver Valley”, wyobrażałam sobie, jak jadę tu z Josephem, a on pyta radośnie z tylnego siedzenia: „Daleko jeszcze?”. Przy każdym wyjeździe będzie podeksytowany, nie mogąc się doczekać, kiedy wyrwie się z miasta i wróci do swego drugiego domu w pięknej wiejskiej okolicy w pobliżu Spilling.

Oczywiście, w drodze do Swallowfield nie wiedziałam jeszcze na pewno, że będę chciała je kupić. Tak sobie mówię, i chociaż nie czuję, że to prawda, tak musi być. Wtedy jeszcze nie widziałam osiedla ani żadnych domów. Nie odbyłam przejażdżki z Bethan. Wiedziałam tylko, że coś ciągnie mnie jak magnes i że nie mogę się temu oprzeć. Że nie chcę stawiać oporu.

Jadąc drogą wjazdową do Swallowfield, wyobrażałam sobie, że mogła zostać rozwinięta jak dywan, nowiutka, zaledwie kilka sekund temu, na mój wyłączny użytek. Nie było na niej żadnych innych samochodów jadących w jakimkolwiek kierunku. Opuściłam okno, żeby sprawdzić, czy słycać szum samochodów w oddali, ale nic takiego nie dotarło do mych uszu. Jedy- nym odgłosem, poza warkotem silnika mojego auta, był świergot ptaków – tak zróżnicowany i wydawany przez tak liczne ptactwo, że uświadomiłam sobie, iż nigdy nie słyszałam ani nie słuchałam czegoś podobnego. Ludzie mówią, że ptaki ćwierkają – nazywają to śpiewem pta- ków – ale nie rozróżniłam żadnej melodii, wyłowiłam tylko różne inne dziwne odgłosy, z któ- rych większości nie sposób łatwo określić. To było jak słuchanie jakiejś nieskoordynowanej orkiestry grającej nad moją głową, takiej, w której było mnóstwo różnych instrumentów.

Kiedy ujrzałam, wyłaniający się po lewej, wielki bładozielony znak z napisem „Swallow- field”, wykonany w poprzek białą minuskułą, wpadłam na szalony pomysł. Przyjechałam nie- co za wcześnie na spotkanie z Bethan Lyons, dyrektorką do spraw sprzedaży, więc postanowi- łam spróbować czegoś, co w Cambridge zostałyby uznane za próbę samobójczą: zwołniłam, wjechałam na środek drogi i zaparkowałam w poprzek na przecięciu z białą linią oddzielającą ruch w kierunku wschodnim od tego w stronę zachodu.

Nic się nie stało. Nie nadjechały inne samochody. Zresztą wcale się nie martwiłam, że nad- jadą. Czuję się całkiem spokojna, wyciszona, jakby nie mogło się tu zdarzyć nic, co w jaki- kolwiek sposób zagroziłoby mojemu bezpieczeństwu albo szczęściu. To było przedziwne uczu- cie. Otworzyłam drzwi samochodu i spojrzałam w prawo na pola, żywopłoty i drzewa, na wzgórze w oddali usiane białymi albo pastelowymi domami letniskowymi, na wiejskie domy z kamienia w odcieniu beżu oraz pomalowane na czarno stodoły rozrzucone pomiędzy nimi. Niemal zamknęłam oczy i zasnęłam na miejscu. Wreszcie mogłam się odprężyć. Byłam w domu. (Technicznie rzecz biorąc, wręcz przeciwnie, ale ja nigdy nie liczyłam się i nie liczę z faktami, jeśli nie mam poczucia, że są prawdziwe).

Było zimno – i nadal jest – lecz słońce świeciło mocno, rozjaśniając plamy soczystej zieleni, gdziekolwiek spojrzałam. Wydawało się, jakbym zabłądziła do jakiegoś zaczarowanego inne- go świata, roziskrzonej alternatywnej rzeczywistości, o której większość ludzi nie ma pojęcia.

I nastąpiło to, jeszcze zanim postawiłam stopę na samym osiedlu. Nie wiem, jak zniosłabym rozczarowanie, gdyby Swallowfield okazało się szkaradne. Mogę tylko powiedzieć (a Stuart mi nie uwierzy, chyba że poczuje się tak samo, ale tak się nie stanie), że wiedziałam, iż tak nie będzie. Wiedziałam, że Swallowfield przejdzie wszelkie moje oczekiwania.

– A więc tutaj zaczyna się wyłącznie naturalna część osiedla – mówi Bethan, przywołując mnie z powrotem do rzeczywistości.

Obejrzałyśmy właśnie oszłamiającą szklaną rzeźbę domu pokazowego, kawiarnię oraz sklep, a teraz jesteśmy w range roverze opatrzonym oficjalnym godłem Swallowfield, tuż przed wjazdem przez drewnianą bramę, za którą żwirowa droga przechodzi w szeroką trawiastą ścieżkę, mającą jezioro po jednej stronie. Swallowfield ma pięć jezior, a mieszkańcom wolno pływać i łowić ryby we wszystkich oprócz jednego. Wokół trzech z nich, tych mniejszych, stoją domy oraz widnieją puste działki przeznaczone pod zabudowę, a dwa większe jeziora znajdują się w całkiem wiejskiej okolicy, po której Bethan mnie właśnie obwozi, na ziemiach, które nigdy nie będą zagospodarowane i mają stanowić prywatne dzikie ostępy mieszkańców Swallowfield. Pragnę tego dla siebie i dla Josepha z desperacją graniczącą z histerią, choć Bethan, patrząc na mnie, wcale by się tego nie domyśliła. Patrę przez okno range rove-ra na zmarszczki na powierzchni jeziora, drewniany pomost i wyobrażam sobie, jak Joseph zrzuca ubranie i daje nura do wody w upalny dzień. Już widzę, jak skaczą za nim, a Stuart krzyczy: „Och, nie zazdroszczę! Ja zostawię sobie pływanie na basen w spa, dziękuję bardzo!”

Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę to spa. Bethan mówi, że mogę popływać w basenie i skorzystać z gratisowego półgodzinnego masażu pleców, szyi i ramion. No cóż, jest gratisowy, jeśli kupię tu dom, ale ja już wiem, że to zrobię. Zdecydowałam się na pewno, gdy Bethan otworzyła przy wtórze brzęczyka bramę, a ja wjechałam na teren osiedla. Uczucie, że „to jest to, jedyna właściwa rzecz w moim życiu” jeszcze się wzmogło i od tamtej pory wciąż się nasila.

– No więc to jest ten wiejski, sielankowy kawałek gruntów – mówi ze śmiechem Bethan.

Ma dziwny nawyk patrzenia we wsteczne lustro za każdym razem, kiedy się do mnie zwraca, jakby mówiła do kogoś siedzącego z tyłu, a nie obok niej, na siedzeniu pasażera, gdzie siedzę.

Może ona nie rozumie, że mogłabym widzieć jej oczy w lusterku, gdyby ona widziała moje. Myślę o Pat dotykającej palcem wskazującym lustro w moim salonie...

Czy przedstawiam w tej chwili aż tak okropny widok, że każdy wolałby patrzeć na swoje odbicie niż na mnie? Właściwie nie miałabym do Bethan pretensji o takie podejście, nawet jeśli skóra pod moimi oczami nie byłaby w tak pożałowania godnym stanie. Ona ma gęste, sięgające ramion włosy w kolorze ciemnego miodu, duże brązowe oczy, doskonale proste zęby, nieskazitelną cerę. Jedyne odbiegające od ideału detale, gwoli ścisłości, to zbyt wąskie usta i za mały nosek, który wygląda na ostry, chociaż przy dotknięciu taki by się nie okazał. Pomiędzy tych drobnych skaz fizycznych dziewięćdziesiąt dziewięć procent mężczyzn na sto zapewne wolałoby ją ode mnie.

– Doprawdy, głupio to brzmi, ale ta część posiadłości jest rzeczywiście sielankowa – rozpląwa się w zachwytach. – Serce i dusza Swallowfield, jak powiadają właściciele domów. Tu będzie przyjeżdżała pani z rodziną, pragnąc kontaktu z naturą. Nie ma tu żadnych domów, warkotu samochodów, rzadko widuje się ludzi – może wpaść pani na jakichś spacerowiczów czy

piknikowiczów, ale większość naszych mieszkańców twierdzi, że nigdy się tu na nikogo nie natyka. I nikt oprócz mieszkańców oczywiście nie ma tu wstępu, więc będzie pani miała dwieście hektarów pięknej okolicy wyłącznie dla siebie.

– Jejku – wzdycham. – Tu jest jak w raju, po prostu bajka.

Tymczasem myślę sobie: Wyłącznie dla siebie, oprócz tego, że będę musiała tym się dzielić ze wszystkimi innymi właścicielami domów, a jest ich co najmniej pięćdziesiąt. Ale wcale się tym nie przejmuję; jeśli coś mogłoby mnie zniechęcić, to na pewno nie to. Stuart i ja moglibyśmy kupić dom wypoczynkowy, którego nie musielibyśmy z nikim dzielić, ale nie przylegałoby do niego dwieście hektarów gruntu i nie mielibyśmy do dyspozycji spa, które wygrało nagrodę wysokości dziesięciu milionów funtów, ani lądowiska dla helikopterów (choć pewnie nigdy nie będzie nam potrzebne), ani też obsługi recepcyjnej, cokolwiek to jest. Ale bez wątpienia się dowiem.

Bycie Bethan musi być satysfakcjonujące, myślę sobie, szczególnie gdy to właśnie mnie usiłuje sprzedać dom. Jestem pewniaczką. Wznieca pragnienie kupna u osoby, która już zakończyła się po uszy w tym miejscu, i nawet nie wyobraża sobie, że ktoś mógłby tu przyjechać i nie paść od razu z wrażenia. Poziom zadowolenia Bethan z pracy musi być niebotyczny.

– W odróżnieniu od wielu innych grodzonych osiedli domów wypoczynkowych nie zezwalamy na podnajmowanie ani wynajem wakacyjny – informuje. – Tak więc jedyni ludzie, których będzie pani widywała na terenie posiadłości, to personel i inni mieszkańcy. Właściciele domów w Swallowfield uwielbiają jego ekskluzywizm. – Śmieje się. – Szczerze mówiąc, uwielbiają tu wszystko – piękno, niezwykle świeże powietrze, ciszę, całkowite bezpieczeństwo. Oczywiście osiedle jest ogrodzone i mamy dyskretną, lecz stale obecną ochronę, tak więc można spokojnie zostawić dom i wyjechać, a najlepsze jest to, że dzieci mogą szwendać się wszędzie bez opieki, a przecież teraz nie jest to możliwe nawet na wsi. Oczywiście kolejną rzeczą związaną ze wsią jest to, że ludzie nie przepadają tam za miastowymi, którzy kupują domy, by wykorzystywać je w celach wypoczynkowych. U nas nie ma tego problemu, bo wszystkie domy mają taki właśnie charakter. Poza tym wszyscy zapominają, że na wsi często panuje hałas – wszystkie te maszyny rolnicze, rolnicy zajmujący się codziennymi obowiązkami. Tu nic takiego nie ma.

Słowo „hałas” mnie zaniepokoiło. W Swallowfield nie ma wprawdzie maszyn rolniczych, ale są inni ludzie. Któż powstrzyma pana Fahrenheita przed kupnem drugiego domu tutaj? Albo kogoś do niego podobnego?

– A do tego jeszcze niesamowita miejscowa fauna i flora! – ciągnie Bethan. – Wielu właścicieli domów to fascynujący ludzie, ale chyba to nie oni będą pani najbardziej interesującymi sąsiadami. Żyje tu bowiem wiele rzadkich gatunków zwierząt. Zdziwi się pani, co pani zobaczy, kiedy wybierze się na przechadzkę – zające, jelenie, ważki, żaby, przeróżne ptaki. A najlepsze jest chyba śledzenie zmian pór roku w Swallowfield. W mieście się tego nie zauważa, ale tutaj... och! – Przymyka oczy, jak w ekstazie. Nieco teatralizuje, ale mnie to nie przeszkadza.

– Powiedziała pani, że właściciele domów uwielbiają spokój. Czy zawsze jest tu tak cicho? Bethan chichocze.

– Jeszcze jak. Można mieć dość.

Dobrze. Mnie to nie grozi.

– Większość właścicieli to miastowi, jak pani, więc mówią, że z początku ta cisza wydaje im

się straszna. Słyszy się ptaki i zwierzęta, a poza tym nic.

Objechałyśmy prawie całe jezioro i zmierzamy do następnego, które wygląda na jeszcze większe.

– Co to za drewniany domek? – pytam. – Dla ochrony?

– Nie, to kryjówka do obserwacji ptaków. Tu przyjdzie pani ze swoim synkiem – ile ma lat?

– Siedem.

– Doskonały wiek – mówi Bethan, sprawiając, że zaczynam się zastanawiać, co jest nie tak z sześć- i ośmiolatkami. – Jak ma na imię?

– Joseph.

– Piękne imię. I tutaj nie ma znaczenia, że jest jedynakiem – nie będzie czuł się samotny, zapewniam panią.

Wzdrygam się. Co za nietaktowna uwaga. Bethan nie wie, że Stuart i ja rozpaczliwie chcieliśmy mieć więcej dzieci, ale nie mogliśmy.

Nigdzie nie ma znaczenia, że Joseph jest jedynakiem, mam ochotę powiedzieć, ale tego nie mówię. Liczy się tylko to, że doktor Freeman go ukradł.

– Może pani przyprowadzać tutaj Joego wieczorami i obserwować ptaki, próbować wypatrzeć bobry. – Bethan odwraca się, by na mnie spojrzeć, krótko, zanim znów skieruje wzrok na drogę przed sobą. – Dzieciństwo powinno wyglądać jak w Swallowfield – mówi. – Rodzice pozwalają dzieciom wałęsać się poza domem, bez informowania, gdzie idą ani kiedy wrócą. Zapewne nie może pani uwierzyć, że kiedykolwiek zechce pani coś takiego zrobić, ale zapewniam, jak tylko przyzwyczai się pani do życia tutaj, tak się stanie.

Joe? O mało co nie spytałam: „Jaki Joe?”. Nigdy go tak nie nazywaliśmy.

– W mieście to niewyobrażalne, ale tutaj dzieci wyprawiają się do lasu, spotykają z przyjaciółmi przy batucie albo ścianie wspinaczkowej – mamy kapitalny plac zabaw. Pokażę pani, jak będziemy wyjeżdżać.

– Zastanawiam się nad tym hałasem – przerywam. To oczywiście niegrzeczne, ale nie mogę się powstrzymać.

– Mówiłam pani, że nie ma żadnego hałasu.

– Tak, ale... powiedzmy, że kupię dom, a osoba w sąsiednim domu zacznie zbyt głośno puszczać muzykę...

– Ach! – wtrąca Bethan ze zrozumieniem. – Już wiem, o co chodzi. Ale nie musi się pani tym martwić, doprawdy. Zapewnienie spokoju i ciszy w Swallowfield to nasz priorytet. Wszyscy nasi mieszkańcy przybywają tutaj, by uciec od hałasu, którego po prostu się nie da uniknąć w mieście, tak więc traktujemy tę kwestię niezwykle poważnie. Nikomu nie wolno, o żadnej porze dnia ani nocy, hałasować tak, by przeszkadzało to sąsiadom. Nabywcy domów muszą podpisać w związku z tym stosowne zobowiązanie. Jeszcze nie musieliśmy wyciągać z tego konsekwencji, ale proszę mi wierzyć, bylibyśmy bezwzględni, gdyby zaszła taka potrzeba. Jeżeli usiądzie pani na swoim balkonie albo tarasie, albo wewnątrz domu i zacznie pani przeszkadzać dźwięk dobiegający z czyjegoś telewizora czy nawet odgłosy zbyt głośnej rozmowy, po prostu zadzwoni pani do Boba, a on natychmiast się tym zajmie. W zeszłym roku zdarzył się pewien incydent – jedna z naszych mieszkanek urządziła w swoim domu babski wieczór. Hałas był słyszalny w domu obok, skąd zadzwoniono do Boba, a on natychmiast wskoczył do furgonetki, podjechał do domu, w którym odbywało się przyjęcie, i bardzo uprzejmie przypomniał pani domu o obowiązku zachowania bezwzględnej ciszy. Była bardzo

zawstydzona i natychmiast wyłączyła muzykę. To naprawdę jedyny przypadek zakłócania ciszy, jaki mieliśmy w ciągu siedmiu lat istnienia Swallowfield.

Wątpię w to. A co z tą kobietą od babskiego wieczorku? Dlaczego Bob musiał ją zawstydząć, zanim do niej dotarło, że jej muzyka jest za głośna i może ludziom przeszkadzać?

– Nie puszcza muzyki nawet na sali gimnastycznej ani na basenie – mówi Bethan. – W spa obowiązują surowe przepisy zabezpieczające przed hałasem. Jeśli dzieci wrzeszczą lub piszczą w basenie albo obok niego, są wypraszane. Nie wolno też wskakiwać do basenu – to nowy przepis obowiązujący od zeszłego roku. Niektórzy mieszkańcy skarżyli się, że dzieci wskakujące do wody robią dużo hałasu przy pluskaniu, podczas gdy oni chcą się zrelaksować spokojnym pływaniami.

Uśmiecham się. To właśnie tacy sąsiedzi, jakich chcę mieć: ludzie, którzy uważają głośne pluskanie za nierozsądne i nie mają ochoty go znosić. Będę musiała wyjaśnić Josephowi, że musi wchodzić do basenu cicho, po drabince. Nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Podobnie jest w niezabudowanej części posiadłości. Jeśli uda się pani z rodziną na piknik na łonie przyrody i natknie na mieszkańca, który urządził tam sobie małą dyskotekę, rozrabia i hałasuje – co nie znaczy, że coś takiego kiedykolwiek się zdarzy – wystarczy zadzwonić do Boba i od razu on albo któryś z jego ludzi pojedzie na miejsce. Jeśli dzieci piszczą, wskakując do jeziora, dzwoni pani do Boba. Jest zakaz. Uwzględniono to w umowie, jak nalegali niektórzy mieszkańcy.

Cóż, to rzeczywiście zrobiło na mnie wrażenie. Zakaz hałasu, nawet w głuszy. Czyżbym jakimś cudem znalazła miejsce, w którym mogę mieszkać, a do tego mieć najmnieszą z całej społeczności obsesję na punkcie hałasu? Na samą myśl pękam z radości.

– Oczywiście jest to kwestia, nad którą musi się pani zastanowić przed złożeniem podpisu na wykropkowanej linii – mówi Bethan, kiedy wjeżdżamy na pole ograniczone z dwóch stron szpalerami wysokich drzew iglastych, mijając coś, co wygląda jak rzeczka. – To źródło rzeki Culver, jest w Swallowfield – rzuca mimochodem.

– Nad czym się zastanowić?

– Nad wymogiem zachowania ciszy. To znaczy, oczywiście nikt nie oczekuje, że będzie pani prześlizgiwać się cicho ze swojego domu do spa. Normalne odgłosy codziennego życia są w porządku, ale oczekujemy, że mieszkańcy będą mieli na uwadze, iż Swallowfield jest oazą spokoju dla nas wszystkich, więc należy zredukować wszystkie hałasy do minimum. A więc jeśli jest pani w drodze z domu do spa albo w sklepie i rozmawia pani ze swoim mężem albo Joem, proszę robić to, zważając na innych, a nie mówić na cały głos – tylko o to prosimy – tak by jeśli nadchodzi ktoś z naprzeciwka i wygląda na zatopionego w myślach, nie zakłócać mu spokoju ducha.

Już nie mogę się doczekać. Muszę tu zamieszkać, jak najszybciej, kiedy tylko zdołam.

– Powiedziała mi pani w rozmowie telefonicznej, że mogę kupić dom i w nim zamieszkać w ciągu dwóch miesięcy. Czy można tak szybko zbudować dom?

– Och, nie, chodziło o kupno jednego z domów na rynku wtórnym, i to za gotówkę. Wówczas pewnie mogłaby pani zamieszkać tak szybko. Jednak jeśli chce pani kupić działkę i mieć dom zbudowany według indywidualnego projektu...

– Może być rynek wtórny – odpowiadam, nie bardzo wiedząc, co to jest. Domyślałam się, że chodzi o domy pierwotnie zbudowane dla innych właścicieli, którzy je teraz odsprzedają. – Ile ma pani teraz dostępnych domów? Najlepiej, żeby były już opuszczone. Albo należały do ko-

gość, kto może szybko się wyprowadzić.

Bethan się śmieje.

– Ojej, widzę, że bardzo się pani do tego zapaliła. Czy na pewno nie chciałaby pani domu zaprojektowanego na zamówienie? Większość kupujących...

– Muszę się wprowadzić najpóźniej czternastego grudnia – mówię. – Wtedy zaczynają się ferie świąteczne mojego syna. Chcę odebrać go ze szkoły i przyjechać od razu tutaj.

– Ach... cóż, w takim razie musi pani nabyć dom odsprzedawany. – Słyszę, jak entuzjazm w jej głosie opada i jak ona potem usiłuje sztucznie go podtrzymać. Rynek wtórny prawdopodobnie oznacza mniej pieniędzy dla Swallowfield i mniejszą prowizję dla niej.

– Obecnie mamy do sprzedania trzy domy. Jeśli pani chce, możemy teraz wrócić do biura sprzedaży i...

– Czy któryś z nich jest szklany, jak dom pokazowy? – wtrącam. – Albo chociaż go przypomina?

– Dwa z nich są stylizowane na stodoły, a więc drewniane, nie szklane. Trzeci ma całą ścianę ze szkła, ciągnącą się przez trzy kondygnacje, a więc jest całkowicie przeszklony od frontu.

– Właśnie ten kupię.

– To śliczny jasny dom. Doskonały dla schludnej rodziny, że tak powiem.

– Schludnej?

Tego się nie spodziewałam. Nie mam pojęcia, co miała na myśli.

– Granica – tak się nazywa – wychodzi na Jezioro Lukrowe. Jeśli pani kupi ten dom i będzie miała bałagan w salonie albo sypialni, zobaczą to pływacy w lecie, żeglarze przepływający na jachtach oraz ludzie w łodziach wiosłowych.

– Ach tak. To nie będzie problem. Jestem dość schludna. Mój mąż i syn nie są, ale...

Przerywam. Czy Bethan naprawdę sądzi, że mogłabym się przejmować tym, co jakiś inny mieszkaniec Swallowfield przepływający w canoe pomyśli o stanie mojego domu? Zastanawiam się, czy to jej subtelny sposób powiedzenia mi, że w umowie kupna są również punkty dotyczące bałaganu w domu. Wcale by mnie to nie zdziwiło: mieszkańcy, którzy skarżą się, że przeszkadza im pluskanie wody w basenie, mogą również mieć coś przeciwko skłębionej kołdrze, którą ujrzą, żeglując po jeziorze.

Granica. Jezioro Lukrowe. To mój dom, mój nowy adres.

– Czy mogłabym zobaczyć Granicę dzisiaj? Teraz? – pytam Bethan.

Dziennik hałasów, piątek, 12 października, 9.20

Weszliśmy w nową fazę. Zeszłej nocy po raz pierwszy, odkąd rozpoczęła się moja wojna o hałas z Justinem Clayem, mój mąż wyjechał i nie nocował w domu. A pan Clay o tym wiedział, ponieważ kiedy Stuart jest w domu, jego samochód jest zaparkowany w jednej z zatoczek na ulicy, a nie na krótko- czy długoterminowym parkingu lotniska Stansted.

Nie mogłam spać. Nie żebym spała szczególnie dobrze, odkąd zaczęły się te wszystkie nieprzyjemności, a dom był pełen pyłu wzniesianego przez robotników. Jak się tego można było spodziewać, okazałam się o wiele bardziej wrażliwa na pył niż Stuart, który chyba na nic nie jest wrażliwy. Przez większość nocy budzę się po cztery, pięć razy, bo albo muszę odkasznąć, albo podrywam się i nasłuchuję, spanikowana, bo śniło mi się, że pan Clay puszcza chóralną muzykę. A ostatnio tego nie robił. Po tym, jak powiedział Pat Jervis, że wcale nie puszczał takiej muzyki, spodziewałam się, iż na jakiś czas tego zaprzestanie, abym się zastanawiała, czy przypadkiem nie mówił prawdy. Że niby Pat może mieć rację i po prostu wyobrażałam sobie te chłapięce głosy przenikające przez ścianę mojej sypialni.

Teraz lepiej rozumiem psychikę pana Claya. Wcale nie jest taki głupi, jak twierdzi Pat. Może sprawiać wrażenie tępego chama, kiedy sunie zadowolony na autopilocie, ale gdzieś pod tą zaciadziłą od trawki powierzchnią jego mózgu czai się przenikliwa strategiczna wrażliwość, do której potrafi się podłączyć, jeśli się dobrze przyłoży. I pomimo marnego obecnie stanu mojego wyniszczonego przez zmęczenie umysłu jestem zdolna do podobnie sprytniej kalkulacji, bo wiedziałam, że wybierze minioną noc na swój pierwszy atak po przerwie. Dlatego właśnie nie mogłam spać. No, ściśle rzecz biorąc, postanowiłam nie spać. Siedziałam w łóżku i czekałam. Myślałam o wyrażeniu „przenieść się na materace”. Pierwszy raz usłyszałam je w filmie *Ojciec chrzestny* i utkwilo mi w głowie. To oznacza przygotowanie do wojny: wyprowadzenie się z domu, ukrycie w jakimś magazynie, gdzie materac jest jedynym udogodnieniem. Niedokładna analogia do mojej sytuacji, ale dosyć bliska.

Chciałam potwierdzić albo obalić swoją teorię, przyłapać pana Claya na tym, jak przez kilka sekund puszcza głośno muzykę, by mnie obudzić, a potem ścisza dźwięk do słyszalnego, lecz akceptowalnego poziomu. Co do tej jednej rzeczy się pomyliłam. Tym razem puścił muzykę na cały regulator. O drugiej nad ranem chór chłopięcy ryknął hymn *Król Chwały, Król Pokoju*. Oczywiście tego również powinnam się spodziewać. Ostatniej nocy pan Clay nie musiał zawracać sobie głowy cichą fazą, ponieważ nie było możliwości zaaranżowania kłótni pomiędzy mną a Stuartem: „Ale przecież jest tak cicho, że nie masz co się czepiać”. „Nie obchodzi mnie, czy jest cicho. Mamy środek nocy, a on robi to tylko po to, by mnie zranić”.

Myślę, że pan Clay właśnie coś takiego zamierza odtąd robić: prześladować mnie, kiedy jestem sama i wie, że nie będę w stanie niczego udowodnić.

Tylko że ja to zrobię. Mogę kupić jakieś urządzenie nagrywające. (Choć nie wiem gdzie. Nie miałam czegoś takiego od czasu posiadania magnetofonu w latach osiemdziesiątych. Nie wiem, czego ludzie używają obecnie do nagrywania. Może zapytam tego faceta w Foppie). Potrzebuję urządzenia, które może nagrywać dźwięk, a zarazem re-

jestrować datę i godzinę nagrania. No ale jak udowodnię, że dźwięk dobiega z domu pana Claya, a nie mojego? Na swoją obronę będzie oczywiście twierdził, że z powodu mściwości i obsesyjnej chęci ukarania go sama wywołałam hałas, by zwalić potem winę na niego.

Chyba da się jakoś odwrócić jego uwagę i przemycić bezstronnych świadków do mojego domu, gdy następnym razem Stuart wyjedzie. Już ja coś wymyślę. Niespodziewany telefon do pana Claya; zaaranżowana na tyłach naszych domów bójka studentów (których oczywiście sownie opłacę), połączona z wyzwiskami i pogrózkami. Kiedy pan Clay podbiegnie do jednego z tylnych okien, żeby zobaczyć, co jest grane, będę mogła wpuścić swoich świadków frontowymi drzwiami. Muszą to być ludzie, którzy nie mają nic przeciwko nieprzespaniu przez nas całej nocy. Prawdopodobnie im również będę musiała zapłacić.

Może Pat Jervis zgodzi się zostać wizytującym nocnym świadkiem? Jest wprawdzie zmienna, jeśli chodzi o lojalność, ale czuję, że lubi wyzwania. Gdybym jej powiedziała: „Zrób tę jedną rzecz i zobaczysz, że mam rację, a jeśli się mylę, zaakceptuję to, że ty masz rację, a ja wariuję”. A może łatwiej będzie poprosić o tę przysługę jednego z jej kolegów, Trevora Chibnalla albo Douga Minnsa, bo oni raczej nie będą próbowali wtrącać się do mojego życia.

(Tak na marginesie, moim zdaniem to nie w porządku, że pracownik środowiskowego wydziału zdrowia mówi komuś, kogo odwiedza w trybie służbowym, by nie uciekał od problemu, kupując dom wypoczynkowy w Culver Valley. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Pat Jervis miała czelność powiedzieć mi coś takiego. Nawet personel szpitalny w prawdziwym życiu nie ingeruje w ten sposób pomimo mylnego wrażenia wywołanego przez seriale telewizyjne typu *House and Casualty*, w którym chirurg mówi: „Kiedy będę usuwać pani wyrostek, porozmawiamy o pani lęku związanym z wchodzeniem w miłosne związki”. Pomimo jej dezaprobaty, która była zupełnie nie na miejscu, kupuję drugi dom w Culver Valley – to wszystko odbywa się właśnie teraz. Chociaż Pat nic do tego).

Bez względu na to, jakie poczynię plany, muszą one wybiegać poza zakres wyobrażeń pana Claya, gdyż będzie usiłował odgadnąć je na każdym etapie. Muszę to wszystko przemyśleć, kiedy będę mniej zmęczona.



Dziennik hałasów - czwartek, 18 października, 11.00

Nie mam dziś siły na długi wpis, więc będę się streszczać. Zresztą nie wiem, czy w ogóle warto kontynuować prowadzenie tego dziennika, bo prawdopodobnie nikt mi nie uwierzy. Nie mam żadnych dowodów, a gdybym komuś o tym opowiedziała, uznaliby to za jakąś szaloną historię. Bo tak właśnie jest. Pan Clay musi być całkiem szalony, skoro robi mi to, co robi.

Nie może chodzić wyłącznie o hałas – jego prawo do wywoływania go, moje skargi z nim związane. Może to stanowiło katalizator, ale ziarno jego predylekcji do uporczywej, narastającej mściwości, którą obecnie prezentuje, musiało zostać zasiane w jego osobowości na długo przed tym, zanim mnie spotkał. Nic nie wiem o jego pochodzeniu ani dzieciństwie. Może był ofiarą jakiegoś haniebnego czynu, co spowodowało powstanie w jego sercu fontanny gniewu i mściwości, która od tamtej pory wciąż tryska. Może zbyt się bał osoby czy ludzi, którzy go zranili, aby coś z tym zrobić, i dlatego właśnie wciąż musi się upalać trawą, żeby zagłuszyć swoją wściekłość. I oto ja wkroczyłam w jego życie, z moją niechęcią do akceptowania jego zabaw, przez które zarywałam noce, i nagle jego tłumiona zajadłość zaczęła narastać, pienieć się, a wreszcie wylała się na mnie – uprzejmą, przestrzegającą prawa kobietę, której on wcale się nie boi, wygodny obiekt zastępczy. Jednak nie mogę też udowodnić, że te przypuszczenia mają potwierdzenie w rzeczywistości.

W każdym razie nagie fakty są następujące: Stuart znów wyjechał, a pan Clay wprowadził swoją kampanię na nowy poziom. Wczorajszy wieczór spędziłam w salonie, oglądając telewizję. Nic dobrego nie leciało, ale nie znoszę być sama w domu, więc wolę mieć włączony telewizor, choćby po to, by słyszeć jakieś ludzkie głosy. (Wiem, to żałosne. Ale gdybym siedziała w ciszy, mogłabym zacząć się zastanawiać, o ile łatwiej niż ja Stuart radzi sobie z nieobecnością Josepha w trakcie semestru szkolnego, ponieważ sam regularnie wyjeżdża. Mogłabym wtedy zacząć się zastanawiać, czy Stuartowi kiedykolwiek przyszło to do głowy. Jeśli tak, nigdy o tym nie wspominał. Jeszcze chwila, a zaczęłabym włączyć się po ciemnych ulicach Cambridge, wrzeszcząc: „Gdzie jest mój lepszy drugi mąż?”. Zdaje się, że raczej należy tego wszystkiego uniknąć, więc oglądam telewizję).

Około dziesiątej trzydzięci wyłączyłam telewizję i światło w salonie i już miałam iść do łóżka na górę, kiedy usłyszałam śpiewających chłopców. Tym razem był to hymn *Skieruj oczy swe* i nie dochodził przez żadną część ściany, którą dzielę z panem Clayem. Słyszeć go było z zewnątrz. Na początku nie byłam tego pewna, więc podeszłam do okna. Gdy przy nim stanęłam, wątpliwości wyparowały: dźwięki dobiegały bezpośrednio z zewnątrz sypialni, z ulicy. Oddzielały mnie od nich jedynie szyba, karton Imrana, rusztowanie i plastikowe płachty.

Z początku byłam zadowolona. Pomyślałam sobie, że jeśli pan Clay stoi na chodniku ze swoim odtwarzaczem rodem z murzyńskiego getta, wówczas dźwięki usłyszy oprócz mnie ktoś jeszcze: jakiś inny sąsiad albo przechodzień. Gdybym mogła znaleźć chociaż jedną osobę, która mnie poprze, wówczas mogłabym udowodnić Pat Jervis, że naprawdę jestem ofiarą krucjaty nienawiści. Zaczęłam się zastanawiać, czy sytuacja wreszcie wymknie się Clayowi spod kontroli – czy tak rozsadzał go jad, że zapomniał o wiarygodnych sposobach wypierania się prawdy, co było przecież podstawą jego kampanii. A może skusił go mój opakowany dom, który z zewnątrz wygląda jak dzieło Christa i jego żony Jeanne--Claude (jeśli to cokolwiek dla ciebie znaczy, Samorządzie Cambridge – a jeśli nie, wyjaśniam, że są to rzeźbiarze, których znakiem rozpoznawczym jest opakowywanie rzeczy, i to dużych rzeczy, takich jak na przykład Pont Neuf), więc nie mógł się oprzeć takiej okazji? Może uznał, że warto zaryzykować ujawnienie się przed innymi sąsiadami po to, by doświadczyć intensywnej radości czystego, niekłamane zwycięstwa, jakkolwiek ulotnego. Wiedział, że nie mogę podbiec do okna i złapać go na gorącym uczynku, bo mam widok odcięty przez karton i plastik.

Podbiegłam więc do frontowych drzwi, ale zanim tam dotarłam i zdążyłam je otworzyć, zarówno on, jak muzyka zniknęli. Zresztą wiedziałam, że tak będzie. Jakiś mężczyzna w kraciastym kaszkiecie wyprowadzał psa i doszedł z nim już prawie do rogu Weldon Road z Hills Road. „Przepraszam!”, zawołałam za nim. Zawrócił. Spytałam go, czy słyszał muzykę i widział mężczyznę z jakimś odtwarzaczem. Powiedział, że nie. Zapewne kłamał. To po prostu niemożliwe, że był tam, gdzie był, czyli musiał przechodzić wcześniej obok mojego domu, i nie słyszał muzyki.

Przyjaciół pana Claya, strategicznie ustawiony, by wcielić się w postać niewinnego naocznego świadka, i jeszcze bardziej mnie dręczył? Włożyłam płaszcz, wyszłam z domu i nacisnęłam dzwonek domu pod numerem piętnastym, by sprawdzić, czy coś słyszeli, ale dom był pogrążony w ciemności i nikt nie podszedł do drzwi.



Dziennik hałasów, piątek, 19 października, 22.54

Nie wiem, jak on to robi. Czy możliwe, że cała ulica zjednoczyła się z nim przeciwko mnie? Dzisiejszego wieczoru nie czekał, aż wyłączę telewizję i światło. Zaczął puszczać chóralną muzykę pod oknem salonu, podczas gdy oglądałam czy raczej próbowałam oglądać serial *EastEnders*. Musiał mieć podkreślony dźwięk, jak tylko się dało. Jakiego sprzętu używa? Dużego przenośnego radiomagnetofonu, reliktu z czasów, kiedy tańczono break dance na rogach

ulic? Czy opracował jakiś sprytny sposób ustawiania głośników pod odpowiednim kątem, tak że dźwięk przenika do mojego domu, ale nie sięga na ulicę? Zastanawiam się, czy przypadkiem nie podwinął plastikowej płachty Imrana i nie ustawił odbiornika na poziomej drewnianej platformie wewnątrz rusztowania, ale nawet gdyby to zrobił, hałas i tak przedostałby się na ulicę. A jednak nikt go nie słyszał, nikt oprócz mnie.

Dzisiejszego wieczoru zagrano kolejny hymn: *Ciągle marzę o Twym niebie*. Aż zrobiło mi się słabo, gdy usłyszałam pierwsze takty i uświadomiłam sobie, który to utwór. Chór wykonywał go na pierwszym nabożeństwie wieczornym, w którym uczestniczyliśmy ze Stuartem po tym, jak Joseph zaczął naukę we wrześnie w Saviour. To był pierwszy hymn, który słyszałam w wykonaniu mojego syna z chórem. Zaczęłam płakać, kiedy go słuchałam, bo brzmiał tak pięknie, a Joseph się do tego przyczynił, a jednak byłam taka nieszczęśliwa. Czułam się, jakby serce rozpadało mi się na kawałeczki. Każda nuta napinała moją duszę niemal do punktu, w którym mogła pęknąć, jak ciężki but postawiony całym ciężarem na pękającym lodzie. Kiedyś uwielbiałam *Ciągle marzę o Twym niebie* – to był mój ulubiony hymn, ale od czasu tego pierwszego nabożeństwa nie byłam w stanie o nim myśleć i starałam się unikać ponownego usłyszenia. O dziwo, nie mam takich odczuć wobec innych utworów, które słyszałam w wykonaniu Josepha z chórem. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że *Ciągle marzę o Twym niebie* był pierwszym, jaki słyszałam w Saviour, a może dlatego, że znaczył dla mnie więcej niż inne hymny – ale skąd pan Clay to wiedział? Nie wierzę, że wybrał ten utwór przypadkiem.

Gdy usłyszałam muzykę pod oknami salonu, z początku byłam zbyt przerażona, by się ruszyć z miejsca. Potem wstałam i, jak głupia, podbiegłam do okna. To żalosne, że nawet po tak wielu dniach bez naturalnego światła to moja automatyczna reakcja po usłyszeniu jakichś odgłosów dobiegających z ulicy. A zdawałoby się, że już teraz mój mózg powinien podprogowo uświadomić sobie, że powinnam zmierzać raczej do drzwi wejściowych.

Jak można się było spodziewać, w oknie ujrzałam jedynie czarne tło, na którym odbijał się salon oraz ja – ze zmierzwionymi włosami, podpuchniętymi, podrażnionymi oczami, w starej piżamie, która po wielu dniach była niezbyt czysta i niezbyt świeżo pachniała. To zakrawa na ironię, że spędzam tyle czasu w piżamie, odkąd nie mogę się dobrze wyspać. Teraz ubieram się właściwie tylko wtedy, gdy idę do Saviour posłuchać, jak Joseph śpiewa. Odwróciłam się i już miałam się skierować do drzwi wejściowych, by spróbować przyłapać pana Claya na gorącym uczynku – muzyka wciąż grała – gdy coś skłoniło mnie do obejrzenia się za siebie. Nie wiem, co to było; ale myślę, że miało jakiś związek z tym, co ujrzałam odbite w szybie. Przysunęłam się do szyby i spojrzałam jeszcze raz. W tym, co zobaczyłam, nie było nic niezwykłego ani nieoczekiwanego: kanapa, dwa krzesła, lampa, niski stolik, dwie wnęki, w których stały regały, zapchane nadmiernie i bezładnie książkami. Po prostu mój salon i ja w nim. Jednak coś w tym widoku sprawiło, że serce zaczęło mi bić niebezpiecznie szybko, a wewnętrzny głos radził mi, bym się odwróciła, zanim zobaczę coś, czego nie zniosę. Musiałam wydostać się z tego pokoju jak najszybciej, więc wybiegłam na korytarz, po czym musiałam na kilka sekund oprzeć się o ścianę, by odzyskać oddech. Uznałam, że później będzie mnóstwo czasu na zastanawianie się, jaką to niepokojącą rzecz mogłam dostrzec, choć nie było to natychmiast oczywiste, gdy spojrzałam ponownie, tymczasem jednak mogłam mieć tylko parę sekund na przyłapanie pana Claya, więc rzuciłam się do drzwi wejściowych tak szybko, jak tylko zdołałam, i rozwarłam je na oścież.

Nic. Nie słychać żadnych dźwięków, nie widać nikogo na ulicy. Nawet przechodnia. Teraz wiedziałam już ponad wszelką wątpliwość, że to, co zdawało się przypadkiem, po prostu nie mogło nim być. To było fizycznie niemożliwe. Zaledwie przed paroma sekundami rozlegał się hymn *Ciągle marzę o Twym niebie*. Pan Clay nie mógłby tak szybko wyłączyć muzyki i zbiec z Weldon Road, by skryć się we wnętrzu swojego domu.

Przyszło mi do głowy, że może zostawił jakieś nowoczesne urządzenie na chodniku, potem wrócił do domu i kontrolował je zdalnie, spod dziewiętnastki. Jeśli tak, mógłby nacisnąć „stop” dokładnie w tej samej chwili, gdy zoba-

czył, jak otwieram drzwi. Wybiegłam na zewnątrz i rozejrzałam się: nic. Nie było żadnego murzyńskiego radiomagnetofonu ani żadnego innego odtwarzacza.

W takim razie jak to zrobić? Czy mógłby poradzić sobie bez jakiegoś urządzenia umieszczonego na ulicy? Może włamał się do mojego domu wczoraj, kiedy Stuart wyjechał, a ja wyszłam na nabożeństwo wieczorne? Mógł zainstalować jakieś niewidzialne albo dobrze ukryte głośniki w moim salonie, gdzieś w pobliżu okna. Może pod deskami podłogowymi.

Przewróciłam cały salon do góry nogami (jestem zbyt roztrzęsiona, by go na powrót uporządkować) i nic nie znalazłam. Doszłam do wniosku, że prawdopodobnie pan Clay wymyślił jakiś sposób puszczenia muzyki wieczorem – może otworzył okno w swoim salonie i ustawił głośnik na parapecie, nachylił go pod takim kątem, żeby dźwięk walił w chodnik przed moim domem... O tak, wydaje mi się to wykonalne.

Jedna rzecz wydawała mi się pewna: ktoś jeszcze musiał słyszeć hymn, który był grany tak głośno. Umyłam zęby, włosy i znów wyszłam na zewnątrz. W trzech domach oprócz mojego paliły się światła na parterze: u pana Claya, pod szesnastką i pod dwunastką. Postanowiłam spróbować pod szesnastką, ponieważ jest dokładnie naprzeciwko. Mężczyzna, który mieszka tam sam, Philip Darrock-Jones, jest dość znanym dyrygentem, który pracował ze wszystkimi dużymi brytyjskimi orkiestrami, a także z wieloma zagranicznymi.

Lubię Philipa. Powiedział mi kiedyś, że mieszka na Weldon Road od ponad dwudziestu lat i w przeciwieństwie do większości nowych, mających hopla na punkcie prywatności mieszkańców, którzy natychmiast po sprowadzeniu się instalują sobie we wszystkich oknach żaluzje albo przyciemniane szyby, nie fatyguje się nawet, by zaciągnąć zasłony na parterze, chociaż ma najwyraźniej rzadkie i cenne obrazy rozwieszane na wszystkich ścianach. Ze względu na lewicowe poglądy prawdopodobnie czuje się moralnie zobligowany do dzielenia się swoją kolekcją z przechodniami, których nie stać na kupowanie oryginalnych dzieł sztuki. Śledzę go na Twitterze, więc wiem na przykład, że bardzo by chciał być zmuszony do płacenia wyższych podatków, niż płaci obecnie. Nie przejmuje się specjalnie ludźmi takimi jak ja czy Stuart, którzy wcale tego nie chcą, ale musieliby to robić, gdyby przeforsował swoje poglądy. Jednak choć ich nie podzielam, nie mogę wyzbyć się myśli, że altruizm, który oczywiście za nimi stoi, jest słodki. Lubię Philipa również za to, że denerwuje pana Claya, który ostro sprzeciwia się stałej obecności plakatu z napisem „Głosuj na Partię Pracy” w oknie sypialni Philipa, nawet jeśli do wyborów jeszcze daleko. Słyszałam, jak Clay skarży się swojej dziewczynie Angie, że plakat zaniża ton, sprawia, iż ulica wygląda na zaniedbaną i studencką, słowem deprecjonuje całe sąsiedztwo. Stuart ma taką samą opinię o domach z poczerniałą murarką. Moim zdaniem równie dobrze Philip Darrock-Jones mógłby uważać, że ton zaniża zaleganie na wystawionej na widok przechodniów kanapie i wciąganie dymu z marihuany przez plastikową butelkę z wypaloną dziurą. Wszystko jest względne.

Gdy zastukałam do drzwi, podszedł do nich Philip, i wyglądało na to, że szczerze się ucieszył na mój widok. Jeśli zauważył, że pod płaszczem mam piżamę, nie dał tego po sobie poznać. Musiałam się mocno opierać, by mu nie pozwolić się wciągnąć na herbatę, ale wreszcie udało mi się go przekonać, że nie mam na to czasu. Powiedziałam, że chcę go tylko szybko o coś spytać: czy słyszał chór chłopięcy, który śpiewał przed jakimiś dwudziestoma minutami? Czy przebywał wówczas w salonie? Czy widział kogoś na ulicy, bo przecież ma zawsze odstłonięte zasłony? Zmarszczył brwi. Nie, odpowiedział. Nic nie słyszał, nic nie widział, a przez cały czas przebywał w salonie.

O mało nie rozplakałam się na jego progu. Bałam się, że powie to, co właśnie usłyszałam, wiedząc, że uwierzę w jego słowa. Philip by mnie nie okłamał. Gdyby hymn *Ciągle marzę o Twym niebie* leciał na cały regulator przed jego domem, prawdopodobnie wiedziałby o tym szybciej niż inni sąsiedzi, bo przecież jest muzykiem.

Musiałam zblednąć albo wyglądać na roztrzęsioną, bo Philip spytał, czy dobrze się czuję, i znów spróbował namówić mnie na przestąpienie progu swego domu, proponując dla pokrzepienia odrobinę brandy. Spytał, co złego się dzieje i dlaczego wypytyuję o chór chłopięcy. Miałam przedziwne odczucie fizyczne: jakby ktoś wyciągał, bardzo delikatnie, wszystkie tętnice, żyły, nerwy i mięśnie z mojego ciała, pozostawiając mnie pustą i oklapniętą, bez jakiegokolwiek masy. Pokręciłam głową i powiedziałam, że to nic ważnego. Skoro mój własny mąż mi nie wierzy – jeśli Pat Jervis, której zadanie życiowe polega na walce z wandalami spod znaku hałasu, również nie daje wiary moim słowom, dlaczego miałby uwierzyć w nie Philip, który uważa, że ludzie są z gruntu mili i wszyscy chcą się o siebie troszczyć? Już widzę, jak marszczy szerokie czoło i pyta: „Ale dlaczegoż to pan Clay miałby chcieć być taki wredny dla ciebie?”. A ja, słysząc coś takiego, kompletnie bym się rozsypała.

Philip był pewien, że dwadzieścia minut wcześniej na ulicy nie grała żadna muzyka. Był naocznym i „nausznym” świadkiem tego, że chłopięce głosy tam nie śpiewały. Nie byłam w stanie przekonać go, że się myli, a ja mam rację.

Nie zawracałam już sobie głowy wypytywaniem innych sąsiadów. Po raz kolejny dotarło do mnie, że nie doceniłam pana Claya. Przecież to oczywiste, że nie puszczałyby głośno muzyki, którą da się empirycznie potwierdzić. Już taki głupi nie jest.

A więc. Ukryte głośniki w moim salonie. To jedyne wyjaśnienie.

Gdy wróciłam od Philipa, zamknęłam drzwi, poszłam do kuchni i wyjęłam paczuszkę z trawą z szuflady. Z drugiej wyciągnęłam zapalki, a z błatu wzięłam na wpół opróżnioną butelkę po wodzie mineralnej. Zaniosiłam to wszystko do salonu, usiadłam na kanapie i pomyślałam: Przyjmę narkotyki. Może jak będę miała odłot, tak jak pan Fahrenheit (tak nazywam pana Claya), zdołam łatwiej odgadnąć jego nastawienie umysłowe – będziemy, nawaleni trawą, odbierać na tej samej długości fali. Wtedy po prostu rozejrzę się po pokoju i intuicyjnie odgadnę, gdzie umieścił niewidzialne głośniki.

Jednak nie zrealizowałam swojego planu i nie najarałam się trawą. Przypomniałam sobie, że pan Fahrenheit, kiedy go podejrzałam w takiej sytuacji, miał coś, co wyglądało na srebrną folię rozciągniętą na górze butelki. Nie miałam siły wlec się z powrotem do kuchni po folię, więc zostałam tam, gdzie byłam, i po prostu się rozpłakałam.

Jak tak dalej pójdzie, jeśli nikt nie pomoże mi odkryć, co się dzieje, i położyć temu kres, mój sąsiad mnie zabije.

CZĘŚĆ DRUGA

GRUDZIEŃ

– Mamo, patrz, jak wysoko skaczę! – krzyczy do mnie Joseph, skacząc na batucie.

Jest z kolegą, który jak dotąd skakał w milczeniu, z czego zapewne zdaje sobie sprawę jego zadowolona mama.

– Ciiii – syczę, podbiegając do niego, na wypadek gdybym musiała znów to mu powiedzieć, bo może nie usłyszał mnie za pierwszym razem.

Kiedy się do niego zbliżam, zerkam w lewo, na kort z utwardzoną nawierzchnią, na którym młode blondwłose małżeństwo, chronione przed chłodem przez dresy i polary z kapturami, gra bez specjalnego zaangażowania, zaśmiewając się z własnej nieudolności. Spotkałam ich w spa w zeszłym tygodniu i trochę rozmawialiśmy – wszyscy chętnie nawiązują kontakt z nowymi przybyszami, pewnie po to, by móc nas później obgadywać – ale nie pamiętam, jak się nazywają.

Ona miała dość rzadkie imię, jak Melody albo Carmody, ale to żadne z nich.

Tylko mniej więcej jeden na pięć z ich serwów przechodzi przez siatkę. Zbliżając się do batutu, patrzę na nich, by zobaczyć, czy zamierzają w ogóle zareagować na entuzjastyczny wybuch Josepha albo na moje „Ciiii”, ale nie wyglądają na zainteresowanych. Są zbyt pochłonięci chichotaniem, które wcale nie jest cichsze od wydanego przeze mnie odgłosu, a trwa dłużej. Matka drugiego chłopca skaczącego na batucie też nie wydaje się niezadowolona z naruszenia ciszy. A Joseph już mówi bezgłośnie, samym ruchem warg: „Przepraszam, mamo! Zapomniałem!”.

Sprowadziliśmy się do Granicy niecały tydzień temu, ale już zaczynam pojmować niepisane zasady, które tu obowiązują. Ludzie przejmują się nie tyle hałasem, ile sytuacją, w której nikt nie przedsięwzięje kroków, by mu zapobiec. Moje „Ciiii” upewniło wszystkich w pobliżu, że jestem świadoma problemu i zaraz go rozwiążę, i to wszystko, czego ludzie tutaj oczekują: komfortu, jaki sprawia świadomość, że ich sąsiedzi cenią ciszę i spokój tak samo jak oni. Po moich doświadczeniach z panem Fahrenheitem wiem, że najpotworniejszy aspekt niechcianego hałasu to nie decybele, lecz poczucie braku sprawczości, braku kontroli nad własnym otoczeniem i życiem. Każdy może jakoś znieść głośną muzykę, jeśli wie, że ona wkrótce ucichnie albo że można do tego doprowadzić.

Kiedy docieram do syna, mówię:

– Jak chcesz, możesz tu jeszcze zostać, ale ja muszę iść, by zacząć szykować lunch.

– Będziemy razem – zapewnia szybko drugi chłopiec, zaalarmowany perspektywą utraty towarzysza zabaw. – Ja tu jeszcze trochę pobędę.

Ma walijski akcent, miedzianorude włosy, duże piegi i jest ubrany jak nobliwy rolnik – w miniaturowej wersji – podczas gdy Joseph wygląda na miejskiego chłopaka, w tych swoich modnych džinsach, bez odpowiedniej kurtki; jego wysokie trampki stoją na trawniku obok o wiele bardziej odpowiednich brązowych butów turystycznych. Muszę zabrać Josepha do Spilling i kupić mu taką zieloną, ocieplaną kurtkę, jaką ma walijski chłopiec, kalosze i nieprzemakalny skafander z kapturem.

– Nie jestem głodny – mówi. – Nie chcę lunchu.

– Dobrze, to zostań tu sobie – zgadzam się. – Wróć, jak będziesz miał ochotę. Zostawię ci trochę makaronu – możesz zjeść, kiedy zechcesz.

Joseph nagradza mnie promiennym uśmiechem.

– Dzięki, mamó! Jesteś zarabista!

Kolejne słowo, które podłapał w Saviour. Zapewnia mnie, że oznacza to fajna i ogólnie kapitalna.

Wracam do domu, nie prosząc mamy Walińczyka, by miała oko na mojego syna. Wiem, że nie jest to konieczne. Ochrona w Swallowfield działa bardzo skrupulatnie. Gdy Bethan mówiła mi o tym w trakcie objazdu posiadłości, brzmiało zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe, ale okazało się, że wszystko się zgadza: dyskretna, lecz zawsze obecna ochrona. Nie zauważyłam funkcjonariuszy ochrony patrolujących teren – nie czułam się podglądana ani szpiegowana, ale kiedy przez niedopatrzenie zostawiłam otwarte okno w samochodzie, przyjazny mężczyzna w bluzie mundurowej z herbem Swallowfield zastukał do moich drzwi, by uprzedzić o tym zaniedbaniu, a kiedy zgubiłam etui od telefonu podczas dwugodzinnego spaceru po osiedlu, który obejmował Lagunę, Jaskółcze Jezioro oraz Szczyt, kolejny uśmiechnięty facet w identycznej bluzie przyniósł je do Granicy zaledwie pół godziny po moim przyjsciu.

Uwielbiam to miejsce. Wszystko mi się tutaj szalenie podoba, a zwłaszcza korzyści, które czerpię wraz ze swoją rodziną, choć się ich nie spodziewałam, podpisując się na wykropkowanej linii. Wiedziałam, że Swallowfield jest piękne, wyjątkowe, ciche, ale nie przewidziałam, jak wpłynie na zdrowie mentalne i fizyczne – moje, Stuarta i Josepha. Po czterech zaledwie dniach pobytu tutaj zniknęła żółtawoszara miejska bladość z naszych twarzy, z której nie zdawaliśmy sobie sprawy, dopóki nie ujrzelśmy, jak inaczej wyglądamy po kilku dniach oddychania świeżym powietrzem Swallowfield. Wcale nie zmyślam, Stuart zauważył to pierwszy i ma rację: mamy gładką, rumianą, właściwie dotlenioną cerę. Oczy nam bardziej błyszczą. Rozpiera nas energia i męczymy się o wiele wolniej niż w Cambridge, a jeśli już zmoże nas zmęczenie, to dlatego że pływaliliśmy przez półtorej godziny w ogrzewanym zewnętrznym basenie, a potem obeszliliśmy całą łąkę, a nie dlatego że musieliśmy czekać przez dwadzieścia minut w kolejce do Tesco na Hills Road, a potem przekopywać się przez zbyt wiele pudeł z Domino Pizza w drodze do domu.

Lepiej tu sypiamy, dzięki ciemności i ciszy. Opuchlizna spod moich oczu zniknęła – a już nie skutkował żaden z kremów zalecanych przez lekarza z Cambridge. Ten sam lekarz powiedział mi, że muszę wziąć co najmniej półroczne zwolnienie z pracy, i zasugerował spotkanie z terapeutą poznawczo-behawioralnym. Zanim przeprowadziliśmy się do Granicy, nie byłam w biurze już od ponad miesiąca. Nie wyobrażałam sobie, że byłabym w stanie jeszcze kiedykolwiek tam znów się powlec. Teraz myślę, że dziewiątego stycznia dwa tysiące trzynastego roku, pierwszego dnia w szkole po feriach, będę mogła zameldować się skoro świt na swoim stanowisku pracy i oświadczyć wszystkim, że już dobrze się czuję, dziękuję bardzo, traumę mam za sobą.

Pan Fahrenheit może sobie do woli próbować mnie nakręcić, puszczając muzykę chóralną, ale ja go przechytrzę. Powiedziałam już o tym Stuartowi: porządnie wygłuszemy strych i zamienimy jego gabinet z sypialnią. Pan Fahrenheit nie będzie miał szansy dowiedzieć się, że to zrobiliśmy, więc nie dowie się również, że już nikt nie sypia w pokoju, z którym jego sypialnia ma wspólną ścianę, więc będzie tracił czas, godzinami zabawiając się pokrętłem głośności,

regulując natężenie głosów chłopców z chóru za każdym razem, gdy uzna, że może robić to bezkarnie, bo Stuarta nie ma w domu. Tymczasem ja będę spała jak suseł na stryszku, z najlepszymi zatyczkami do uszu, jakie tylko można kupić.

Mogłam i powinnam pomyśleć o tym w październiku albo listopadzie, ale wtedy ze względu na słabą formę nie potrafiłam się ratować. Swallowfield mnie ocaliło, tak jak się spodziewałam. To dziwne. Wszystkie sprawy, które wymykały się spod kontroli lub były przerażające w Cambridge, z tego bezpiecznego dystansu wydają się możliwe do rozwiązania. Jestem gotowa wyrzucić narkotyki, które wykradłam z domu pana Fahrenheita. Postanowiłam, że wyjdę pewnej nocy z domu, kiedy Stuart i Joseph będą już spali, i rozsypię suche kępki marihuany na Jeziorze Lukrowym, jakby były prochami ukochanej osoby. Pomiedzy domem a jeziorem żaden ochroniarz na pewno mnie nie zauważy, jeśli pokonam dystans w parę sekund. Sądzę, że nie naruszę przy tym obowiązujących na osiedlu zasad dotyczących wyrzucania śmieci. Narkotyk wygląda jak trociny, więc jest naturalny i organiczny. Przecież nie zamierzam wrzucać do jeziora pustych puszek po coli przywiezionych ciężarówką. Nie znam się zbyt na ogrodnictwie, ale nie sądzę, by w wyniku moich działań przed domem wyrósł olbrzymi krzak marihuany.

Może się to wydać dziwne, ale przywiozłam narkotyk do Swallowfield z myślą, że mogę go potrzebować. Całe szczęście, że ochrona nie ma specjalnie wyszkolonych psów, ale jednak szaleństwem było podejmować takie ryzyko. Zrobiłam to, ponieważ kobieta, którą byłam, Louise Beeston, kiedy się pakowała, była na dobrej drodze do tego, by zwariować i wieść żywot narkomanki.

Teraz zdaję sobie sprawę, że chociaż nigdy nie przyznałam się do tego przed samą sobą, to był mój plan awaryjny od czasu, gdy ukradłam plastikową torebkę z nielegalną zawartością z domu pana Fahrenheita. Brzmiał następująco: skoro nie mogę go powstrzymać przed hałasowaniem, mogę otumanić się narkotykiem, a wtedy będzie mi wszystko jedno. Kiedy tylko nauczę się posługiwać tą przepaloną butelką i folią aluminiową. Mogłoby dojść do tego, że w końcu musiałabym poprosić pana Fahrenheita o instruktaż.

Wspomnienie niedawnej desperacji wytrąca mnie z równowagi, kiedy w drodze nad Jezioro Lukrowe przechodzę przez wejście do Szpakowego Zagajnika. Mało brakowało, a nie zdołałabym się uratować. Dzięki Bogu stało się inaczej. Dobrze, że nie zwracałam uwagi na Pat Jarvis, Stuarta czy Alexis Grant. Tak jak się tego spodziewałam, Alexis poczuła się wielce urażona, kiedy jej powiedziałam o naszych planach kupna drugiego domu. Skrzywiła się i powiedziała: „Chyba nie chcecie bez przerwy jeździć tam i z powrotem do Culver Valley? Dlaczego nie oszczędzicie sobie kłopotu i forsy i zamiast tego nie przeprowadzicie się na wieś pod Cambridge? Mielibyście wówczas to, co najlepsze z tych dwóch światów, tak jak my w Orwell”.

Uśmiechnęłam się i odpowiedziałam coś niezobowiązującego. Gdyby teraz zadała mi to pytanie, miałabym dla niej odpowiedź: Potrzebowałam i potrzebuję czegoś więcej niż kumulacji największych zalet tych dwóch światów. Potrzebuję dwóch osobnych światów: dwóch fizycznie różnych miejsc. Muszę wiedzieć, że moje życie w Swallowfield nadal istnieje i czeka, by mnie powitać i dać mi schronienie, kiedy tylko tego potrzebuję. Jeśli posiada się tylko jeden świat, jedno życie, wtedy nawet jeśli przez większość czasu wszystko to jest cudowne, nie masz gdzie uciekać, kiedy chcesz wyrwać się stamtąd na jakiś czas.

Nadal szokuje mnie to, jak szybko Swallowfield ocaliło moje zdrowie psychiczne. Wystarczyły zaledwie cztery dni, bym doszła do siebie – cztery dni z gwarancją wielu innych, jakie

mają dopiero nadejść – i znów jestem szczęśliwa, potrafię spojrzeć na wszystko z dystansem. Wiem, że w trakcie semestru będzie mi ciężko, gdy Joseph znajdzie się znów w Saviour, ale po prostu zacznę wyobrażać sobie nas wszystkich tutaj w trakcie wakacji i zdołam wówczas jakoś przetrwać tygodnie szkolne. A jeśli Stuartowi uda się wszystko tak załatwić, żeby więcej pracować w domu – a jest przekonany, że raczej tak – to będzie jeszcze lepiej. W Cambridge myślałam, że może będę wolała być w Swallowfield tylko z Josephem. Stres panujący w mieście powoli niszczył moją więź z mężem. Tu odkryłam ją na nowo. Kiedy po raz pierwszy otworzyliśmy drzwi Granicy i weszliśmy do środka, Stuart uśmiechnął się do mnie szeroko i powiedział: „O rany, to niesamowite, Lou! Miałaś całkowitą rację co do tego miejsca. A ten dom. Patrz tylko, co za widok!”. Wtedy wiedziałam już, że z nami będzie wszystko w porządku, że mogę bezpiecznie znów go pokochać.

Po powrocie zastaję go na tarasie za domem. Klęczy przy nowym rowerze, który kupiliśmy wczoraj Josephowi, i próbuje napompować koła.

– Ta pompka jest do niczego – mówi. – Będę musiał pojechać do Spilling po nową. Czy zdążę przed lunchem?

– Jasne – odpowiadam.

Tę porę uważam zazwyczaj za odpowiednią na lunch, ale przygotowanie go zajmie mi co najmniej godzinę, a nie zamierzam się spieszyć. Gdy Stuart wstaje i zaczyna mruczeć pod nosem, że musi znaleźć portfel oraz coś o „cholernym sklepie rowerowym, gdzie wcisnęli mu chłam”, patrzę na zmarszczki na tafli Jeziora Lukrowego, na trzydzieści kilka domów stojących wokół niego. Zimowe słońce odbija się od ich dachów, oświetla te fasady, które są szklane. Każdy z domów jest inny, a jednak wyglądają jak spójna całość. Swallowfield wygrało wiele prestiżowych nagród, jak poinformowała mnie Bethan w trakcie objazdu – za estetykę, nastawienie ekologiczne, za prawie każdy aspekt koncepcji i projektu.

Rozumiem, dlaczego ludzie ustawiali się w kolejce, by obsypywać Swallowfield nagrodami. W nocy wszystkie domy stojące nad Jeziorem Lukrowym, oświetlone od wewnątrz, odbijają się w lśniącej tafli wody i ma się wrażenie, jakby się patrzyło na dzieło sztuki wykorzystujące różne środki wyrazu: światło, wodę, powalającą architekturę. Nic dziwnego, że większość mieszkańców nie zawraca sobie głowy zasłonami ani żaluzjami, oprócz tych w sypialniach i łazienkach. Przy projektowaniu osiedla zadbano o to, by domy nie stały niepożądanie blisko, a któż by się chciał pozbawiać takiego niesamowitego widoku?

– Dobra, to ja jadę – mówi Stuart, wychylając się zza drzwi balkonowych.

Nie zauważyłam, kiedy wszedł do środka. Trzyma w ręku portfel.

– Ach, byłbym zapomniał... dzwonił doktor Freeman.

W moim sercu ląduje kamyk. Kamyk rzucony z bardzo daleka. Z tak daleka, że pozostaje poza zasięgiem, a przynajmniej tak mi się zdawało. Najwyraźniej się myliłam.

– Nie panikuj. – Stuart uśmiecha się, widząc wyraz mojej twarzy. – Co, czekasz, aż zaraz powiem, że ferie świąteczne Josepha zostały odwołane i musi wracać prosto do szkoły?

Właśnie to powiedziałaś. Po co tak mówić, skoro to nieprawda?

Kamień rośnie. Twardnieje.

– Mów – rozkazuję.

– Chodziło tylko o ten piątek. Muszę przyznać, że zapomniałem, ale ty pewnie nie.

– Piątek? Co się dzieje w piątek?

– Och. Dobrze się składa, że doktor Freeman zadzwonił, prawda? Wygląda na to, że oboje

zapomnieliśmy. – Stuart stara się wszystko zbagatelizować. Ważę tyle, jakbym była z ołowiu. Czekam. – Jest dodatkowe nabożeństwo wieczorne, ostatnie w roku.

– Dwudziestego pierwszego grudnia?

To by oznaczało konieczność zabrania Josepha do Cambridge dwukrotnie w trakcie ferii. O nie, nie ma mowy.

– To w związku z przejściem kapelana na emeryturę, coś w rodzaju pożegnania. W każdym razie skoro jest próba wigilijna i nabożeństwo w pierwszy dzień świąt, chyba nie ma sensu, żebyśmy wtedy tu wracali, prawda?

– Owszem, jest – odpowiadam cicho. Usiłuję być stanowcza, ale głos odmawia mi posłuszeństwa. – Nie będę dwukrotnie jeździć do Cambridge. Joseph też nie.

– Nie wygłupiaj się, Lou. No dobrze, jak chcesz tu ponownie wrócić, możemy tak zrobić. Pewnie to tylko godzina piętnaście jazdy, prawda? Niektórzy ludzie codziennie tracą dwa razy tyle na dojazd do pracy i powrót do domu. Możemy tu wrócić wieczorem dwudziestego pierwszego, a potem pojechać znów do Cambridge w Wigilię rano. Dobrze?

Kiwam głową i nic nie odpowiadam, pragnę, by Stuart wyszedł, bo wtedy bym mogła pozwolić sobie na płacz. Chciałabym zachować się stanowczo i nie zgodzić się na to dodatkowe nabożeństwo – o którym nas wcześniej nie uprzedzono, jestem tego pewna, a podejrzewam nawet, że doktor Freeman pospiesznie je zaaranżował tylko po to, by zakłócić mi spokój i pokrzyżować plany – ale nie chcę postępować nedorzecznie. Stuart wycofał swoją wstępną propozycję, byśmy zostali w Cambridge od dwudziestego pierwszego grudnia do pierwszego dnia świąt, kiedy tylko zobaczył, jak bardzo odrzuca mnie od tego pomysłu. Muszę udowodnić, że też jestem skłonna do kompromisu.

Gdy wreszcie wsiada do samochodu i odjeżdża, mówię do siebie: „Dobrze, teraz można sobie bezpiecznie popłakać”, i odkrywam, że nie jestem w stanie tego zrobić. Wchodzę do środka, zamykam szklane drzwi na zamek i siadam na kanapie. Zachowam spokój, myślę, i poradzę sobie z tym nagłym przeczuciem nadciągającego nieszczęścia w racjonalny sposób. Nie jestem już Louise Beeston z Weldon Road 17, jestem Louise Beeston z Granicy nad Jeziorem Lukrowym, na osiedlu Swallowfield. Muszę zachowywać się i myśleć w inny sposób, tak jak inaczej umeblowałam swój tutejszy dom.

Rozglądam się i patrzę na nowiutkie krzesła i kanapy: wszystkie są nowoczesne, w jaskrawych kolorach, kupione za jednym zamachem w londyńskim Healu i dostarczone w ostatni piątek. Gdyby ktoś zobaczył ten pokój i mój salon w Cambridge, nie mógłby uwierzyć, że oba należą do tej samej rodziny. Meble w domu przy Weldon Road są stare i wysłużone, niektóre to antyki, wiele z nich jest poobijanych w wyniku licznych przeprowadzek, jakie odbyliśmy ze Stuartem w ciągu wspólnie przeżytych lat.

Ale teraz jestem w Swallowfield, co oznacza, że muszę być zdolna do wywoływania zupełnie nowych myśli. Do tej pory radziłam sobie z tym coraz lepiej i trzeba się zmusić do tego, by nadal tak było, skoro tak dobrze mi szło. Mam tyle naturalnego światła, ile potrzebuję, świeże powietrze zamiast pyłu wytwarzanego przez robotników, spokój i ciszę...

Po powiedzeniu sobie tego wszystkiego nieco się uspokajam.

Tak naprawdę nic się nie zmieniło. Chodzi tylko o jeden dodatkowy wyjazd do Cambridge, i to bez nocowania. Nie robi nam żadnej różnicy. Zdenerwowała mnie myśl, że doktor Freeman potrafi nas osiągnąć nawet w Swallowfield i zakłócić nam tutejsze życie, kiedy tylko mu przyjdzie na to ochota. Jednak już znalazłam rozwiązanie: rozmówię się z nim na począt-

ku przyszłego semestru i powiem, że ma nie kontaktować się z nami, kiedy jesteśmy w Swallowfield – nigdy. To nasze ustronie i musi się nauczyć to respektować.

Wstaję, biorę głęboki oddech i przechodzę przez ogromny otwarty salon do części kuchennej. Zaczynam być głodna, co oznacza, że Joseph pewnie też. Może wrócić w każdej chwili i domagać się lunchu, o którym jeszcze pół godziny temu nie chciał nawet słyszeć.

Aneks kuchenny jest relatywnie mały, ale to bez znaczenia, bo całe pomieszczenie jest tak przestronne. Kiedy przygotowuję jedzenie, mogę obserwować, co dzieje się na jeziorze, a zawsze jest na co popatrzeć, czy są to szybujące ptaki, czy sunące po wodzie łabędzie, czy po prostu wzory tworzone przez światło na stalowoszarej tafli jeziora. Ledwie mogę oderwać oczy od tego widoku na tyle długo, by móc siekać warzywa.

Otwieram szufladę ze sztućcami, by wyjąć ulubiony nóż. Wtedy właśnie to słyszę.

Chłopcy.

Śpiewają.

O przyjdź na świat, nasz Zbawicielu,
I okup Ojcu złóż za wielu.
Pragniemy z Tobą żyć, Panie,
Spraw to na dzień ciał zmartwychpowstanie.
Radość będzie, Odkupicielu,
Gdy przyjdiesz zbawić ludzi wielu.

O przyjdź na świat, Mądrości wieczna,
Do nieba drogę wskaż skuteczną.
Napełnij duszę mądrością,
Ubogać nas swą roztropnością.
Radość będzie, Odkupicielu,
Gdy przyjdiesz zbawić ludzi wielu.

Nie ma żadnych chłopców w zasięgu wzroku. To te same głosy, które słyszałam w Cambridge. Ten sam chór. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem.

O przyjdź, pragnienie tego świata,
Spraw, niechaj w każdym widzę brata.
W miłości nas pojednaj zdroju,
Tyś bowiem jest Królem Pokoju.
Radość będzie, Odkupicielu,
Gdy przyjdiesz zbawić ludzi wielu⁶.

Przymykam oczy. Nie ma sensu wypatrywać przez okno czegoś, czego, jak wiem, nie zobaczę.

Odkładam nóż do szuflady i ją zamykam. Wracam na kanapę. Siedzę zupełnie nieruchomo, czekając na powrót Stuarta.



Stuart zamyka za sobą drzwi salonu. Opiera się o nie.

– No dobrze – mówi. – Zniosłem mu kanapkę i coś do picia, włączyłem grę. Powinniśmy być przez jakiś czas bezpieczni.

Ma na myśli to, że Joseph będzie bezpieczniejszy w tej części domu, która nie zawiera jego szalonej matki. Ma rację. Nie pamiętam, jak Stuart robił kanapkę, a przecież musiałam być tutaj, kiedy to się działo. Widzę chleb, masło i ser leżące wciąż na blacie, upaprany nóż. Od powrotu Stuarta nie ruszyłam się z miejsca.

Nie czuję się bezpieczna. Czułam się jeszcze niedawno – tutaj, tylko tutaj w Swallowfield, nie w Cambridge – ale nie mogę sobie nawet przypomnieć tego uczucia. Chociaż mam wyobrażenie o tym, co powinnam zrobić w celu odtworzenia go, nie wierzę, że to zadziała. Trudno sobie wyobrazić, żebym jeszcze kiedykolwiek zaznała spokoju.

– Lou...

– Zanim zaczniesz... Wiem, że to nie było prawdziwe.

Stuart strzela wzrokiem z lewa na prawo. Czy szuka jakichś wskazówek? Jakiejś podpowiedzi? Nie spodziewał się, że powiem coś takiego. Myślał, że będzie musiał mnie przekonywać. Teraz, kiedy widzi, że nie, nie wie, co powiedzieć.

Mówię mu to, co on zamierzał mi powiedzieć, bo chcę, żeby zostało to wyrażone wprost: jedyna możliwa prawda.

– Justin Clay jest wiele kilometrów stąd, w Cambridge. Nawet jeśli założymy, że zdołałby się przedrzeć przez ochronę i włamać się do Swallowfield, nie ma mowy, żeby podjął taki wysiłek. Być może mnie nienawidzi, ale nie aż tak.

– Wątpię, żeby w ogóle cię nienawidził. – Stuart odsuwa się od drzwi, przysiada na brzegu kanapy. – Nienawiść to zbyt silne słowo. Raczej irytacja, o ile w ogóle zaprzęta sobie głowę twoją osobą. Z jego punktu widzenia sprawa jest zamknięta. Teraz znów zajmie się zarabianiem pieniędzy, chlaniem i jaraniem trawy. Zmiotłś go z powierzchni głośną muzyką, pokazałaś, że możesz mu dorównać, i ustąpił. Jak to on powiedział? Aluzja jasna.

– Aluzję zrozumiałem.

– Otóż to.

Kiwam głową.

– Pat Jervis miała rację. Oprócz tego jednego CD z muzyką klasyczną, które kiedyś raz puścił, zawsze była u niego tylko muzyka pop. W suterenie. Nigdy nie puszczał muzyki chóralnej, w ogóle nic nie puszczał za ścianą sypialni. Nie ma żadnych płyt z chórami chłopięcymi. To było wszystko... – Przerywam. – Miałam wrażenie, że to jest prawdziwe, tak bardzo prawdziwe, ale... nie mogło być. Teraz to widzę. Wszystko było w mojej głowie.

Stuart wygląda na zmieszanego. Prawdopodobnie zastanawia się, czy się z tym zgodzić, a jeśli tak, to kiedy. Nie może zrobić tego zbyt skwapliwie, biorąc pod uwagę, że również przyznawał się do słyszenia tych chłopięcych głosów. Wprawdzie zawsze się zastrzegał, że są bardzo ciche, że prawie ich nie słyszy. Rozumiem dlaczego. To był jego sposób na kompromis: trochę mnie popierał, ale jednocześnie starał się być w porządku wobec pana Fahrenheita, utrzymując, że nieistniejąca muzyka chóralna nie może zostać uznana za naruszenie ciszy.

Potrzebowałam czegoś wręcz odwrotnego. Powinien był mną potrząsnąć i powiedzieć: „Louise, nie gra żadna muzyka. Żadna. Wyobrażasz to sobie”. Gdyby tak zrobił, może wcześniej

bym się pozbięrała.

– Nigdy jej nie słyszałeś, prawda? Tej chóralnej muzyki.

– Nie bardzo.

– W ogóle.

Ważne, byśmy byli w tym precyzyjni. Stuart kręci głową.

– Przykro mi. Kłamałem, bo... cóż, wierzyłem ci. To znaczy na początku – zanim zaczęłaś twierdzić, że pan Fahrenheit włącza głośno muzykę, a potem ścisza dokładnie w chwili, kiedy się budzisz. Wtedy właśnie zacząłem się zastanawiać, czy nie są to jakieś paranoiczne uroje-
nia. Przedtem po prostu uznawałem, że ty możesz słyszeć te śpiewy, a ja nie. Jesteś wrażliw-
sza na hałas.

– A więc udawałeś, że słyszysz to, co ja, bo myślałeś, że mam rację, a ty nie?

– Lou, przecież to było w środku nocy! Za każdym razem, gdy mnie pytałaś! Nie chciałem się z tobą spierać, tylko jak najszybciej znów zasnąć.

Myśli, że jestem na niego zła. Jak może mu przychodzić do głowy, że właśnie o tym chcę rozmawiać: o jego nieuczciwości, rozmiarze przewiny. Nie obchodzi mnie to, że znów mnie zawiódł. Nie obchodzi mnie, czy każde słowo wychodzące z ust Stuarta jest kłamstwem: to jego problem. W tej chwili martwię się jedynie o własne zdrowie psychiczne. Jeśli jestem sza-
lona, nie mogę opiekować się synem, a tylko to ma dla mnie znaczenie: jedynie Joseph się li-
czy.

– Zastanawiałam się nad tym i wszystko układa mi się w sensowną całość – mówię. – Do-
brze się czułam w Swallowfield, zupełnie dobrze, dopóki nie powiedziałeś mi, że dzwonił
doktor Freeman. Dlatego znów usłyszałam ten chłopięcy chór. To reakcja na stres. To musi
być jakiś rodzaj dziwnej... psychosomatycznej słuchowej halucynacji.

Stuart kiwa głową.

– Od dawna tak myślę – przyznaje.

Dzięki, że byłeś zbyt tchórzliwy, by o tym wspomnieć.

– Cieszę się, że możesz to przyznać. Nie ma się czego wstydzic, Lou.

– Ja się nie wstydzę.

Ja się boję.

– Stres może powodować dziwne rzeczy. A poza tym teraz, kiedy zdajesz sobie sprawę, że
to nie było realne, pewnie i tak wkrótce ustanie.

– Nie, nie ustanie. Dopóki nie wprowadzę pewnych zmian.

Boję się, że mi nie pozwolisz. Musisz mi pozwolić.

– Najważniejszy krok już zrobiłaś – przyznając, że to iluzja. Ona nie może mieć nad tobą
żadnej władzy, skoro ją przejrzałaś.

– Czy mógłbyś przestać mnie zalewać czczymi frazesami? – warczę. – To się będzie zdarzać,
dopóki będą w moim życiu rzeczy, z którymi nie mogę żyć. Muszę je wyeliminować.

Stuart marszczy brwi.

– Nie rozumiem – mówi. – Czy nie zgodziliśmy się przed chwilą, że jeśli chodzi o pana Fah-
renheita...

– Nie chodzi o pana Fahrenheita, tylko o doktora Freemana.

– Doktora Freemana? A cóż on ma z tym wspólnego?

Wbijam wzrok w podłogę i myślę, że nie powinnam mówić tego głośno, bo to przecież
oczywiste. I cokolwiek Stuart myśli czy chce, czy dawniej myślał albo chciał, powinien chcieć

zrobić wszystko, co może sprawić, że poczuję się znów lepiej. Skoro ja widzę, że długo już tak nie wytrzymam, dlaczego on nie może?

Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

– O Boże – wzdycha Stuart. I to dość długo. Nie słyszę w tym odgłosie specjalnej troski o moje dobro. – Lou, proszę cię, nie mów tego, co zdaje się, chcesz powiedzieć.

Wrażenie klucia za oczami powróciło: na razie są to nieznaczne igiełki, ledwie zauważalne, ale grożące nadejściem czegoś gorszego.

– Chcę zabrać Josepha z Saviour – mówię. – Ze szkoły i z chóru.

– Nie. Nie ma mowy.

– To przyczyna moich halucynacji związanych z chóralną muzyką, Stuarcie.

– No tak, już mówiłaś – byłaś zestresowana z powodu pana Fahrenheita.

– Owszem, ale nie tylko. A ta muzyka, którą słyszę, choć nie jest rzeczywista, to nie zespół Queen, prawda? To nie jest utwór *Don't Stop Me Now*. To chłopcy. Chłopięcy chór śpiewający pieśni, które Joseph mógłby śpiewać w Saviour, takie, które śpiewał...

– To nie znaczy...

– A właśnie że tak! – przerywam. Wewnątrz mnie pęka tama; wylewa się rozpacz, wypełnia mnie po brzegi.

– Cóż jeszcze to może znaczyć? A jak myślisz, dlaczego dziś znów usłyszałam te chłopięce głosy, jeśli nie z powodu twoich wieści o telefonie doktora Freemana, jego planie wykradzenia Josepha na dodatkowe nabożeństwo? Przecież to cholernie oczywiste, dlaczego w moich halucynacjach wciąż powracają głosy niewidzialnych chłopców i czuję się, jakbym była torturowana – to oznacza, że nie mogę znieść nieobecności Josepha w domu! Nienawidzę tego! Jeśli go nie odzyskam, jeśli nie zabiorę go z tej szkoły, oszaleję! Tak właśnie będzie!

– Lou, czy mogłabyś wziąć się w garść? – prosi Stuart. – Wrzaski nikomu nie przyniosą nic dobrego.

Myli się. Czuję się lepiej po tym, jak mogłam wyrazić siebie bez krztyny kalkulacji, bez obawy o to, jaki efekt wywołają moje słowa.

– Jeśli nie chcesz żony, która jest wrakiem, pozwolisz mi zabrać Josepha z Saviour – mówię cicho, by udowodnić Stuartowi, że mój ton nie ma nic do rzeczy. W jakikolwiek sposób przekażę mu swoje życzenie, on go nie zaakceptuje. – Jeśli chcesz, żebym wróciła do pracy, była w stanie przyrządzać posiłki, płacić podatki i prowadzić samochód... jeśli w ogóle ci na mnie zależy, to się zgodzisz. Proszę cię, Stuart!

– To nie fair, Lou. Powiedziałaś, że Joseph może zostać w Saviour. Przyznałaś, że Joseph tam kwitnie...

– Ale ja nie kwitnę – ucinam. – Joseph potrzebuje matki, która może funkcjonować. Przynajmniej w trakcie ferii szkolnych. – Nie mogę sobie darować tej drwiny.

– A co z naszą umową? Zgodziłem się kupić dom tutaj, bo obiecałaś, że przestaniesz wyrzekać na Saviour, jeśli się na to zgodzę.

– Wiem. Przykro mi.

Bo jednak tak bardzo nienawidzisz Swallowfield, prawda, Stuarcie? To dlatego powiedziałaś, że to raj na ziemi co najmniej pięćdziesiąt razy, odkąd się tu wprowadziliśmy, i chwaliłaś mnie za to, że wypatrzyłam ogłoszenie w gazecie.

– Myślałam, że posiadanie domu tutaj załatwi sprawę – mówię. – Taką miałam nadzieję. Ale wystarczył jeden telefon od doktora Freemana i znów mam omamy słuchowe, czuję się tu

tak samo zagrożona jak w Cambridge, kiedy okropna muzyka pana Fahrenheita wprawiała w drżenie podłogę. Umawiając się z tobą, nie zdawałam sobie sprawy, że się rozpadnę, jeśli nie odzyskam swojego syna. – Gardło zaciska mi się przy tych dwóch ostatnich słowach, dławię się nimi. – To takie proste, Stuarcie. To nie jakiś kaprys, który nagle przyszedł mi do głowy. Naprawdę próbowałam. Wygłaszałam sobie różne pogadanki, przekonywałam samą siebie na różne sposoby, ale nic tym nie wskórałam. Utrata syna na rzecz doktora Freemana mnie niszczy. Muszę go odebrać.

Widząc, że Stuart zamierza zaprotestować, podnoszę rękę, by go uciszyć.

– Wiem, że Saviour to wspaniała szansa na przyszłość, i naprawdę mi przykro, że muszę ją Josephowi odebrać, ale są jeszcze inne szkoły – działające w trybie dziennym, równie dobre. Są także inne chóry. Przecież to Cambridge, na litość boską! Może wstąpić do chóru w Jesus College – co w tym złego? Jesus College, Cambridge – będzie wspaniale.

– Pytasz mnie czy tylko informujesz? Mam wrażenie, że decyzję już podjęłaś. Nieważne, co ja myślę.

– W tej chwili ważne jest tylko to, czy chcesz żonę, która jest bredzącą wariatką – odpowiadam, porażona jego brakiem empatii. – Czy Joseph chce mieć matkę, która jest na skraju samobójstwa.

– Och, nie bądź taka melodramatyczna! Są inne sposoby, które mogą... poprawić ci samopoczucie bez rujnowania naszemu synowi potencjalnie wspaniałej muzycznej kariery. Na przykład terapia, antydepresanty, omawianie spraw ze mną.

Omam nie wybucham histerycznym śmiechem, ale jakoś się opanowuję.

– A może byśmy tak jeszcze trochę poczekali i zobaczyli, czy poczujesz się lepiej... powiedzmy do Wielkanocy albo do lata? – sugeruje Stuart. – Joseph był w Saviour zaledwie przez jeden semestr! To tyle co nic.

Słyszę jakiś szmer w korytarzu: coś tam się poruszyło. Stuart i ja patrzymy na siebie. On też to usłyszał. Albo udaje, bo kłamać jest łatwiej.

– Joseph? – pytam. – Jesteś tam?

Drzwi się otwierają. Mój piękny syn wchodzi. Płakał. Mam nadzieję, że Stuart czuje się tak samo winny jak ja.

– Tato, nie zależy mi na Saviour – mówi drżącym głosem. – Mogę chodzić do jakiejś innej szkoły. Będzie dobrze. Byleby mama nie była już smutna.

Stuart obraca się ku mnie.

– Dobra robota – rzuca ze złością. – Prosiłem, żebyś mówiła ciszej.

Nie obchodzi mnie, o co prosisz, co myślisz ani co robisz. I najwyraźniej twój syn też ma to w nosie.

Rozpościeram ramiona, a Joseph biegnie ku mnie.

Po raz pierwszy, odkąd przenieśliśmy się do Swallowfield, pływam w spa w czasie przeznaczonym wyłącznie dla dorosłych, który przypada między siódmą a dziesiątą rano. Oprócz mnie jest tu tylko jedna kobieta. Mamy wielki podgrzewany basen na wolnym powietrzu wyłącznie dla siebie. Jest otoczony tarasami wykonanymi z drewna i kamienia. Tu i owdzie stoją rzeźby, a z czterech stron ograniczają basen zielone żywopłoty, wysokie i gęste. Ludzie cenią tu bardzo prywatność. Po rozmowie z kilkoma właścicielami domów odniosłam wrażenie, że najchętniej zatrzymaliby dwieście hektarów Swallowfield wyłącznie dla siebie. Wygląda na to, że niechętnie dzielą się tym terenem z innymi.

Zastanawiam się, czy kobieta pływająca ze mną ma podobne odczucia. Czy gotuje się ze złości, bo przyszłam tu zakłócić jej samotność. Najwyraźniej jest prawdziwą sportsmenką: w obcisłym czepku, z plastikowym klipsem na nosie i superszybkimi nawrotami na krańcach basenu, gdy ja pokonuję jedną długość w mniej więcej dziesięć minut – pływając przeważnie leniwą żabką, a nie wyścigowym kraulem, jak ona – a również sporo czasu dryfując w wodzie bez celu. Lubię obserwować króliki krzątające się w trawie obok basenu. Uwielbiam unosić się na plecach i gapić w chmury oraz gałęzie najwyższych drzew nad głową, podczas gdy moja twarz i górna część ciała chłodzą się w zimowym powietrzu. Ponowne zanurzenie się w ciepłej wodzie jest boskie. Gdy przyszłam na basen po raz pierwszy, właśnie padało. Przepłynęłam kilka długości, czując kontrast pomiędzy zimnem kropli rozpryskujących się na twarzy a płynnym ciepłem, w którym było pogrążone moje ciało – niesamowite wrażenie.

Sądziłam, że wyzwolenie od hałasu okaże się najlepszą stroną Swallowfield, ale się myliłam. Chodzi raczej o czyste, niewymowne piękno tego miejsca; żadne inne walory nie mogą z nim konkurować. Gdziekolwiek się zwrócę, gdziekolwiek spojrzę, zakochuję się w tym, co widzę. Girlandy bożonarodzeniowych światełek na stromym dachu budynku spa niby lamówka z błyszczącego srebrzystego szronu, fontanny tryskające w rogach basenu; różne odcienie zieleni nieco dalej; nagie gałęzie drzew i żywopłotów odbite w tafli wody; duże otwarte przestrzenie. Moje otoczenie fascynuje mnie tak, jak jeszcze nigdzie nie bywało. W Cambridge jest mnóstwo okazałych budynków, które podziwiałam i nadal podziwiam, ale ich widok nigdy nie sprawiał, że w moim sercu wzbierało bolesne pragnienie zlania się z nimi w jedno. W Swallowfield co najmniej cztery razy dziennie myślę: Nie mogę przyjmować za oczywistość, że mam coś takiego w życiu.

Przykro mi to przyznać, ale jest rozkosznie, niemal hipnotycznie spokojnie w spa, gdy nie ma tu dzieci. Nie przyszłabym w czasie przeznaczonym wyłącznie dla dorosłych, gdybym miała wybór, zaczekałabym na sesję, na którą mogę zabrać Josepha, ale Stuart powiedział rano, że chciałby spędzić dziś z nim trochę czasu sam na sam. Nigdy o coś takiego nie prosił, a ja zgodziłam się bez pytania o przyczynę. Może on też tęskni za Josephem, bardziej niż chce się do tego przyznać. A może chce wytłumaczyć naszemu synowi, że zależy mu na moim szczęściu pomimo wrażenia, jakie mógł wyrzeć wczoraj.

O dziwo, nie martwię się, że mogłam zostać odsunięta na bok, aby Stuart mógł przekonać

Joseph, że jego przeznaczeniem jest zostać chórzystą Saviour College. Wciąż zadaję sobie pytanie, czy to stanowi realne zagrożenie, którym powinnam się przejmować, i dochodzę do wniosku, że nie. Zdecydowanie nie. Od wczoraj coś się zmieniło. Wieczorem Stuart był zatroskany i zamknięty w sobie, a rano o wiele radośniejszy. Wstał przede mną, podśpiewywał sobie, ładując zmywarę. Specjalnie przyszedł, by mnie pocałować, i przeprosił za to, co musiałam przez niego przejść.

– Powiniennem być zwracać większą uwagę na to, jak się czujesz – powiedział. – O wiele większą.

– Tak, powinieneś – przyznałam. A chcąc wykorzystać jego dobry nastrój, dodałam: – Zróbmy tak: jeśli zaczniesz to robić od teraz, wszystko ci wybaczę.

Pokiwał głową, jakby zrozumiał, co miałam na myśli, i nie podważał mojej sugestii, że jest wiele do wybaczenia. Dalej już nie mogliśmy rozmawiać, bo Joseph zszedł właśnie na dół, ale jestem w optymistycznym nastroju.

Pokonuję ostatnią długość i wynurzam się z wody. Odległość między brzegiem basenu a drzwiami da się pokonać, biegiem i w drżączce, dzięki temu, że jest tak mała, i ponieważ przez szybę widać saunę i łaźnię parową. Spędzam po pięć minut w każdej, zanurzając się na trzy sekundy w wewnętrznym basenie pomiędzy jedną a drugą. Potem kieruję się do damskiej przebieralni, by wziąć prysznic i ubrać się. Znowu przypominam sobie Stuarta ładującego zmywarę i uznaję, że chcę coś zaśpiewać – przecież ludzie śpiewają pod prysznicem, prawda? – ale nie wiem co. Na pewno nic takiego, co mógłby wykonać chór. Albo zespół Queen. W końcu decyduję się na piosenkę, którą kiedyś bardzo lubiłam, taką, która nie przychodziła mi do głowy od czasu, gdy miałam trzynaście lat: *Never Surrender* w wykonaniu Corey Hart. Jak już ją wybrałam, odkrywam, że nie jestem w stanie jej zaśpiewać, czuję się zbyt skrępowana. Kto się tak certoli z wyborem piosenki pod prysznic? Przecież nie pracuję w modnym klubie nocnym, nie jestem didżejką, której wybór naprawdę się liczy. Powinnam po prostu otworzyć usta i pozwolić, by wyszła z nich jakaś stara piosenka.

Suszę włosy, smaruję twarz kremem nawilżającym z witaminą E z Body Shopu i wracam nad Jezioro Lukrowe, myśląc o tym, że w przyszłości, kiedy pójde pływać, zafunduję sobie za funta ręcznik ze spa. Zawsze zazdroszczę ludziom, którzy wychodząc, rzucają białe ręczniki z godłem Swallowfield do drewnianego kosza w przebieralni. Nieprzyjemnie jest taszczyć torbę z mokrym ręcznikiem do domu po każdym pływaniu, a potem jeszcze go prać. A torba jest wciąż jeszcze wilgotna nazajutrz, kiedy chcę włożyć do niej czysty, suchy ręcznik i kostium.

Zatrzymuję się przed Granicą. Na miejscu parkingowym dla gości stoi samochód, którego nie powinno tam być. Nikogo się nie spodziewam. Kto z moich znajomych jeździ niebieskim bmw?

Stuart otwiera na oścież drzwi frontowe i zaprasza mnie do środka. Robię zdziwiony gest rękami i bezgłośnie pytam: „kto to?”. On odpowiada w ten sam sposób, ale nie potrafię tego odczytać, po czym znika w środku. Wzdycham, idąc ścieżką w stronę domu. To jedyny sposób, by się dowiedzieć. Ktokolwiek to jest, Stuart jest zadowolony z wizyty, więc to nie może być żaden z naszych krewnych. Może to Bethan z biura sprzedaży z jakimiś łakociami, które zostały z czyjejś prezentacji objazdowej. Wpadła przedwczoraj z jakimiś czekoladkami dla Joseph, których inne dzieci nie chciały, głuptasy. Bethan lubi Joseph; za każdym razem gdy ją widzę, mówi mi, jaki to on mądry, czarujący albo ładny. Denerwuje mnie, że nazywa go Joe, ale trudno mi protestować pod gradem jej komplementów.

Z torbą sportową przerzuconą przez ramię wchodzę do salonu, chcąc jak najszybciej zobaczyć, komu Stuart z takim entuzjazmem opowiada o miejscowym systemie przechowywania kluczy, którym zawiadują bardzo sprawnie Michelle i Sue. Za niewielką dopłatą do standardowych usług chętnie posiedzą w twoim domu, jeśli tego potrzebujesz, bo spodziewasz się odbioru jakiejś kanapy albo obrazu, a nie możesz zrobić tego osobiście.

Na początku nie widzę, kim jest nasz gość, bo zasłania go Stuart. Kiedy się przesuwa, dostrzegam kolaż rysów i kończyn, które nie pasują do tego domu, ale przede wszystkim rzuca mi się w oczy wypielegnowana broda przypominająca dywan. Wokół roześmianych ust.

Zachłystuję się powietrzem i kurczę w sobie. To doktor Freeman. Ivan Freeman z Saviour College. Albo zjawa, która wygląda dokładnie tak samo. Siedzi na mojej kanapie, trzyma kubek, z którego unosi się para.

Nie, nie, jego nie może tu być. Nie wolno mu. Jak mogło do tego dojść?

– Cześć, Louise – mówi. – Co za fantastyczny dom! I wspaniała lokalizacja. Właśnie powiedziałem Stuartowi, że trudno byłoby znaleźć Swallowfield bez dokładnych wskazówek – jest świetnie ukryte.

Dokładnych wskazówek. Od Stuarta. Zdrajca. Drań.

– Gdzie Joseph? – pytam.

Wyobrażam sobie swojego syna uwięzionego w bagażniku samochodu doktora Freemana, samą siebie wrzeszczącą i usiłującą go otworzyć, bo jak mi się nie uda, Joseph się udusi. Mam zaledwie kilka sekund na uratowanie go...

– Jest na górze, gra sobie w coś – odpowiada Stuart. – Lou, zapewniam cię, to nie jest to, na co wygląda. Nie zaprosiłem doktora Freemana po to, by wespół z nim przymuszać cię do zaakceptowania sytuacji, której nie znosisz. Naprawdę.

Stuart. Mój pierwszy mąż.

– Proszę wyjść – mówię do doktora Freemana.

Nie chcę być nieuprzejma, ale to jedyne słowa, jakie przychodzą mi do głowy. Szukam usilnie innych.

– Joseph opuszcza szkołę i chór, więc nie ma powodu, by pan tu był.

– Lou!

– Przykro mi, jeśli jeden z was czy obaj jesteście zszokowani – zwracam się do nich jako do zespołu, nie czując bliskości z żadnym z nich. – Ja z kolei jestem wstrząśnięta tym, że zaaranżowaliście to... spotkanie bez konsultacji ze mną. Gdyby spytano mnie o zgodę, odmówiłabym. Nie chcę, by pan tu był, doktorze Freeman. Teraz proszę wyjść.

– Dobrze cię rozumiem, Louise. Mówiłem Stuartowi, że raczej nie powinien cię tak zaskakiwać.

Kiwa głową, ale nie wstaje, by wyjść.

– Stuarta nie obchodzą moje odczucia. Dlatego nie skorzystał z pańskiej rady.

– Lou, to wcale nie jest prawda!

– Louise, posłuchaj – mówi doktor Freeman. – Nie chcę narzucać swojej obecności, skoro nie jestem tu mile widziany, ale chyba znalazłem rozwiązanie problemu, które może nam wszystkim odpowiadać. Czy mógłbym ci je przedstawić, zanim wyjdę? Jeśli moja propozycja ci się nie spodoba, powiesz mi to, a ja natychmiast zniknę ci z oczu. Jednak... przejechałem cały ten kawał drogi nie po to, by spiskować ze Stuartem przeciwko tobie, wierz lub nie, ale by zaproponować ci warunki, które, jak sędzę, mogą ci bardzo odpowiadać. To propozycja,

jakiej jeszcze nigdy nie złożyłem żadnej rodzinie z Saviour.

– Nie jesteście żadną rodziną z Saviour – mówię. – To moja rodzina. Nie pańska.

– Lou, na litość boską. – Stuart kładzie mi dłoń na ramieniu. Strącam ją.

– W porządku, jasna sprawa – odpowiada doktor Freeman. – To była tylko taka figura retoryczna. Pozwól, że sformułuję to inaczej – propozycja, jakiej żaden jeszcze dyrygent z Saviour nie przedstawił rodzinie żadnego chórzysty. Jest bezprecedensowa.

Jego słowa dryfują w moim umyśle, wymykając się, gdy próbuję je pochwycić.

Propozycja. Bezprecedensowa.

– Lou? – nastaje Stuart. – Czy słyszałaś, co powiedział doktor Freeman?

Słyszałam wstęp, który brzmi zachęcająco, ale może to tylko podstęp. Trudne do odrzucenia wprowadzenie wymyślone, bym uwierzyła, że czeka mnie coś wspaniałego i w związku z tym uznam to, co się zdarzy, za dokładnie takie, bo zostanę odpowiednio urobiona. Poddana praniu mózgu.

Nie mogę uwierzyć, że to nie jakiś trik.

– Jest tylko jedna rzecz, którą chcę usłyszeć z pańskich ust – mówię doktorowi Freemanowi. – Jeśli Joseph może zostać w Saviour, być chórzystą i mieszkać w domu – wspaniale. Za inne propozycje z góry dziękuję.

– Mam na myśli coś pomiędzy mieszkaniem przez cały czas w internacie a statusem ucznia przychodzącego wyłącznie na zajęcia szkolne. Rozmawiałem z dyrektorem i obydwoma kapelanami, odchodzącym i przychodzącym. – Doktor Freeman robi pauzę, by móc przez chwilę napawać się swoim sprytem. – Chcielibyśmy pozwolić Josephowi w trakcie trwania semestru spędzać każdy piątkowy i sobotni wieczór w domu, jeśli nie miałabyś nic przeciwko przywołaniu go na siódmą trzydzieści w każdy niedzielny poranek. Tak więc co tydzień mógłby spędzać więcej czasu z tobą w domu, od czwartej po południu w piątek do niedzieli rano. Co ty na to?

– Lou, to wspaniała propozycja – podkreśla Stuart. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabyś odmówić. Aż dwie noce w tygodniu w domu...

– A pięć w szkole – mówię.

Doktor Freeman nadal miałby mojego syna dłużej niż ja. Wewnątrz mnie wielki szary gładzoczy się w dół po spiralnym torze, przejeżdża przez moje płuca i kiszki, miażdży je na płasko. Nie mogę oddychać, nie mogę myśleć.

– Louise, chciałbym, żebyś zrozumiała, jak bardzo uzdolniony jest Joseph – mówi doktor Freeman. – Nie wykazałbym tak dużej elastyczności wobec żadnego z chłopców śpiewających obecnie w chórze. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem tak obiecującego nowicjusza. Jego utrata byłaby strasliwym ciosem.

– Owszem – mruczę. – Mam podobne odczucia.

– Lou? – zaczyna Stuart z nadzieją. – Daj spokój, na taką propozycję na pewno trzeba się zgodzić, prawda?

Chce, by zdecydować o tym teraz, przyklepać sprawę, póki doktor Freeman jest jeszcze w pokoju. Dobra, zaraz mu przyklepię.

– Nie. Są inne dobre szkoły, inne dobre chóry. Jeśli Joseph jest tak utalentowany, jak pan twierdzi, to zapewne może zrobić błyskotliwą karierę muzyczną bez pomocy chóru z Saviour.

Doktor Freeman zmienia niekontrolowany grymas w cierpliwy uśmiech.

– Oczywiście. Ale...

– Przepraszam, muszę wyjść – wpadam mu w słowo.

Skoro on nie chce wyjść, ja to zrobię.

– Dokąd idziesz? – pyta Stuart.

– Popływać.

– Ale przecież właśnie wróciłaś z basenu!

– Postanowiłam zamieszkać w spa – odpowiadam, opuszczając pokój. Mówię dalej do siebie, gdy wychodzę z domu na zimne powietrze: – Pięć nocy w tygodniu. Pozostałe dwie będę mieszkać w domu. Jeśli ty będziesz gdzieś indziej.

Drapię samochód doktora Freemana paznokciami, gdy mijam go w pędzie, kalecząc jedynie siebie.



Biegnę i biegnę. Przez pola, byle dalej od Granicy, nie wiadomo dokąd. Wszystko mi jedno, gdzie dotrę, byle być daleko od Stuarta i doktora Freemana. Ciskam torbę z rzeczami na basen w gąszcz brązowych trzciny nad brzegiem Jeziora Lukrowego, bo mam dość dźwigania. Śmieci. Niedozwolone w Swallowfield, ale to nie jest zwykła sytuacja. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek się w takiej znajdę. Tylko tego pragnę: normalności, żeby już więcej się nie bać.

Biegnę najszybciej, jak potrafię, jakby ścigał mnie morderca. Czy Stuart wyszedł mnie szukać? Jeśli tak, to znaczy, że zostawił Josepha w domu samego albo z doktorem Freemanem. Jedno i drugie jest nie do pomyślenia. Powinnam wrócić, sprawdzić, czy z moim synem wszystko w porządku.

Powinnam wrócić.

Nie mogę.

Zaczęło trochę padać, krople deszczu mieszają się z potem spływającym z mojej twarzy. Zatrzymuję się na sekundę, bo brak mi tchu, na kamiennym mostku, który wiedzie do Szpakowego Zagajnika. Pamiętam, jak Bethan powiedziała w trakcie naszego objazdu: „...gęstwina drzew, same wiecznie zielone. Tutejsi mieszkańcy są zachwyceni tym, że mają prywatny las”. Tam właśnie powinnam się udać: gęstwina oznacza wiele miejsc, w których można się ukryć, a w końcu ktoś zacznie mnie szukać, jeśli jeszcze nie zaczęło.

Znów biegnę, tym razem ścieżką prowadzącą do dwunastu drewnianych chat, które pobudowano tu pierwsze: pierwsza faza Swallowfield, zanim architekci wpadli na pomysł, by używać głównie szkła. Zresztą w Szpakowym Zagajniku to i tak by nie miało sensu; z tego, co pamiętam z objazdu, tutejsze domy są otoczone przez wysokie drzewa, więc i tak nie dociera do nich zbyt wiele naturalnego światła.

Na ścieżce czuję się zbyt widoczna – każdy mógłby mnie zobaczyć – więc kieruję się przez trawę w gęstwinę. Biegnij, biegnij. Nie chcę widzieć nic prócz lasu: nie ma wyjścia. Kiedy już otaczają mnie ze wszystkich stron korzenie drzew, kora i ziemia, czuję się bezpieczniej, na tyle bezpiecznie, by zatrzymać się na porządny odpoczynek. Słyszę krople deszczu bębniące w listowie nad moją głową, ale do mnie nie dochodzą. Może dotarłam do samego środka lasu, gdzie korony drzew są najbardziej gęste. Osuwam się w dół, zamierzając usiąść, ale moje ciało się poddaje i padam na czworaki, jak zwierzę. Gdziekolwiek spojrzę, widzę to samo: pnie drzew, nierówny labirynt z pni z wąskimi, wyściełanymi liśćmi ścieżkami z bitej ziemi pomię-

dzy. Próbuje poruszyć kolanami i wydaję mlaskający odgłos; utkwiałam w błocie jak samochód, który nie może ruszyć z miejsca, nawet jeśli jego koła obracają się bardzo szybko.

To nieważne. I tak nie chcę nigdzie iść. Czuję się tu bezpieczniej, niż czułabym się we własnym domu – w każdym z moich domów. Chcę wykopać jamę i zagrzebać się w niej, zatopić się i nigdy nie wynurzyć na powietrze. Padam na brzuch, leżę na płask na ziemi, z policzkiem przyciśniętym do grząskiego błota. Jest to dziwnie satysfakcjonujące uczucie. Spa Swallowfield powinno rozważyć, czy nie zamieścić w ofercie takiej kuracji poza obiektem: Błotne Doświadczenie na Wolnym Powietrzu.

Ta myśl mnie szokuje: coś takiego mogło mi przyjść do głowy przedtem. Przed czym? Dźwigam się do pozycji siedzącej, ocieram rękawem bluzki błoto z policzka. Co się właśnie wydarzyło? Może nic. Może coś, co większość ludzi – tych przy zdrowych zmysłach – uznałaby za błahostkę. Fizyczny dowód w postaci drżącego ciała świadczy jedynie o tym, że jestem bardzo zdenerwowana.

Stuart i doktor Freeman uknuli za moimi plecami plan. Plan, którego nigdy nie mogłabym zaakceptować, ale oni chyba nie zdawali sobie z tego sprawy. Może obydwaj rzeczywiście myśleli, że będę zachwycona tą propozycją.

Stuart zaprosił doktora Freemana do naszego domu w Swallowfield bez konsultacji ze mną, bez uprzedzenia. Czy to rozsądne oczekiwać od niego, by wiedział, że moje bezpieczne schronienie zostanie zniszczone w chwili, gdy ktoś z Saviour przekroczy jego próg? Prawdopodobnie nie. Nigdy nie powiedziałam mu wyraźnie, jak ważne jest dla mnie to, by oddzielić kompletnie nasze życie w Cambridge od tego w Swallowfield.

Mogłabym wybaczyć te dwa wykroczenia, ale nie trzecie. „Lou? Daj spokój, na taką propozycję na pewno trzeba się zgodzić, prawda?”. Zawsze będę słyszała w głowie, jak wypowiada te słowa.

Czuję, że zaczynam płakać, i nie widzę powodu, dla którego miałabym się starać powstrzymać łzy. Szlocham rozdzierająco i długo, a wtóruje mi deszcz bębniący kroplami o mój dach z listowia. Trudno o bardziej odpowiednie tło. Gdybym płakała tak w niebie, moje łzy wydawałyby dokładnie taki dźwięk, jaki słyszę.

Jak Stuart śmiał przymuszać mnie do podjęcia tak ważnej decyzji w obecności mężczyzny, któremu, jak dobrze wie, zupełnie nie ufam. Jak mogę jeszcze kiedykolwiek poczuć do niego miłość, z takim wspomnieniem?

Nie wiem, ile czasu mija, zanim zdaję sobie sprawę, że nie czuję nic prócz bolesnego mrowienia w nogach. Pieczenie i igiełki – zbyt długo tkwiłam w jednej pozycji. Wstaję i kuśtykam w miejscu, dopóki nieprzyjemne odrętwienie nie mija, i mogę znów normalnie chodzić. Muszę wydostać się z tego lasu i wrócić do syna, skoro już jestem w stanie pozbierać myśli, czuję swoje nogi i złość do męża.

Znów jestem sobą, a nie dzikim zwierzęciem. Jeśli doktor Freeman nadal przebywa w Granicy, potrafię lepiej sobie z nim poradzić; przynajmniej to nie będzie niespodzianka, jak za pierwszym razem. Wyeksmituję go, choćby z pomocą ochroniarzy ze Swallowfield, jeśli zajdzie taka potrzeba. A potem przedstawię Stuartowi ultimatum: albo się zgodzi zabrać Josepha z Saviour – całkiem, bez zastrzeżeń – albo koniec z naszym małżeństwem.

Niemal mam nadzieję, że odmówi, bo wówczas będę mogła doświadczyć przyływu adrenaliny, wykluczając go ze swego życia. Jednak jeśli zgodzi się na wszystko, czego chcę, będę zadowolona w mniej instynktowny, a bardziej racjonalny sposób. Odzyskam syna na zasadzie,

która pozwoli mu zachować ojca. Bez wątpienia moja niechęć do Stuarta z czasem zmaleje, jak bolesna opuchlizna.

Potrafię dostrzec obie strony. To bardziej niż wszystko upewnia mnie, że jestem już gotowa spróbować odszukać drogę do domu. Nie wiem, jak wytłumaczę, dlaczego jestem tak ubłocona; zajmę się tym później. Teraz najważniejsza sprawa to wydostać się z lasu. Aż dziw bierze mnie na myśl, że jeszcze piętnaście czy dwadzieścia minut temu chciałam zanurzyć się w nim tak, by nie widzieć jego krańców. To pragnienie wciąż we mnie pełga, gdzieś w głębi, ale głos mówiący, że nie mogę się mu poddawać, jest silniejszy. Jak się ma dziecko, nie można pozwolić sobie na to, by się zatracić na zawsze.

Jeśli nie wrócę do Granicy, Joseph będzie mógł polegać wyłącznie na Stuarcie. Ta perspektywa mnie przeraża.

Zaczynam iść między drzewami, wybierając kierunek na chybił trafił. Nie zamierzam panikować. Mam przecież ze sobą telefon, w kieszeni. Jeśli na poważnie się zgubię, będę mogła zadzwonić do Stuarta i...

Telefon. Wygrzebuję go z kieszeni zabłoconymi palcami, wydjmuję z etui, chcąc szybko sprawdzić, czy jest dla mnie jakaś wiadomość.

Mąż przysłał mi esemesa. Dziesięć minut temu. „Pozbyłem się dra Freemana. Możesz bezpiecznie wracać, o ile chcesz porozmawiać o tym jak dorosła? Z Josephem wszystko w porządku – nadal zajęty grą na górze, szczęśliwie niczego nieświadomy, S.”.

Odkąd znam Stuarta, nigdy nie napisał w esemesie ani mejlu, że mnie całuje – ani razu.

Brnę przez błoto, aż wreszcie widzę w oddali coś, co nie jest drzewami: równoboczną drewnianą chatę stojącą samotnie na małej trawiastej wysepce tuż przy brzegu zbiornika wodnego, który jest chyba zbyt mały, by zasłużyć na miano jeziora, choć sama nie wiem, jak inaczej go nazwać. Jest długi i wąski, niewiele szerszy niż wysepka, która z niego wystaje. W dodatku woda porusza się wartko, więc może to strumień?

Dom jest niewątpliwie zaprojektowany przez architekta pracującego dla Swallowfield i zastanawiam się, dlaczego nie zauważyłam go wcześniej, kiedy Bethan mnie obwoziła. Sądziłam, że pokazała mi wszystko, ale przecież to niemożliwe, bym nie zauważyła drewnianego domku na osobnej wysepce. Automatycznie próbuję go umiejscowić w hierarchii domów ze Swallowfield: systemie, o którym nie wspomina nigdy żaden z mieszkańców, ale wszyscy dobrze wiemy o jego istnieniu. Kostka (pewnie tak się właśnie nazywa, chyba że ktoś przeoczył tę oczywistość) jest mniejsza od pozostałych tutejszych posiadłości. Zresztą szklane domy są postrzegane jako cenniejsze od drewnianych, ale z kolei prywatna wyspa musi znacznie podnosić status nieruchomości. Może właśnie dlatego Kostka nie jest pokazywana w trakcie objazdu z przedstawicielką biura sprzedaży – jeśli tylko jeden dom ma taką wyjątkową rangę i jest już sprzedany, po co przejeżdżać obok niego z innymi potencjalnymi kupcami, pozieleńcami z zazdrości?

Gdy podchodzę bliżej, widzę, że wyspę i skraj murawy dochodzącej do wody łączy podniesiony pomost. Poza tym coś słyszę. Muzykę. Z otwartego okna. Dobrze. To musi oznaczać, że ktoś jest w środku. Mam nadzieję, że zdoła skierować mnie z powrotem do Jeziora Lukrowego i nie złoży na mnie skargi z powodu ohydnej zbrodni, jaką stanowi wtargnięcie na cudzy teren i naruszenie prywatności. Czy właściciel domu jest także posiadaczem wyspy? To również czyniłoby różnicę w hierarchizacji. Zanim Stuart i ja kupiliśmy Granicę, przysłano nam plany, na których czerwoną linią obwiedziono dokładnie tę część Swallowfield, która miała należeć

do nas: sam dom oraz około dwudziestu metrów kwadratowych pomiędzy nim a Jeziorem Lukrowym.

W miarę zbliżania się muzyka wydaje się coraz bardziej znajoma, jednak wiatr unosi nuty, nim zdołam zidentyfikować piosenkę. W domu palą się światła. Kobieta w oknie. Czy to... Bethan?

Tak. To ona. Krząta się za oknem, zapewne kuchennym, wygląda na to, że przekłada jakieś rzeczy. Albo jest to nowy dom przeznaczony na pokaz, a ona go do tego przygotowuje, albo sama ma dom w Swallowfield.

Pędzę ku niej, machając, by zwrócić na siebie uwagę, po czym przystaję, kiedy słyszę melodię, od której zapiera mi dech, oraz słowa, które zdają się świetnie opisywać mojego sąsiada z Cambridge.

Pana Fahrenheita.

Don't Stop Me Now zespołu Queen.

Nie. Nie tutaj. To niemożliwe.

Ale czemu nie? Skoro był na tyle pomysłowy, by znaleźć sposób na puszczenie muzyki na ulicy, tak by nikt oprócz mnie jej nie słyszał, potrafi zrobić wszystko.

Stoję jak wryta, nie mogę się ruszyć, sztywne, jakbym połknęła kij. Bethan oczywiście wszystkiemu zaprzeczy.

– Louise? Czy to ty? – Otwiera szerzej okno i wychyla się z niego. – Czeka, tylko ściszę radio.

Daje nura do wnętrza. Muzyczny manifest pana Fahrenheita cichnie. Kiedy znów się pojawia, pytam:

– Ile ci płaci?

– Słucham?

– Ile ci płaci Justin Clay?

– Kto? Przepraszam, nie wiem, o co ci chodzi?

Bethan się uśmiecha. Zapewne wybrał ją z powodu tej niewinnej twarzy. Jeśli ona rzeczywiście nie rozumie, co mam na myśli, to dlaczego nie wygląda na zdziwioną, tylko tak beznamiętnie przyjazną i pełną dobrych chęci? Dlaczego nie zadaje mi więcej pytań?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz tu dom? – pytam.

Wygląda na zmieszaną.

– Chcesz wpaść na kawę, pogadać?

– Nie. Chcę wiedzieć, co ty i Justin Clay planujecie. Zakładam, że chodzi o doprowadzenie mnie do obłądu w Swallowfield, tak jak to zrobił w Cambridge? Skąd go znasz? Od jak dawna? Cokolwiek ci o mnie naopowiadał, to nieprawda. Nie zasługuję na to.

– Louise, nie wiem, o czym mówisz.

– Nie wiem, ile ci płaci, ale ja dam więcej! – krzyczę.

– Zdaje się, że jesteś bardzo zdenerwowana. Może byś...

– Może się odpiardol! – wrzeszczę do niej, bo nie zniosę już więcej słuchania tych kłamstw. Odwracam się i biegnę z powrotem tam, skąd przybyłam, pomiędzy drzewa, w ciemność.



Słyszę ich głosy, gdy znów wkraczam do lasu. Wiem, kim są, nie znając ich imion. One nie

mają znaczenia; poznam je, gdy będę tego potrzebowała. Nie martwi mnie, że mogę się zgubić, chociaż drzewa uformowały wokół mnie krąg i sprawiają wrażenie, jakby nie chciały mnie przepuścić. Wiem, że głosy poprowadzą mnie do domu.

Tam właśnie je znajdę: w Granicy.

Idę wolno. Nie ma po co biec. Gdybym biegła, mogłabym je wystraszyć. Muszę zjawić się w domu we właściwym momencie – nie za wcześnie. Pieśń dopiero przed chwilą się rozpoczęła. Słyszę ją słabo, w oddali, przyciąga mnie jak magnes. Podążam za melodią.

Jedna stopa, druga stopa. Jedna nuta, kolejna nuta. Chłopięce głosy prowadzą mnie do domu, mówią mi, któredy mam iść. Bethan i pan Fahrenheit: nie ma już znaczenia, co oni wyprawiają. Liczy się tylko chór: tylko tych głosów muszę słuchać, tylko ich.

Im bardziej się zbliżam, tym stają się głośniejsze. Znów jestem przy wejściu do Szpakowego Zagajnika. To nie do pomyślenia, że doktor Freeman był dzisiaj w Swallowfield. Był tutaj na zasadzie, na której jest Stuart: nie widząc, nie rozumiejąc – obecność będąca rodzajem nieobecności. Nie byli w tym samym miejscu co ja albo chór.

Jeszcze tego nie pojmuję, ale zrozumieć. Chłopięce głosy wyśpiewują mi obietnicę, że wkrótce odgadnę sens wszystkiego. Muszę tylko nadal ich słuchać.

O, przyjdź na świat, nasz Zbawicielu,
I okup Ojcu złóż za wielu.
Pragniemy z Tobą żyć, Panie,
Spraw to na dzień zmartwychpowstanie.

Mijam batut i kort tenisowy. Swallowfield jest nadal całkowicie pogrążone w ciszy, słychać tylko chór. Chmury nad moją głową stoją w miejscu, wcale się nie przesuwają. Nie zauważam drżenia liści, powiew wiatru nie marszczy traw. Mój oddech jest jedynym oddechem, ale nie porusza klatką piersiową. Jest tak, jakbym przemieszczała się przez trójwymiarową makietę sporządzoną przez architekta krajobrazu, rozłożoną na dwustuhektarowym stole. Mogłabym być plastikową figurką, którą ktoś wyjął z pudełka, rozpakował i ustawił na planszy do gry – w tej chwili. Stanę się rzeczywista, kiedy zostanie mi ukazana prawda.

Nadchodzę. Muszę dotrzeć do domu, zanim pieśń się skończy, ale nie wiem, ile jeszcze zostało do końca. Gdy zbliżam się do Jeziora Lukrowego, czuję się szybciej przyciągana. To jest jak ssanie. Nie wiem już nawet na pewno, czy jeszcze idę. Dryfuję, posuwam się ślizgiem, podczas gdy nieruchome obłoki spoglądają na mnie z góry. Wszyscy znają tę tajemnicę: chmury, żywopłoty, pola, pomosty, drewniane domki dla ptaków. Krajobraz wie, Swallowfield wie.

Oto miejsce, w którym stał samochód doktora Freemana. Dobrze. Już nie muszę więcej o nim myśleć. Muszę zrobić w swoim umyśle przestrzeń na to, czego mam zaraz się dowiedzieć. Wszystkie pozostałe myśli padają na ziemię: jesienne liście. Naturalnie. Nie ma się czego bać, dopóki nie odwrócę wzroku. Dopóki pozwolę sobie zobaczyć.

Drzwi wejściowe Granicy są otwarte. Stuart stoi mi na drodze. Żal mi go, bo musi powiedzieć wiele rzeczy, których nie usłyszę. Właśnie zaczął. Bez jasnych wskazówek, nie ma jak się połapać, że to bez sensu, a ja nie mogę mu ich udzielić. Nie mogę mu wytłumaczyć, bo jestem zbyt zajęta słuchaniem: prowadzona, nie przewodniczka, jeszcze nie. Przepycham się obok niego, zbliżam do podnóża schodów. Zatrzymuję się. Głosy są tu naprawdę głośne.

Na górę: tam właśnie muszę iść. Do głównej sypialni. Mojej sypialni. To jest właśnie tam. Wspinam się, powoli. „Nie idź za mną”, mówię. Jestem wyznawczyni. Jestem wybranką. On zostaje w tyle. Nie mogę zabrać go ze sobą. „Zajmij się Josephem. Zatrzymaj go na dole”.

Ciągnę ku sobie drzwi sypialni, otwieram je i, w tej samej chwili, słyszę, jak się zatrząskują. To, co było przede mną, jest teraz za mną. Znajduję się w pokoju, nie zdając sobie sprawy, jak przeszłam tu z podestu schodów.

Szukam po omacku włącznika światła. Naciskam go. Nic się nie dzieje. Pokój jest nadal po-
grążony w ciemności. Gdy zjawiłam się w domu, było jeszcze jasno – środek dnia – jednak
w tym pokoju jest tak ciemno, jakby ktoś zakleił okna, by odciąć całe naturalne światło.

To już się kiedyś zdarzyło, również w domu, który należał do mnie.

Tylko że nie mogli zrobić tego tutaj. Gdyby zrobili, widok z okna zniknąłby razem ze świa-
tłem, a tak się nie stało. Mogę widzieć wszystko. Wreszcie.

Podwójne drzwi balkonowe wychodzące na jezioro są otwarte na oścież.

Oni tam są: chórzyści. Próbuję ich policzyć, ale wciąż się przegrupowują, zamieniają miej-
scami. Czasem są ich setki, czasem tylko szesnastka, jak w chórze Josepha, ale wyraźnie wi-
dzą twarz każdego w nich. Muszą znajdować się co najmniej sto metrów od miejsca, w któ-
rym stoję, jednak kiedy śpiewają, ich nosy, usta i rzęsy muskają moją skórę.

Nie mam po co pytać, kim są. Ujrzę ich ponownie i będę wiedziała. Nie mogę spytać, bo ich
śpiew jest zbyt głośny. Niemal ogłuszający.

Radość będzie, Odkupicielu,
Gdy przyjdiesz zbawić ludzi wielu.

Oprócz chłopców są tam także dziewczęta. Tak, oczywiście. Myślę, że teraz wiem, kim oni
są. Ale nadal chciałabym o to spytać.

Ośmiu chłopców albo setki chłopców. Osiem dziewcząt albo setki dziewcząt. Tuż nad wodą,
unoszą się nad środkiem Jeziora Lukrowego, gdzie zeszłej nocy odbijał się księżyc.

Lśnią srebrzyście jak księżyc: kolor światełek bożonarodzeniowych Swallowfield – wy-
szczerbiony księżyc w kształcie dzieci, długie włosy dziewcząt powiewają, oczy błyszczą, twa-
rze są blade i połyskujące. Wyglądają na bardzo zimne: rzeźby dzieci wyrzeźbane w lodzie, tyl-
ko że śpiewają na całe gardło, jakby się bały, że nikt ich nie usłyszy.

Jakby się bały, że ja ich nie usłyszę.

Wbijają we mnie wzrok, świdrują oczami o niebieskobiałych tęczęwkach. Otwieram usta,
próbując powiedzieć im, że jestem tutaj i nie muszą śpiewać tak głośno – nie wolno im. Jak
będą tak hałasować, zostaną powstrzymani – ktoś złoży na nich skargę – ale nie mogę znaleźć
potrzebnych słów, jedynie słowa ich pieśni. Śpiewam wraz z nimi.

O, przyjdź na świat, Mądrości wieczna,
Do nieba drogę wskaż skuteczną.
Napełnij duszę mądrością,
Ubogać nas swą roztropnością.

Stuart wali pięścią w drzwi, pyta, co robię, co się ze mną dzieje. Żąda, bym wyszła. Nie
mogę. Nie wiem, dlaczego on nie wchodzi. Może z tego samego powodu. Mam przed sobą

otwarte drzwi: mogę zostawić go za sobą, zbliżyć się do chóru. Wiem, że tamci tego by chcieli.

Wychodzę na balkon. Wilgotne drewno chłodzi mi podeszwy stóp. Kiedy zdjęłam buty i skarpetki? Nie pamiętam, żebym to robiła. Dzieci z chóru również mają bose stopy, dyndające: jak białe, zwisające w dół dłonie, machające spod ich sukien.

Schodzę po spiralnych schodkach z kutego żelaza na taras poniżej. Dookoła i w dół, jak kamień. Kiedy biegnę nad jezioro, coś mnie odpycha. Chce mnie powstrzymać przed posuwaniem się do przodu. Dzieci zaczynają się rozmywać.

– Nie! – wołam głośno. – Dokąd idziecie?

Słyszę, jak Stuart wykrzykuje moje imię. Chór jest nadal słyszalny, ale cichnie, jakby głosy dobiegały z oddali.

Radość będzie, Odkupicielu,
Gdy przyjdiesz zbawić ludzi wielu.

– Wracajcie! – wołam.

Wlokę się do przodu, na skraj wody. Czy powinnam zejść po tych ziemnych schodach? Zostały wycięte w murawie, by ułatwić dostęp do jeziora latem, powiedziała mi Bethan. Czy jeśli zrobię jeden krok w stronę wody, to chór ponownie się pojawi? Czy tam właśnie są – pod powierzchnią?

– Louise? Gdzie jesteś? Czy tam poszłaś?

Stuart. Jest na tarasie. Nie, nie wolno mu zostawiać Josepha samego w środku. Musimy pracować wspólnie nad bezpieczeństwem naszego syna.

Boję się Stuarta. Joseph też powinien. Stuart będzie chciał nas powstrzymać.

Opadam na pośladki. W takiej ciemności nie sposób cokolwiek dojrzeć nad brzegiem jeziora, ale boję się, że Stuart mnie znajdzie. Dlatego właśnie chórzyści zniknęli: wiedzieli, że on nadchodzi.

– Lou? – woła znowu. Tym razem jest bliżej.

Chcę biec, ale oślepia mnie ciemność, która zapadła, kiedy chór dziecięcy zabrał swój wyszczerbiony księżyc, pozostawiając opustoszałe niebo. Robię krok w lewo, potem kolejny w prawo, ale za każdym razem się wycofuję, kiedy myślę, że słyszę oddech Stuarta.

Nagle wszystko się porusza, szepcze: drzewa, krzewy, plandeki naciągnięte na meble ogrodowe na tarasach domów stojących wokół Jeziora Lukrowego. Nie tylko Stuart idzie po mnie, z każdego domu wyłania się mężczyzna. Wszyscy są nim. Nadchodzą ze wszystkich stron.

Nie mogę tu dłużej zostać. Muszę zobaczyć światło, by wiedzieć, że moje oczy nadal widzą, że nie ośleplam. Jak mogłam tak bardzo oddalić się od domu? Głupia. Szalona. Czuję się, jakbym odeszła szmat drogi stamtąd, znalazła się dalej niż kiedykolwiek.

Muszę śpiewać. Jeśli zaśpiewam, to może ich sprowadzę z powrotem.

O przyjdź, pragnienie tego świata,
Spraw, niechaj w każdym widzę brata.
W miłości nas pojednaj zdroju,
Tyś bowiem jest Królem Pokoju.

Słyszę, że dzieci śpiewają wraz ze mną, wprawdzie cichutko, lecz ponad wszelką wątpliwość. Z lekkim poślizgiem czasowym, jak echo. Wspierając się na dłoniach i kolanach, pełzną wzdłuż brzegu jeziora, wypatrując ich odbicia w wodzie, ale nic nie widzę, dopóki nie zamknę oczu. Dysząc w panice, dostrzegam wtedy kolory na wnętrzach swoich powiek. Fiolety, czerwienie. To daje mi pociechę i odpowiedź. To jest to, myślę. Muszę wrócić w bezpieczne miejsce, z powrotem do światła i kolorów mojego domu. Do Granicy.

Wstaję i odwracam się. Otwieram usta do krzyku i dławię się głośnym śpiewem, który przelewa się z ich ust w moje, milimetry od mojej twarzy, gdy oczami uderzam w szkło.

Oni są tam. Właśnie tam zawsze byli.

Buchający światłem, z rozwianymi włosami. W moim domu, za szybą, wiszą nie wiadomo na czym. W pokoju są tylko oni i oślepiający blask. Są tak blisko, widzę, jak ich źrenice rozszerzają się i zwężają. Patrzenie na nich wyciąga cały oddech z moich płuc i więcej pieśni z moich ust. Teraz śpiewamy wszyscy razem.

Radość będzie, Odkupicielu,
Gdy przyjdiesz zbawić ludzi wielu.

– Kim jesteście? – pytam poprzez słowa hymnu.

To szyfr. Tylko chór może słyszeć prawdziwe znaczenie pod przykrywką słów, które śpiewam. Stuart by nie zrozumiał, a poza tym zostawiłam go na zewnątrz. Nie będzie mógł wejść z powrotem do środka, nie wtedy, gdy chór jest w domu.

Chłopiec w pierwszym rzędzie, który ma włosy tak długie jak niektóre z dziewcząt, mówi: „Jesteśmy Chórem Sierot”.

Tak, właśnie nimi jesteście.

– Jak się nazywacie?

Kilkoro z nich odpowiada. Alfie Speake. George Fairclough. Lucinda Price.

Znam te nazwiska. Wszystkie.

– Dziękuję, że przybyliście – mówię. Ukrywamy to wszystko pod hymnem.

Znam ich i śpiewam z ich wszystkimi głosami. Śpiewam:

– Chór Sierot, Chór Sierot, Chór Sierot.

– Chciałaś rzucić się do jeziora? – pyta Stuart.

– Nie, nie sędzę. Nie wiem. – Jest tylko dzień później, ale czuję się, jakby minął rok. – Trudno mi sobie przypomnieć. Ja... nie panowałam nad sobą.

– W pewnym momencie zaczęłaś schodzić po schodach do wody. Musisz pamiętać, co się działo w twojej głowie, kiedy to robiłaś.

– Nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam, Stuarcie.

– Dlaczego zabarykadowałaś drzwi sypialni szafką nocną? Co zamierzałaś zrobić, nie dopuszczając, bym to zobaczył? Skoro chciałaś rzucić się do jeziora, dlaczego najpierw udałaś się do sypialni, a potem wyszłaś z niej po spiralnych schodach? Po co w ogóle przychodziłaś do domu?

Mówienie mu, dlaczego to zrobiłam, wymagałoby wyjaśnienia, że „dlaczego” nie leży w mojej gestii. To z kolei doprowadziłoby do pytań „jak”. Nie wiem. Zgadzam się: nie ma takiej możliwości. Wiem tylko tyle, że to się zdarzyło.

– Nie mam żadnej odpowiedzi, którą chciałbyś usłyszeć – mówię. – Przykro mi. Ja... nie byłam sobą.

– Ale teraz jesteś – rzuca oskarżycielsko.

– Tak.

– Jak to możliwe?

Przesłuchuje mnie tak, jak mógłby to robić policjant. Jestem zadowolona z jego surowości. Potrzebuję jego bezlitosnej logiki do wypłoszenia tego, co niewytłumaczalne.

Muszę mu też powiedzieć, że to było realne, i wiem, co to znaczyło, ale jeśli tak zrobię, uzna mnie za chorą umysłowo. Powie, że to jest niemożliwe, zupełnie irracjonalne.

Tak więc mamy problem: paradoks. Chcę, by zanegował poprzez swoje niedowierzenie to, co się stało, a jednocześnie potrzebuję, by mi uwierzył, bo wtedy będzie mógł mi pomóc nas uratować. To, że potrafię przedstawić sobie samej ten dylemat, przekonuje mnie, nawet jeśli tylko mnie, że nie jestem szalona.

Wyjdę na wariatkę, jeśli powiem Stuartowi, co się wydarzyło. Lepiej pozwolić mu myśleć, że zdjęłam buty, skarpetki i śpiewałam hymn nad jeziorem z powodów niepojętych dla nas obojga.

– Musisz przeprosić Bethan – mówi, opierając głowę na rękach, jakby jego szyja nie mogła już dłużej znieść jej ciężaru. Siedzi na podłodze naszej sypialni, opierając się o zamknięte drzwi balkonowe. Ja przycupnęłam na skraju łóżka, moje gołe stopy dotykają podłogi, jak u pacjentki szpitala, która długo nie chodziła bez pomocy. Joseph jest w domu walijskiego chłopca: czasowo ewakuowany spędza normalny poranek z normalną rodziną, a przynajmniej taką właśnie Stuart ma nadzieję.

– Im szybciej, tym lepiej – ciągnie, ale ja zgubiłam wątek i nie kojarzę, o co mu chodzi. – Nie mogę uwierzyć, że jej nabluzgałaś, Lou. Biedna, nieszkodliwa Bethan.

Ano tak. Bethan.

– Wiem – odpowiadam. – Pójdę do niej. Zrozumie.

Stuart śmieje się gorzko.

– Jeśli tak będzie, czy mogłabyś ją poprosić, by była uprzejma mi to wytłumaczyć?

– Powiem jej prawdę – że nie mam pojęcia, co mnie napadło. Tylko że... to było coś złego.

To, co się wydarzyło, było gorsze dla mnie niż dla Bethan. Czy mogę tak jej powiedzieć, nie ryzykując, że się obrazi? Chyba nie.

– Ja nawet... – urywam.

– Co?

– Nie mogłabym przysiąc, że w jej radiu leciało właśnie *Don't Stop Me Now*. Może to była jakaś inna piosenka, nie ta, którą słyszałam. A może ona w ogóle nie miała włączonego radia! Słuchaj, sama nie wiem, rozumiesz? Nie krzyw się! To nie moja wina! Jak dzieją się rzeczy, które twoim zdaniem nie mogą się zdarzyć, zaczynasz wątpić we wszystko. Pójdę się ukorzyć przed Bethan i wszystko wyjaśnię. Zaniosę jej butelkę wina.

– Nie. Sam będę potrzebował całych naszych zapasów.

Patrzę na niego, by sprawdzić, czy żartuje. Wcale nie.

– Stuart?

– Mmm?

– Wierzysz w przeczucia?

– Nie.

– To znaczy... nie chodzi mi o dokładne przewidywanie tego, co się zdarzy w przyszłości, czy takie tam, ale... coś w rodzaju ostrzeżenia?

– Nie – powtarza beznamiętnie. – Uważam, że fiksujesz. Właśnie w to wierzę. Musimy jak najszybciej wrócić do Cambridge i...

– Nie! – Groźba wcześniejszego powrotu do naszego życia w Cambridge pomaga mi się skupić. – Stuart, chcesz, żebym już nie wariowała? Czy chcesz, żeby wszystko było jak dawniej? Zanim Joseph zaczął chodzić do Saviour?

– Tak. Jeśli się da.

Jego głos jest pełen lęku. Boi się nie tego, co trzeba.

– Da się – oświadczam z przekonaniem. – Ale... jak bardzo tego chcesz? Czy dałbyś za to wszystko?

Na kilka sekund zapada cisza.

– Tak.

– Więc posłuchaj mnie teraz, zrób to, co mówię, a przyrzekam ci – przysięgam na nasze życie – wszystko wróci do normy.

– Lou, nie czujesz się wystarczająco dobrze, by...

– Posłuchaj – mówię podniesionym głosem, wpadając mu w słowo. – Musimy zabrać Josepha z tej szkoły i z tego chóru. Jeśli to zrobimy, wszystko będzie dobrze. A jak nie, umrzemy.

Stuart zaczyna płakać.

– O Boże, Lou. Co ty wygadujesz!

– Przykro mi. Wiem, że nie jest przyjemnie usłyszeć coś takiego, ale taka jest prawda.

– Umrzemy? Wszyscy troje?

Spodziewałam się, że spyta, skąd to wiem, dlaczego nabrałam takiego przekonania. Jestem zadowolona, że tego nie zrobił. Nie powiedziałabym mu. Im mniej mówię, tym lepiej. I tak liczy się tylko jedno: niebezpieczeństwo, którego musimy za wszelką ceną uniknąć. Posłuchać

ostrzeżenia.

– Nie, nie Joseph – mówię. – Joseph będzie żył i Alfie Speake również, i George Fairclough, i Lucinda Price, i ten jej brat, którego imienia nie pamiętam, ale ty i ja umrzemy. Tak samo jak rodzice innych chórzystów. Może nawet wszyscy. – Nie mogę się zorientować, czy chodzi o wszystkich, czy tylko o większość. Nie widziałam Nathana Granta, syna Alexis w Chórze Sierot. Chyba nie widziałam również syna Donny McSorley, Louisa.

Stuart wstaje, ociera łzy dłońmi.

– Nie będę słuchał tych bzdur – oświadcza. – Sama nie wiesz, co wygadujesz.

– A właśnie że wiem. Dokładnie wiem, co mówię. Zgódź się na to, by Joseph opuścił Saviour, bo w przeciwnym razie ja zostawię cię dzisiaj, zabiorę go ze sobą i nigdy nie wrócę. Zgódź się na to, by opuścił szkołę, a ja zrobię wszystko, co chcesz – będę chodzić do końca życia do psychiatry, jeśli myślisz, że tego potrzebuję. – Wpada mi do głowy lepszy pomysł: mniej egoistyczny. Szlachetniejszy. – Albo zatrzymaj Josepha, zamknij mnie w domu wariatów i znajdź sobie nową żonę – cokolwiek, bylebyś się zgodził zabrać go z tej szkoły.

Oddałabym wszystko, nawet syna, by uchronić go przed zostaniem sierotą.

– Jezu, Lou. Jak możesz...

– Powiedz „tak” i przyrzekam, Stuarcie, wszystko będzie dobrze. – Muszę nakłonić go, by się zgodził. – Posłuchaj, a może byśmy tylko spróbowali? Słyszałeś, co doktor Freeman powiedział o Josephie, o jego niezwykłym talencie. Przyjąłby go z powrotem, w każdej chwili. Jeśli się mylę, jeśli zabierzemy Josepha z Saviour, a ja nadal będę szaleć dwa tygodnie później, już nigdy o nic nie poproszę, ale... proszę, zrób tylko to, o co proszę, ten jeden raz.

W pokoju zapada cisza.

– Masz rację – mówi wreszcie Stuart. – Doktor Freeman przyjąłby Josepha z powrotem. Nawet gdyby opuścił szkołę.

– W takim razie zgadasz się? – Muszę usłyszeć, jak to mówi. Nie mogę pozwolić sobie na nadzieję, dopóki tego nie powie.

– Ale nie dlatego, że podzielał twoją śmieszna paranoję, której nic nie uzasadnia.

Nieprawda. Wczorajsze zjawy to nie jest nic.

– Przystanę na twój plan, bo jestem zdesperowany – mówi Stuart.

Tak samo zdesperowany jak ja. Wreszcie. Bogu dzięki.

– To jedyny powód. Chcę cię odzyskać – dawną siebie. Jeśli istnieje choćby nikła szansa... – Kręci ze smutkiem głową.

– Zaczekaj, a sam się o tym przekonasz – zapewniam. – Nie pożalujesz tego. Odzyskasz dawną mnie.

– Sam nie wiem – to nie takie łatwe. Nie chcę cię okłamywać, Lou. Ani nawet wprowadzać cię w błąd. Musisz wiedzieć, że moim zdaniem masz poważne zaburzenia. Psychiczne. Owszem, zamieszkanie Josepha w internacie mogło wywołać ten stan, ale trudno mi uwierzyć, że nie kryje się za tym głębszy problem.

– Zaczekaj, a sam się przekonasz, Stuarcie. Obiecuję – pozwól mi zabrać Josepha z Saviour, a od razu mi się polepszy. Wszystkim nam będzie lepiej.

– No dobrze, to zrobimy tak... Kiedy zaczyna się następny semestr?

Jak może nie znać tej daty? Kalendarz Saviour jest przypięty do kuchennej tablicy na notatki w domu przy Weldon Road, a ta data jest wypalona w mojej głowie: dzień, w którym doktor Freeman zażąda znów mego syna, jeśli mu w tym nie przeszkodzi.

– Dziewiątego stycznia – przypominam, znów wystraszona.

Dlaczego Stuart próbuje mi coś zaproponować, skoro dopiero co przystał na moją prośbę? Nie chcę już o tym rozmawiać. Mam różne rzeczy do zrobienia, ważne rzeczy. Muszę przeprosić Bethan, potem obdzwonić inne szkoły w Cambridge i inne chóry, by sprawdzić, gdzie znaleźć się miejsce dla Josepha.

– Jeśli pozostaniesz przy swoim ósmym stycznia, nie będę się z tobą spierał – mówi Stuart.

– Zabierzemy Josepha z Saviour, bez zadawania kolejnych pytań. Tymczasem jednak... pojedziemy na to dodatkowe nabożeństwo, jak było wcześniej zaplanowane. I wystąpi na nabożeństwie bożonarodzeniowym.

– Nie! Opuści szkołę natychmiast. Jeszcze dziś wyślemy mejla do doktora Freemana.

– Lou, to nie fair. Nie umrzemy przecież pomiędzy dniem dzisiejszym a Bożym Narodzeniem? – Stuart próbuje się roześmiać. Wychodzi mu jakieś szkiełko.

Ale ma rację: niebezpieczeństwo czyha w lutym, nie pomiędzy teraz a Bożym Narodzeniem. W każdym razie pierwsze zagrożenie. Chyba że się mylę.

Nie sądzę, bym się myliła.

Czy mogę zaryzykować? Nie, nie chcę.

Stuart siada obok mnie na łóżku i ujmuje moją rękę w obie dłonie. Czując ciepło jego skóry, nagle uświadamiam sobie, jak jestem wyziębiona.

– Lou – mówi. – Nasz syn został wybrany spośród setek chłopców, by zostać członkiem chóru Saviour College. To było i jest niezwykle osiągnięcie.

– Wiem.

– Chciałbym, żeby wystąpił na jednym nabożeństwie świątecznym jako chórzysta Saviour. Proszę. Posłuchaj. Drugiego dnia świąt, jeśli nie zmienisz zdania, zadzwonię do doktora Freemana i powiem mu, że Joseph opuszcza szkołę. Z samego rana drugiego dnia świąt.

Nie. Nie ma mowy.

– Uroczyście ci to obiecuję. Ale... proszę, pozwól mu wystąpić na tych ostatnich dwóch nabożeństwach. Posłuchajmy jeszcze, jak dwa razy śpiewa ze swoim chórem. Tak się na to cieszyłem.

Kiwam głową.

– Dobrze, jeśli to dla ciebie takie ważne.

Nie, nie, nie. Za nic.

Do piątku muszę znaleźć sposób, by temu zapobiec, a zarazem doprowadzić do tego, czego chcę. Już ja coś wymyślę; muszę. Nie mogę puścić Josepha na to dodatkowe wieczorne nabożeństwo. Ani na to w bożonarodzeniowy poranek. Nie mogę pozwolić, by jeszcze kiedykolwiek zbliżył się do chóru Saviour.

– Dziękuję, Lou.

Kiedy Stuart całuje mnie w czoło, zastanawiam się, czy mogę jakoś sprawić, by był zbyt chory na podróż w piątek, nie czyniąc mu jednak poważnej krzywdy. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, by zrobić coś takiego Josephowi, ale Stuartowi... kto wie.



Okazuje się, że kwadratowy drewniany domek Bethan nie nazywa się Kostka, lecz Cisza.

– Sama wymyśliłam tę nazwę – oświadcza z dumą, kiedy włącza czajnik, by zrobić nam obu

kawę.

Ma kuchnię łączoną z jadalnią, jak w Granicy, i wszystko tak dobrane kolorystycznie, że aż się robi niedobrze od samego patrzenia. Poduszki są w tym samym odcieniu żółci co czajnik i kubki, na podkładkach pod kubki, kapach i dywanikach również występuje żółć oraz beż i zieleń. Na nijakich abstrakcyjnych grafikach zdobiących ściany widać te same kolory.

– Zazwyczaj nowi właściciele domów wybierają nazwy z przedstawionej im listy, ale można nadać domowi własną, o ile zarząd ją zaakceptuje. „Cisza” przeszła bez problemu – sprzeciwiają się tylko wtedy, gdy ktoś chce użyć nazwy niezgodnej z etosem i atmosferą Swallowfield. Kiedyś pewien facet poprosił o zgodę na nazwę „To jest mój najmniejszy dom”. – Bethan chichocze. – To miał być taki żarcik, ale zarząd uznał, że niektórzy ludzie mogliby się poczuć urażeni. Kupował jeden z większych domów, więc inni mieszkańcy mogliby pomyśleć, że facet się przechwala.

Zastanawiam się, czy powinnam przerwać jej słowotok i starać się raz jeszcze ją przeprosić. Próbowałam to zrobić, jak tylko otworzyła drzwi, wiele razy, ale mi na to nie pozwoliła.

– Zostawmy to za sobą i idźmy dalej – nalegała, uśmiechając się do mnie szeroko. – Widziałam wczoraj, że nie byłaś sobą.

Jestem jej wdzięczna, że nie chowa urazy, ale również podchodzę do tego podejrzliwie. Dlaczego nie pozwoli mi choć trochę się wytłumaczyć? Czy naprawdę wyrzuciła to z pamięci, jakby nigdy się nie zdarzyło? Jak jej się to udaje? Gdyby ktoś, kogo znam, kto wcześniej zawsze zachowywał się przyjaźnie i uprzejmie, nagle zbluzgał mnie bez powodu, jestem pewna, że chciałabym usłyszeć, co ma potem o tym do powiedzenia.

Być może te jej wesołe żarciki mają pokryć zażenowanie. Nie chce dać się wciągnąć w męczącą albo niezręczną rozmowę. Zresztą trudno robić z tego zarzut – przecież ledwie mnie zna.

– „Cisza” to doskonała nazwa dla tego domu – trąkocze dalej. – Jest niesamowicie cichy. To znaczy, w Swallowfield oczywiście jest wszędzie cicho, ale tutaj dosłownie nie docierają żadne głosy. Dlatego czasem nastawiam dość głośno radio – nie ma obawy, że komuś to może przeszkadzać. Oprócz ciebie nikt tu się jeszcze nie zabłąkał. Nie wiem, jak ci się udało znaleźć to miejsce – jest bardzo na uboczu, na odległym krańcu Szpakowego Zagajnika. Większość mieszkańców nie wie nawet, że ta mała działka istnieje. Szczerze mówiąc, zarząd niejako postawił to jako warunek, kiedy oznajmiłam, że chciałabym kupić tu dom.

Przynosi kawę do części pomieszczenia pełniącej funkcję salonu, podaje mi kubek. Spodziewam się, że usiądzie naprzeciw mnie w jednym z dwóch foteli, ale siada obok, na kanapie. Dziwny wybór: teraz, żeby ją widzieć, będę musiała obracać głowę albo całe ciało. Jest zbyt mocno wyperfumowana. Perfumy pachną tak, jak smakowałyby przesłodzony owoc. Zastanawiam się, czy jest jedną z tych kobiet, które upijają się i chichoczą, kiedy idą się gdzieś zabić, a potem oczekują, że inne kobiety będą wspólnie z nimi korzystały z toalety, bo to oznaka bliskiej przyjaźni.

– Kiedy zaczęłam tu pracować jako dyrektor sprzedaży, przez myśl mi nie przeszło, że w końcu kupię tu dom – ciągnie. – Szczerze mówiąc, nie było mnie na to stać, nie mogłam sobie pozwolić nawet na jedno z tych mieszkań nad głównym placem zabaw. Jednak potem zakochałam się po uszy w tym miejscu. Musiałam kupić tu dom, pragnęłam tego. Więc go kupiliśmy. – Uśmiecha się, lecz niewesoło. W jej głosie też pobrzmiwa smutek. – Sprzedaliśmy nasz dom w Rawndesley i przenieśliśmy się do mieszkania z dwiema sypialniami. Jest trochę

ciasne, ale nigdy tego nie żałowałam.

Dlaczego więc mówisz takim tonem, jakbyś jednak żałowała?

– Swallowfield musiało być na pierwszym miejscu. – Bethan kiwa głową, jakby chciała upewnić się, że ma rację. – Jeśli ma się dwa domy, to warto mieć ten lepszy w ulubionym miejscu, jak powiedział mój mąż w swoim czasie. A jak Swallowfield mogłoby nie być tym ulubionym miejscem? Przecież tu jest jak w raju, prawda?

Wczoraj tu nie było jak w raju. Zaczynam się czuć, jakbym musiała natychmiast stąd wyjść. Zazwyczaj potrafię paplać o niczym jak większość ludzi, ale dziś wydaje mi się to niemal nonszalancją. Nie wiem, czy zdołam dać odpór zalewowi tych wszystkich słów, których nie wypowiadam.

– To oczywiście trochę dziwne i problematyczne, że jeden z pracowników działu sprzedaży Swallowfield również ma tu dom. Może istnieje pewien konflikt interesów? – szczebiocze dalej Bethan. – Wzbudziło to pewien niepokój zarządu. Jednak nie chcieli mnie stracić jako dyrektora sprzedaży – nie chcę się przechwalać, ale jestem dość dobra w tym, co robię – więc zaproponowali, że wybudują mi dom z dala od innych posiadłości, po obniżonej cenie, no i proszę! Cisza. – Rozgląda się z podziwem po swoim salonie. – Miałam niesamowite szczęście. Jednak choć bardzo bym chciała zachwycić się moim ślicznym domem w Swallowfield, kiedy obwożę potencjalnych nabywców, zarząd poprosił, bym tego nie robiła. Dlatego nie powiedziałam ci, że tu mieszkam. Sądzę, że oni myślą... no cóż, mam własną wyspę, prawda? Nie powiem przecież: „Przykro mi, żadna inna działka tego nie ma, tylko moja”. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, niechętnie przyjmowaliby ofertę kupna od kogoś, kto ma lepszy dom od tego, który im proponuje. Choć inne domy są również na swój sposób wyjątkowe – dodaje szybko Bethan, gdy orientuje się, co chlapnęła i jak mogło to zostać przeze mnie odebrane. Klepie mnie po ramieniu. – Twój jest szczególnie ładny – zawsze tak uważałam.

– Ta muzyka, którą puszczałaś wczoraj, kiedy byłam na dworze – wrywa mi się znienacka. – Co to było?

– Muzyka? A, chodzi ci o radio? Nie pamiętam. Bo co?

– Czy to było *Don't Stop Me Now* Queenów? Jeśli nie, to znaczy, że naprawdę wariuję. – Zaczynam szlochać, jednak nie czuję, że to pochodzi ode mnie. Jest tak, jakby bez ostrzeżenia zaczęła się we mnie powódź. Zazwyczaj kilka minut wcześniej wiem, że zacznę zaraz płakać. Mogę odejść od towarzystwa i robić to na osobności. Nie znoszę płakać przy ludziach.

Próbuję przeproszać, ale nie mogę przebić się ze słowami przez łzy.

Bethan wyjmuje mi kubek z rąk i stawia na stoliku obok siebie. Modłę się, by nie chwyciła mnie w objęcia albo, co gorsza, nie poklepała po plecach. Jeśli nic nie powie i nie zrobi, jeśli mnie nie dotknie, może zdołam jakoś wziąć się w garść.

– Myślę, że tak – mówi. – Na pewno był to jakiś kawałek Queenów. Tak, jestem raczej pewna, że *Don't Stop Me Now*.

Odejmuję zwinięte pięści od oczu i patrzę na nią. Marszczy brwi. Chcę się upewnić, że udzieliła mi właściwej odpowiedzi. Mam poczucie winy, że myślałam źle o jej perfumach i zwyczajach łazienkowych.

– Louise, co się dzieje? – pyta łagodnie. – Nie chcę być wścibska i nie musisz mówić o tym, jak nie chcesz, ale... chętnie wysłucham. Nigdy nikogo nie osądzam.

Jak to możliwe? Ja osądzam bez przerwy. Tak robią też wszyscy znani mi ludzie: Stuart, moja rodzina, jego rodzina, moje koleżanki, rodzice dzieci z chóru, doktor Freeman, pan Fah-

renheit. Nawet Pat Jervis, która nie ma do tego cholernego prawa.

Zastanawiam się, czy „nigdy nikogo nie osądzam” to uprzejmy sposób powiedzenia: „więc ty lepiej mnie też nie osądzaj”. Jeśli tak, przypuszczam, że to niezbyt skuteczna strategia. Ci krytyczni na pewno umieściliby bezkrytycznych na samym początku swojej czarnej listy.

Zupełnie nie mogę rozgryźć Bethan.

Pragnienie płaczu minęło, zupełnie znikło. Nie mogłabym teraz uronić łzy, nawet gdybym chciała, chociaż moja twarz jest nadal mokra. Czuję się natomiast zmuszona opowiedzieć całą historię od samego początku. Komuś, kto nie jest Stuartem, komuś, kto nie zna mnie zbyt dobrze i potrafi zachować obiektywizm, bo nie jest zaangażowany w sprawę. Komuś, czyja reakcja jest dla mnie nie do przewidzenia: kobiecie, która siedzi zbyt blisko mnie na kanapie, ale nie chwyta mnie w objęcia, kiedy wybucham płaczem. Kobiecie, która docenia piękno Swallowfield, ale urządza i dekoruje swój tutejszy dom jak pozbawiona czasu i wyobraźni właścicielka mieszkania do wynajęcia.

Chcę wiedzieć, co Bethan myśli. Muszę wiedzieć.

Opowiadam jej wszystko – całą historię, nawet te części, które być może były wytworem mojej wyobraźni albo halucynacji. Opowiadam jej o panu Fahrenheicie, Pat Jervis, Josephie mieszkającym w szkolnym internacie i o tym, jak bardzo tego nie mogę znieść, chóralnej muzyce, którą słyszałam w sypialni, a potem na ulicy – muzyce, której nikt inny nie słyszał.

A potem, ponieważ nie daję rady już dłużej utrzymać tego w sekrecie, opowiadam jej o Chórze Sierot. Słucha, nie przerywając, nie patrzy na mnie pogardliwie. Kiedy dochodzę do końca historii, a ona jest pewna, że skończyłam, podaje mi kubek z kawą.

– Już pewnie wystygła, ale... – Wzrusza ramionami.

– Dziękuję. – Biorę łyk, smakuje okropnie.

– Mogę ci zrobić nowej, jeśli chcesz? Gorącej.

Więc po co czekałaś z propozycją, aż spróbowałam zimnej?

– Ta mi wystarczy – odpowiadam.

– Mój syn jest też bardzo muzykalny – mówi Bethan. – Ma na imię Ed. Ma dziewięć lat, więc jest trochę starszy od Josepha, ale też śpiewa w szkolnym chórze. Jest tam jednym z lepszych śpiewaków i nie mówię tego tylko dlatego, że jestem jego mamą. To zwykła państwowa szkoła – nie stać nas na prywatną – ale nauczyciel muzyki jest wspaniały. Uczą się bardzo różnych utworów – pieśni łacińskich, ludowych irlandzkich. Są niesamowici.

Czuję ulgę, że nie muszę natychmiast wyjaśniać nieprzekonujących aspektów swojej opowieści i nie słyszę czegoś w rodzaju: „Ale przecież nie mogłaś tego widzieć. To się nie mogło zdarzyć. To po prostu niemożliwe”.

– Gdzie jest teraz Ed? – pytam. – W jego szkole nie ma jeszcze ferii?

– Nie. Zaczynają się dopiero jutro.

Dlaczego nie mówi nic o Chórze Sierot? Czy w związku z tym, że tak bardzo wzdraga się przed osądzaniem innych, nie powie mi, że moja opowieść wydała jej się bezsensowna? Pytam siebie w duchu: Czy ja jej w końcu o tym powiedziałam? A może tylko tak mi się zdawało?

– Ale... Ed nie mieszka ze mną, więc... – Twarz Bethan markotnieje. – Nie zobaczę się z nim, nawet w Boże Narodzenie. Mieszka ze swoim ojcem. Rodem. Jesteśmy w separacji. – Mruganiem pozbywa się łez, które są dyskretniejsze od moich, pozwalają się powstrzymać. – Wiem, jakie to bolesne stracić dziecko, Louise. Uwierz mi. Śmierć i uprowadzenie to nie jedy-

ne sytuacje, kiedy to się może zdarzyć, chociaż tylko wówczas ludzie okazują współczucie. Ed dobrze sobie radzi w życiu i w szkole. Wydaje się szczęśliwy. Widuję go co dwa tygodnie, w weekendy. Nikt oprócz mnie nie widzi, że go straciłam. To znaczy, ludzie wiedzą, że on mieszka z Rodem, ale... to jeszcze nie tragedia, prawda? Przynajmniej tak to postrzega większość ludzi. Jednak ja odczuwam to jako tragedię.

– Przykro mi – mówię. – A czy... mogłabyś... – Nie wiem, jak ją o to zapytać, tak by nie poczuła się winna albo nie pomyślała, że ja mogę ją za taką uważać.

– Nie walczyłam z Rodem o opiekę nad dzieckiem, nie. To nie miało sensu.

– Wygrałby?

– Nie, sądzę, że ja bym wygrała. Ale ta wygrana byłaby stratą. – Kręci głową, mruczy coś pod nosem. – Jak ci powiem, pomyślisz, że tchórz ze mnie.

– Nie, nie pomyślę.

– Rod powiedział mi na samym początku – zanim jeszcze mieliśmy dziecko, nawet przed zaręczynami, że nigdy nie pozwoli żadnej kobiecie, by zabrała jego dziecko i żyła z nim pod jednym dachem z innym mężczyzną. Nie ożeniłby się ze mną, gdybym się na to nie zgodziła. Byłam zakochana, uważałam, że to urocze, a poza tym, że nie ma obaw, bo przecież się nigdy nie rozstaniemy. Rod tak poważnie traktował swoje ojcostwo, tak bardzo go pragnął, ale by się nie zdecydował na nie, gdyby istniało choć nikłe zagrożenie, że jakaś kobieta może go oddzielić od jego dzieci. Rzeczywiście martwił się taką perspektywą, co nawet na jakiś czas powstrzymało go od wchodzenia w związki. Zanim spotkał mnie. Kiedy jeszcze było między nami dobrze, dowcipkowaliśmy sobie na ten temat. Kiedy na przykład chciałam wyskoczyć z Edem do miasta, Rod mówił żartem: „Zabierasz mojego syna, tak? O ile sobie przypominam, ślubowałam, że zabiję każdą kobietę, która to zrobi”, na co ja odpowiadałam: „Nie martw się, zwrócę ci go za kilka godzin, ale będziesz wówczas biedniejszy, bo jedziemy do miasta, żeby kupić mu nową kurtkę. Jakie to szczęście, że nie ślubowałaś, że zabijesz każdego, kto wydaje zbyt wiele z twoich ciężko zarobionych pieniędzy!”.

Na widok mojej miny Bethan dodaje:

– Wiem, że to brzmi okropnie, ale to był tylko jeden z naszych stałych żartów. Żadne z nas nie myślało, że kiedykolwiek dojdzie do podobnej sytuacji. – Milknie.

– A kiedy to się stało, pozwoliłaś Rodowi zatrzymać Eda, bo wiedziałaś, że to wcale nie był żart? – pytam.

– Nie wiem, czy rzeczywiście posunąłby się aż tak daleko, by mnie zabić. Wolałabym tego nie sprawdzać. W każdym razie na pewno by coś zrobił. Może popełniłby samobójstwo. Nie mogę ryzykować. W każdym razie... – Bethan uśmiecha się dziarsko i klepie obiema dłońmi po kolanach: sygnał dla kota, że może na nie wskoczyć, tylko że tu nie ma żadnego kota. – Nie przyszłaś tu, by wysłuchiwać moich rozdzierających serce historii. Powinnyśmy porozmawiać o tobie i o tym, co się zdarzyło wczoraj. Muszę przyznać, że pod tym względem nie mamy zbyt wiele wspólnego. Nigdy nie miałam takiego doświadczenia związanego z opuszczeniem własnego ciała. Jak myślisz, co to oznacza?

– Chór Sierot? – Dziwnie jest wypowiadać te słowa na głos. – Ja nie opuściłam swojego ciała. Byłam w nim, a także w umyśle, ale one zdawały się... jakieś inne. Wszystko było inne. Tak trudno to wytłumaczyć. Ale ja wiem, co miało znaczyć – przynajmniej tak myślę. Nie, ja wiem. Ale jak ci powiem, pomyślisz, że wygaduję bzdury. Uznasz je za jeszcze większe wariactwo niż to, co usłyszałaś do tej pory.

– Spróbuj – proponuje Bethan. – Jak mówiłam, nikogo nie osądzam.

– A czy mogłabyś teraz zacząć? – żartuję, ale właściwie nie żartuję. Jak mąż Bethan, Rod. – Potrzebuję kogoś, kto mi powie, czy to wszystko jest zupełną fantazją i po prostu mi odbiło, czy też może być w tym prawda. Ja już sobie nie ufam.

– Mów dalej.

– Myślę, że... wizyta Chóru Sierot jest ostrzeżeniem. To był chór Josepha.

– Widziałaś z nimi Josepha? – pyta Bethan. – Nie wspominałaś o tym.

– Nie, nie było go wśród nich, ale ci troje, którzy podali mi swoje nazwiska, są chórzystami z Saviour.

– Ale powiedziałaś, że była wśród nich dziewczynka, Lucinda Price.

– No tak. Przepraszam. – Dlaczego mój mózg nie działa jak trzeba? Przecież Bethan nie powinna wiedzieć o wczorajszych wydarzeniach więcej ode mnie. – Dwaj chłopcy: Alfie Speake i George Fairclough, są chórzystami. Lucinda Price oczywiście nie – dziewcząt nie dopuszcza się do chóru Saviour. Musi być siostrą jednego z chórzystów. Pewnie wszystkie dziewczynki, które widziałam, są siostrami. Dlatego właśnie to jest Chór Sierot, jakżeby inaczej? Jeśli chłopcy z chóru są sierotami, to ich siostry również.

Wyszczerbione, srebrzyste sylwetki nocą, niebieskobiałe oczy, które świecą. Dzikie, czarne usta rozwarte jak do krzyku i do śpiewu zarazem.

– A więc sądzisz, że to było ostrzeżenie? – naciska Bethan.

– Czasami chór Saviour śpiewa w innych miejscach niż kaplica w college’u. W lutym mają koncert w londyńskiej katedrze Świętego Pawła. Jadą autokarem ze swoim chórmistrzem, doktorem Freemanem. Osobny autokar zamówiono dla rodziców i członków rodzin.

Od wczoraj wciąż nękają mnie różne koszmarne wyobrażenia na temat tego, co może się stać z tym autokarem. Czy runie z szosy na stromiźnie i rozbije się w dolinie poniżej, a wszyscy zginą na miejscu? Pomiędzy Cambridge a Londynem nie ma żadnych wzgórz, więc raczej to nie nastąpi. Czy wywróci się na autostradzie M11 i buchnie płomieniami?

– A ty martwisz się, że autokar się rozbije i wszyscy zginiecie? – pyta Bethan.

– Ja i Stuart nie. Nas nie będzie w tym autokarze. Muszę ostrzec pozostałych rodziców, ale jak mam to zrobić? Nie uwierzą mi. Ty mi nie wierzysz, prawda? Jeśli tak, wcale nie mam o to do ciebie pretensji. Wolałabym się mylić. Wolałabym być szalona! Jeśli jestem szalona, to przynajmniej znaczy, że reszta świata ma sens.

– No ale te dziewczynki – mówi Bethan, marszcząc brwi. – W tym miejscu twoja teoria się nie sprawdza.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, jeśli są siostrami chórzystów, też będą w drugim autokarze, prawda? W tym z rodzicami i pozostałymi członkami rodziny, przeznaczonym do przewozu publiczności. A nie w tym, który wiezie chórzystów. A więc...

– A więc nie byłyby żywe i osierocone. Umarłyby wraz z rodzicami – kończę wypowiedź za Bethan. – Tak, myślałam już o tym. Ale... może nie wszyscy z drugiego autokaru zginęli? Albo niektóre z sióstr chórzystów zostały w domu z opiekunkami albo babciąmi – może te właśnie dziewczynki widziałam i słyszałam w Chórze Sierot?

– Chciałaś chyba powiedzieć „zginą”, a nie „zginęli”? Przecież jak na razie jeszcze nikt z nich nie umarł, prawda?

Podziwiam trzeźwe podejście Bethan. To ona umożliwia nam dalsze prowadzenie rozmowy,

nie ja.

– Czy powinnam ich ostrzec? – pytam. – W ten piątek jedziemy do Cambridge na nabożeństwo połączone z występem chóru. Zobaczą wtedy wszystkich rodziców.

Bethan pociera wnętrze lewej dłoni kciukiem prawej, kiedy się zastanawia nad odpowiedzią.

– Nie sędzę, abyś musiała kogoś ostrzegać – odpowiada wreszcie. – Dlaczego Chór Sierot nie miałyby ostrzec innych rodziców, skoro ostrzegł cię? Mówiąc szczerze... – Urywa. – Chcesz wiedzieć, co naprawdę myślę?

Kiwam głową. Szary kamyk przerażenia zaczął się formować w głębi mojego gardła. Nie mogę się mylić.

Wiem, że mogę uniknąć podróży tym autokarem. To musi być właśnie ta i jedyna rzecz, której muszę unikać.

Chyba żebym nie mogła.

– Myślę, że to było ostrzeżenie, jak powiedziałaś, ale nie ma nic wspólnego z podróżą autokarem – mówi Bethan. – Tak naprawdę nie sędzę, że wszystkie rodziny chórzystów zginą w drodze do katedry Świętego Pawła. Nie wierzę w duchy ani w żadne zjawiska nadprzyrodzone – a ty wierzysz?

– Nie. Ani w żadne przecucia, zazwyczaj w nic takiego nie wierzę, ale... nie mogę zaprzeczyć temu, co mnie wczoraj spotkało. To się na pewno wydarzyło.

– Tak. To się stało tutaj. – Stuka w bok swojej głowy palcem. – Bo rozpaczliwie pragniesz odzyskać syna. Chcesz i musisz wyrwać go z Saviour College – jesteś nieszczęśliwa od chwili, gdy tam uczęszcza. To właśnie jest ostrzeżenie. Tak bardzo tęsknisz za Joem, że widzisz osieroconych chłopców z chóru, którzy zostali oddzieleni od swoich rodziców. Nie lubisz doktora Freemana i kompletnie mu nie ufasz... Umysł to potężna machina, Louise. Może z nami wyprawiać różne rzeczy, których nie pojmujemy.

– Wiem.

Myli się. Chór Sierot znaczy więcej, niż jej się zdaje. Nie wyszedł z wnętrza mojej głowy.

Myli się, bo tam są dziewczęta.

Dlaczego mój umysł miałby wytwarzać dziewczęta, skoro chór, z którego rozpaczliwie pragnę wyrwać syna, jest wyłącznie dla chłopców?

– Twoja podświadomość panikuje, Louise – oto, co się dzieje. Tutaj w Swallowfield masz ze sobą Joego i jesteś szczęśliwa, ale ferie nie mogą trwać wiecznie. Podświadomie wiesz, że początek semestru będzie jeszcze boleśniejszy, bo miałaś znów Joego przez jakiś czas dla siebie, ale wkrótce będziesz musiała się z nim pożegnać. – Bethan wzrusza ramionami. – Albo chodzi o doktora Freemana. Może nie lubisz go z innych powodów, niż ci się zdaje. Może nie nadawać się do opieki nad dziećmi – może to potwór.

Nie. Ivan Freeman nie jest potworem, tylko człowiekiem, którego pragnienia i interes osobisty zderzają się z moimi. To wystarczy.

– Może na poziomie instynktownym zorientowałaś się, że musisz jak najszybciej wyrwać Joego doktorowi Freemanowi.

Mój syn ma na imię Joseph. Nie Joe.

– Nie wierzę w duchy, ale jestem głęboko przekonana, że szemrani ludzie wytwarzają niebezpieczne wibracje, które powodują, że rozlegają się nam w głowie dzwonki alarmowe – mówi Bethan. – To samo dotyczy sytuacji. Nie wiem, czy boisz się rozdzielenia z Joem, czy

doktora Freemana, ale bez względu na to, o co chodzi, powinnaś przyjąć ostrzeżenie, które próbuje ci dać twój mózg – wszystkie ostrzeżenia, które miałaś, odkąd Joe zaczął naukę – i przenieść go do innej szkoły, dziennej. Zabierz go z powrotem na dobre, a gwarantuję ci, że nie będziesz już więcej widywała żadnych sierocych chórów unoszących się nad jeziorami.

Nieprawda. Znów ich zobaczę i usłyszę. Tak będzie, dopóki nie zrozumiem.

Zamierzam zabrać Josepha na dobre, oczywiście, ale myli się co do reszty. Powiedziałabym jej to, ale nie mam już siły, by zmotywować się do dzielenia z nią swoimi myślami.

Wstaję.

– Dziękuję – mówię. Tym razem bez przeklinania. – Muszę iść do domu.



Przed domem Bethan jest chłopiec. Czekał na mnie. Stoi boso na drewnianym mostku: chórzysta w ciemnoczerwonej sutannie, wysoki i szczupły, z wystającym jabłkiem Adama. Ma delikatne blond włosy i szaroniebieskie oczy. Uśmiecha się do mnie, a potem zaczyna śpiewać pierwszy hymn, jaki słyszałam w wykonaniu swojego syna.

Ciągle marzę o Twym niebie,
Gdzie mnie czeka miłość Twa!
Chcę na zawsze posiąść Ciebie,
Szczęście, które wiecznie trwa^z.

W miarę jak śpiewa, skóra twarzy blednie mu wokół czarnej dziury otwartych ust.

Powinnam się wystraszyć, ale się nie boję. On nie jest moim synem.

Nie jest niczym synem. Jest sierotą.

Był. Teraz zniknął, jego nieukończona pieśń się urwała, a na mostku nie ma nikogo i nic oprócz mnie, kilku kamyków i wyschniętych brązowych liści.

Kapelan Saviour College, który po raz ostatni odprawia tu nabożeństwo, jest bardzo przeziębiony i powinien być teraz w łóżku, a nie w tej zimnej kabinie pogłosowej. Stara się jak może, odchrząkując co jakiś czas.

Kiedy zobaczyłam, jak wchodzi do kaplicy, przypomniałam sobie, że nie odpowiedziałam na żaden z mejli Alexis Grant dotyczących pożegnalnego prezentu, którego kupno zarządziła w imieniu wszystkich rodziców. Nawet ich nie przeczytałam. Prawdopodobnie tylko nasza rodzina się do niego nie dołożyła. Nie bardzo nawet wiem, co to miało być. Jedno szybkie spojrzenie na przysłany mejlem okólnik dotyczący prezentu powiedziało mi wszystko, co musiałam wiedzieć: to było coś niezmiernie skomplikowanego, częściowo własnej roboty i wiązało się z koniecznością pobrania odcisków palców od swojego dziecka, a następnie wysłaniu ich do Alexis. Trzeba było bardzo uważać, by ich nie rozmazać, a potem włożyć do sztywnej koperty, by uniknąć zagniecenia podczas transportu... Przestałam czytać, gdy stało się jasne, że trzeba w to wszystko włożyć więcej wysiłku, niż jestem w stanie.

To bez znaczenia. Nie powinno mnie tu być. Ani Stuarta. Ani Josepha. Częściowym powodem, dla którego zignorowałam i usunęłam wszystkie mejle Alexis, jest to, że w moim przeświadczeniu już stąd odeszliśmy: jesteśmy byłą rodziną Saviour, więc nie mamy już potrzeby angażowania się w sprawy chóru na żadnym poziomie. Nie ma nas tu, jeśli o mnie chodzi, od chwili gdy po raz pierwszy ujrzałam Chór Sierot i w pełni zrozumiałam, że Joseph musi odejść.

Ale oto tu jest: śpiewa.

Oto wszyscy tu jesteśmy: w kaplicy Saviour, jakby nic się nie zmieniło, z Alexis piorunującą mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem z ławki naprzeciwko. Staram się przesłać jej komunikat: „tak naprawdę wcale mnie tu nie ma”, ale to jej nie powstrzymuje.

Do ostatniej chwili, jeszcze pół godziny przed wyruszeniem ze Swallowfield, łudziłam się, że znajdę jakiś sposób, by tu nie przyjeżdżać. Potem zjawił się Stuart z kluczykami od samochodu w rękę, obok niego stał Joseph w kurtce, a ja zrozumiałam, że znów się oszukiwałam. Nie było żadnego wyjścia.

Wtedy właśnie pomyślałam sobie: może musieliśmy tu wrócić i jeszcze raz czy dwa zmierzyć się z college'em i chórem, zanim zerwiemy wszelkie więzi. Jeśli wszystko dzieje się z jakiegoś powodu – a przecież podobno tak jest, prawda? – w takim razie dobrze mi zrobi siedzenie tutaj, słuchanie nabożeństwa, docenianie tego, co jest porzucane. Może to, tak samo jak odwiedziny Chóru Sierot, ma głęboki sens – chodzi o różnicę pomiędzy domykaniem różnych sytuacji w aktywny sposób a tchórzliwym ukrywaniem się.

Po raz pierwszy na nabożeństwie w Saviour przyglądałam się twarzom chłopców, którzy nie są moim synem, podczas wykonywania *Magnificat*. Przygotowuję się na najbardziej nie ulubiany wers:

„Bogaczów z niczym puścił i nędznie rozproszył”.

Zazwyczaj nie mogę oderwać oczu od Josepha, ale dzisiaj bardzo chcę zobaczyć Alfiego

Speake'a i George'a Fairclougha. I tego Price'a, brata Lucindy.

Tylko że... dziś nie ma żadnego z nich.

Dziwna sprawa. Chórzystom Saviour od samego początku wbija się do głowy, że muszą brać udział w każdym nabożeństwie, chyba że są poważnie chorzy. Ciekawe, czy zarazili się tym choróbskiem od kapelana. Nachylam się do Stuarta i szepczę:

– Trzech chłopców brakuje. Nigdy czegoś takiego nie było.

– Co ty wygadujesz? – odpowiada. – Przecież są wszyscy.

– Nie ma Alfiego Speake, a i George'a Fairclougha.

Magnificat się kończy.

– A teraz ofiarujemy Bogu nasze modlitwy i prośby – mówi kapelan stłumionym przez przeziębienie głosem. – Módlmy się za tych, którzy w te święta będą samotni, tych, którzy w tym roku stracili kochane osoby i będą za nimi tęsknić w dniu Bożego Narodzenia, tych, którym brakuje schronienia i strawy, tych, którzy cierpią w różnych częściach świata targanych przez wojny – w Syrii, strefie Gazy...

– Kogo? – pyta szeptem Stuart.

– Nie może wymieniać z nazwiska wszystkich, którzy zamieszkują strefę Gazy – odpowiadam.

– Nie, chodzi mi o tego Alfiego. Co to za jeden?

– Alfie Speake i George Fairclough. I... jak się nazywa ten chłopiec Price'ów?

– O kim ty mówisz? – Stuart patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Ciii...

Kiwam w stronę Josepha. Nie chcę, by się za nas wstydził. Jeszcze tylko to nabożeństwo i następne, a potem odejdzie stąd na dobre. Nie mogę się już doczekać.

– Modlimy się za tych, którzy ostatnio przedwcześnie odeszli – intonuje kapelan. – Za spokój duszy Cordelii Overton, Martina Mossa, Waltera Hepwortha, Carole Waugh, Gary'ego Donaldalda. Boże miłosierny...

– Wysłuchaj naszych modlitw – mruczę.

Przedostatni raz odgrywam swoją rolę.

– Lou – odzywa się Stuart.

– Co? – pytam szeptem.

– W chórze nie ma nikogo o nazwisku Price.

Odwracam się, by spojrzeć mu w twarz. Co on wygaduje?

– Oczywiście, że jest. – Przewracam oczami. – Zapewniam cię, że jest. Ty to nigdy nie pamiętasz nazwisk.

– Modlimy się za osoby, które prosiły o nasze modlitwy, albo za te, dla których modlitwy zamówili inni. Są to: Kattie Nally, Felix i Antonia Blackwoodowie, Maureen i Roger. Boże miłosierny...

– Wysłuchaj naszych modlitw.

– Wiem, że w chórze nie ma żadnego chłopca o nazwisku Price – upiera się Stuart. – Nie ma również Alfiego Speake'a ani George'a Fairclougha.

– Co ty mówisz? Oczywiście, że są.

– Nie. Nie ma.

Mój mąż ma w oczach łzy. Przerażają mnie, a nie chcę być przerażona po tym, jak uwierzyłam i miałam nadzieję, że jestem na dobrej drodze, by zostawić lęk za sobą. Samotny sierota

Wydaje się, że mijają godziny, nim jestem na tyle blisko, by pochwycić mojego zszokowanego syna. Przyciskam do siebie jego ciepłe ciało.

– Wychodźmy! – krzyczę.

Jeśli uda mi się dotrzeć do drzwi i wybiec na dziedziniec, wszystko będzie dobrze.

Biegnij. Biegnij.



– Gdzie go wywiozłeś? – wołam, gdy słyszę, że drzwi wejściowe się zamykają.

Wykrzykuję te słowa jeszcze dwukrotnie, zanim Stuart pojawia się w salonie. Zajęło mu to zbyt wiele czasu: to znaczy, że zabrał Josepha gdzieś daleko, bezpowrotnie daleko. Siedzę na podłodze w Granicy, w rogu pokoju, z kolanami podciągniętymi pod brodę, wciskając boki pleców w schodzące się pod kątem prostym ściany. Siedząc na krześle albo na sofie, czułabym się zbyt wystawiona na widok. Chciałabym, aby ktoś owinął moje ciało w koc, dookoła, tak bym nie mogła się ruszyć. Wtedy czułabym się bezpieczniej.

– Gdzie go wywiozłem? – warczy Stuart. – A jak myślisz? Do domu Bethan, tak jak uzgodniliśmy.

– Nie! Ja się na to nie zgadzam!

– Ale... to ty zadzwoniłaś do Bethan i spytałaś, czy mogłaby go przenocować!

Mój mąż ma poszarzałą twarz. Niszczę go. Jednak to nie ja, muszę mu to uzmysłować. To nie moja wina, nic nie jest moją winą. Skoro zadzwoniłam do Bethan – a Stuart ma rację, zrobiłam to – to musi oznaczać, że chcę, by Joseph był tam, z nią.

– Nie sądzę, że wzięłaś go do Bethan – mówię powoli. – Założę się, że zabrałaś go z powrotem do Cambridge, prawda? Przekazałaś go doktorowi Freemanowi!

– Lou, nie było mnie czterdzieści minut. Droga do Cambridge i z powrotem zajmuje dwie i pół godziny. Poza tym szukanie domu Bethan w ciemności to istny koszmar. Zresztą...

– Przywieź go z powrotem! – szlocham. – Chcę Josepha! Chcę mojego syna!

– Lou. – Stuart siada obok mnie na podłodze. – Rozmawialiśmy o tym. Pamiętasz? Jazda do domu i tak była okropna. Chcesz na dobre go straumatyzować? Musimy porozmawiać, a Joseph nie może znajdować się w zasięgu słuchu... Posłuchaj. U Bethan jest mu dobrze. Pewnie już zasnął.

– Zamuruj mnie gdzieś – mówię. – Zakop pod podłogą. Pozwól mi umrzeć. Dłużej już tego nie zniosę.

– Przestań! Gadasz jak obłąkana.

– Jestem obłąkana!

– Słuchaj, spróbujmy się w tym wszystkim jakoś rozeznąć. We wszystkim. Chociaż to się wydaje, kurwa, bez sensu. Pat Jervis – ta sama Pat Jervis, z którą, jak twierdzisz, widziałaś się dwukrotnie w naszym domu – nie żyje.

– Nie!

– Tak, Louise. Przez ostatni kwadrans siedziałem w samochodzie z telefonem i szukałem informacji. Patricia Jervis pracowała dla wydziału zdrowia samorządu Cambridge. Została zamordowana dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dziewiątego roku. Miała zweryfikować zgłoszenie o zakłóceniu ciszy nocnej, weszła do wskazanego domu, by spróbować porozmawiać z mieszkającym tam balangowiczem. Zepchnął ją z tarasu na dachu na czwartym

piętrze.

Muszę go zmusić, by zamilkł. Nie mogę oddychać, kiedy mówi.

– Skręciła kark i złamała kręgosłup.

To dlatego tak dziwacznie chodzi, kiwając się na boki. Przypominam sobie rozmowę telefoniczną z Dougiem Minnsem. Poprosiłam do telefonu Pat. Nie powiedział mi, że ona nie żyje.

Widocznie starał się zachować taktownie. Łatwiej powiedzieć, i mniej szokująco: „Może ja będę mógł pani pomóc” czy coś w tym rodzaju, niż oznajmić obcej osobie: „Przykro mi, ale moja koleżanka została parę lat temu zamordowana. Czy mogę w czymś pomóc?”.

– Nie żyje, Lou. Co oznacza, że nie zjawiała się w naszym domu w środku nocy, a ty się z nią nie spotkałaś i nie rozmawiałaś. Więc... czy jest coś, co chcesz mi powiedzieć?

– Myślisz, że kłamię? Po co miałabym wymyślać coś takiego?

– Ty mi powiedz. A skoro już o tym mowa, może mi również wyjaśnisz, kim są Alfie Speake i George Fairclough?

– Ja...

– Chórzystami z Saviour, tak? – pyta Stuart sarkastycznym tonem.

– Nie. Ja... myślałam, że są z Saviour, ale ... nie. Należą do innego chóru.

– Innego chóru? Jezu, Louise...

– Do Chóru Sierot.

– Sierot, powiadasz?

Nie rozumiem, dlaczego jest dla mnie taki okrutny.

– Powiedzieć ci, co myślę? – pyta. – Myślę, że rozwinęła się u ciebie jakaś obsesja na punkcie śmierci. Wiedziałaś, że Pat Jervis nie żyje. Ile czasu grzebałaś w internecie w poszukiwaniu makabrycznych przypadków śmierci?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ciekawe, co znajdę w twoim laptopie, kiedy przejrzę historię przeglądarki – odpowiada znaczącym tonem Stuart.

– O cokolwiek mnie podejrzewasz, mylisz się.

Jestem wykończona. Muszę przerwać tę rozmowę, spać w nieskończoność. Ale nie mogę przerwać. Muszę ją ciągnąć. To nie zależy ode mnie.

– Alfie Speake był chórzystą z Cambridge, tak jak Joseph, tylko że w King's, nie Saviour College – mówi Stuart. – Dwa miesiące temu puszczali w telewizji film dokumentalny o nim. O czym dobrze wiesz.

Nie wiem.

– Powiedz mi – proszę.

– Czy naprawdę musimy przechodzić przez tę farsę? – wzdycha Stuart. – No dobrze. Alfie był kompozytorem – wyjątkowo utalentowanym dzieckiem. Umarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, w wieku dziewięciu lat. Ojciec niechcący go potrącił, gdy cofał samochód.

O tak. Teraz sobie przypominam. Stuart ma rację co do Alfiego.

– George Fairclough zmarł w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym na białaczkę, w wieku dwunastu lat – mówię, nie wiedząc, skąd to wiem. – George też był doskonałym śpiewakiem, choć nie należał do chóru. Nie był dobrze znany, nie zdobył szerokiej sławy, występował tylko prywatnie i bardzo go ceniono.

Został wybrany do Chóru Sierot, bo miał znakomity głos. To bez znaczenia, że nie zyskał

sławy ani nigdy nie był chórzystą w college'ach Cambridge czy Oksfordu.

Stuart patrzy na mnie zmieszany.

– Rodzice George'a zapraszali znajomych na wieczory muzyczne – mówię. – Jego matka grała na pianinie, a on śpiewał. To stało się regularnym, wyczekiwanym przez wszystkich wydarzeniem towarzyskim.

– Skąd to wiesz, skoro nie był sławny? – pyta Stuart cicho. – Nie znalazłem w internecie żadnych informacji o George'u Faircloughu.

– A Lucinda Price zmarła w zeszłym roku, w wieku dziesięciu lat. W Prestatyn. Jej wuj zgwałcił ją i zamordował.

– Dobrze... skończ już z tym!

– Miał się nią opiekować. Lucinda też wspaniale śpiewała. Dwa lata z rzędu wygrała Eisteddfod⁸.

– Co takiego?

Nieważne. Gdy pozwałam, by wiedza zapadła we mnie, ogarnia mnie ciepły spokój. Bardzo się wcześniej myliłam, tak bardzo myliłam, ale to bez znaczenia. Teraz widzę wszystko wyraźnie i nie ma sensu walczyć. Nie sposób tego uniknąć.

Chór Sierot. Wszystkie są martwe. Dzieci, które były utalentowanymi śpiewakami. Dzieci, które gdziekolwiek są teraz, nie mają rodziców, bo ich rodzice są nadal tutaj: na tym świecie. Dlatego są sierotami. Ich rodzice, wciąż żywi, są dla nich straceni.

Chłopcy i dziewczęta. Chór Saviour College, kultywujący archaiczną tradycję, nie dopuszcza dziewcząt. Chór Sierot nie wyklucza żadnego dziecka, które potrafi śpiewać równie pięknie jak Alfie, George i Lucinda.

I Joseph. I chłopiec, który śpiewał dla mnie przed domem Bethan...

Drzę. Otaczam kolana ramionami. Stuart coś do mnie mówi, ale go nie słyszę. Jestem zagrożona we własnych myślach, i teraz jestem już tak blisko. Mogę pozwolić sobie pamiętać, wiedzieć, widzieć.

Pat Jervis, dotykająca palcem zaciemnionej szyby okna w moim salonie... Patrzyłam na własne odbicie w tym samym oknie później i czułam, że coś jest nie tak. Jednak myliłam się, bo coś nie w porządku było wcześniej, kiedy to Pat patrzyła w szybę. Widziałam, że ona patrzy, widziałam to samo co ona. I właśnie to na poły pamiętałam, kiedy stanęłam później w tym samym miejscu: salon odbijał się w oknie, odbijało się wszystko oprócz niej. Ona siebie w nim nie widziała.

Jej tam nie było.

To dlatego przyciska palec do szyb i luster. Nie widzi własnego odbicia. Dotyka, by się upewnić, że płaszczyzna, która powinna odbijać jej postać, jest na miejscu. Zastanawia się, dlaczego, jeśli tam jest, ona siebie w niej nie widzi.

Ona nie rozumie, że jest martwa. Nie całkiem. Tak jak ja.

Nie. Ja nie jestem martwa. Jeszcze żyję.

Myśl, Louise. Zastanów się dobrze.

Chór Sierot nie oznaczał tego, co myślałam. Nie chodziło o martwych rodziców, to nie dlatego dzieci były sierotami. Zrozumiałam wszystko na opak. Widziałam martwe dzieci śpiewające nad jeziorem. Martwe jak Alfie Speake. Martwe jak...

Nie.

– Co to za hałas? – pyta Stuart. – Ktoś chyba puszcza muzykę... – Przerywa i nasłuchuje ze

zmarszczonymi brwiami.

– Ostrzegła mnie.

– Kto?

– Pat Jervis. Mówiła, żebym nie kupowała tu domu. Wiedziała, że niebezpieczeństwo nie tkwi w Cambridge.

Przywołuję w pamięci jej słowa: „Wiem, że nie powinnaś jechać do Culver Valley. Nie rób tego, Louise. Zostań tutaj”.

– Louise! Co to za śpiewy? Słyszę śpiew chłopców.

– To Chór Sierot. – A któż by inny?

Stuart podchodzi wolno do drzwi balkonowych i je otwiera.

Nie ma się co spieszyć. I tak jest już za późno.

Dzisiejszej nocy dzieci są jaśniejsze, lśnią złociście i srebrzyście, mają wielkie błyszczące oczy i przepastne czarne usta, niby tunele wiodące donikąd. Śpiewają swoją ulubioną pieśń *O przyjdź na świat*.

– Joseph – szepcze Stuart.

Wydaje się maleńki pod olbrzymim wyszczerbionym księżycem z dzieci. Bezsilny. Tak jak my oboje jesteśmy i zawsze byliśmy.

– Joseph tam jest.

Dołączam do Stuarta stojącego na tarasie. Stopy mam gołe, tak jak trzeba.

– Tak – mówię. – I Ed, patrz, jest obok niego. Ed to jego przyjaciel w nowym chórze.

Ten blondynek z wystającym jabłkiem Adama, widziany przeze mnie na mostku prowadzącym do domu Bethan.

– Ed?

– Syn Bethan.

Skądś wiem, co się z nim stało, tak jak wiedziałam wszystko o Alfiem Speake’u i George’u Faircloughu.

Został zamordowany przez swojego ojca, Roda. Uduszony kablem od laptopa po tym, jak Bethan powiedziała, że chce rozwodu, i tym razem mówiła poważnie. Rodowi nie wystarczyło, że zostanie głównym opiekunem syna, musiał jeszcze ukarać Bethan, musiał całkiem pozbawić ją dziecka.

Nie jestem zła, że mi nie powiedziała. Rozumiem. Nigdy bym nie pozwoliła Josephowi zbliżyć się do niej ani do jej domu, gdybym znała prawdę.

– Lou, musimy jechać po Josepha. Ja... nie sądzę, aby był bezpieczny u Bethan.

– Joseph nie żyje – mówię. – Nie żyje, bo Ed potrzebował przyjaciela.

Zastanawiam się, czy Bethan rozumie, dlaczego to zrobiła.

– Nie! – protestuje Stuart. – Nie mów tak!

– Wiesz, że to prawda. Po prostu nie chcesz się z tym zmierzyć.

– Zamknij się! Idę odzyskać syna!

Pamiętam, że sama tak mówiłam. Myślałam o tym bez przerwy. Nie mając pojęcia, co to może w końcu oznaczać.

Stuart znika za załomem domu. Słyszę, jak otwiera samochód. Dobrze. Chcę, by pojechał. Nie mogę zrobić tego, co muszę zrobić, kiedy on tu jest. Powstrzymałby mnie, on wciąż wszystko wypiera. Muszę zostać sam na sam z chórem. Oni wiedzą, co musi nastąpić.

Mój syn leży na dole piętrowego łóżka, które kiedyś należało do zamordowanego chłopca.

Otruty, nie uduszony; Bethan jest tchórzem.

Oczy zamknięte. Błada skóra. Ma na sobie ulubioną pizamę: tę z uśmiechniętym szarym rekinem na bluzie.

A Stuart jedzie i płacze. Wkrótce zacznie biec...

Nie chcę, by ujrzał to, co ja widzę, ale jak mogę go powstrzymać?

Przebiega mostek, przepycha się obok Bethan, pędzi po schodach, drugie drzwi po lewej, coś pociągnie go do pokoju, w którym jest Joseph. Zapali światło i zostanie oślepiiony przez ból.

Nie chcę, by padł na kolana i wył, ale tak zrobi. Nie mogę go powstrzymać.

Mój syn jest zamordowanym chłopcem, leżącym na łóżku innego zamordowanego chłopca.

Ale. Chór Sierot nie śpiewałby nadal dla mnie, gdybym nie mogła już nic zrobić. Pokazują mi, Joseph mi pokazuje, że wcale nie musi być sierotą. Mogę do niego dołączyć, jeśli chcę.

Jakżeby nie mogła nie chcieć? Jest moim jedynym dzieckiem.

Przechodzę przez ciała nieżyjących od dawna dzieci, idę nad brzeg jeziora. Schodzę po schodach, które jeden z ogrodników Swallowfield wyciął w brzegu, stopień po stopniu. Dzieci śpiewają dla mnie, gdy schodzę na dół.

CZĘŚĆ TRZECIA

W przedsionku jest zimno, tak jak się spodziewałam. Wszędzie szary kamień. Nie wątpię, że sama kaplica, kryjąca się za zamkniętymi drewnianymi drzwiami, jest jeszcze chłodniejsza. Jeszcze nigdy jej nie widziałam ani w niej nie siedziałam, jestem tu po raz pierwszy, na zaproszenie chórmistrza.

Nie wiem, kto i kiedy zdecydował o tym, że religia i centralne ogrzewanie nie idą w parze. Właściwie to było raczej wezwanie, a nie zaproszenie. Nie miałam innego wyboru, jak zgłosić się w wyznaczonym terminie. Przyszedłby po mnie, gdybym się nie zjawiała.

To dziwne, że nie wiem, jak się nazywa.

Ale jest lepiej tak, jak jest. Mam ten luksus, że mogę pozwolić, by sprawy toczyły się własnym trybem, wiedząc, że i tak uzyskam pożądaną rezultat. Jeżeli chodzi o doktora Freemana, to wciąż napotykałam opór, wszystko kosztowało mnie tyle wysiłku, wciąż musiałam knuć i opracowywać różne strategie. Dzisiaj nowy chórmistrz ofiaruje mi to, czego nigdy bym nie dostała od doktora Freemana, choćbym nie wiem ile czekała, i wcale nie muszę dokładać żadnych starań.

Drewniane drzwi otwierają się ze skrzypem. On stoi po drugiej stronie i nie rusza się z miejsca, nie idzie ku mnie.

– Pani Beeston.

– Tak.

Zbliżam się. Tak blisko jak mogę. Chcę wypatrzeć Josepha w środku. Słyszę, jak śpiewa *Nunc Dimittis*. Słyszę wszystkie głosy – Alfiego, Eda – ale zwłaszcza Josepha.

– Czy pani wie, dlaczego ją wezwałem?

– Tak sądzę.

– Joseph ma wyjątkowy głos i bardzo przykłada się do pracy. Bardzo przykro nam będzie się z nim rozstać, ale... teraz ma panią. Nie spełnia już stawianych przez nas wymogów, a są jeszcze inni chłopcy... i dziewczęta – dodaje chórmistrz, jakby sam się zdziwił, że przypominał sobie ten szczegół.

Chciałabym go spytać, czy przedtem prowadził wyłącznie męski chór, jak Saviour, ale wydaje mi się to niestosowne. Tu o wielu sprawach się nie rozmawia. Nigdy.

– Przykro mi tylko, że tracę Josepha tak szybko – mówi. – Oczywiście wszystkie dzieci muszą w końcu odejść, gdy przybywają ich rodzice, a dla rodzica pojawienie się tu jest prawdziwym błogosławieństwem, nawet to nieoczekiwane, zwłaszcza przybycie matki, ale... cóż, Joseph jest wyjątkowy. O czym pani zapewne wie. Smutno mi będzie się z nim pożegnać.

– Dziękuję. – Uśmiecham się do niego.

– Mamo?

Patrzę w dół i widzę Josepha stojącego obok.

– Kochanie – szepczę. – Tak się za tobą stęskniłam.

– Ja za tobą też – odpowiada. – Możemy iść do domu?

– Tak, oczywiście.

To prawda. Zamierzam zabrać syna do domu. Wreszcie nie ma nikogo, kto mógłby mnie przed tym powstrzymać.



Rusztowanie wciąż stoi, a plastikowe płachty nadal owijają nasz dom przy Weldon Road. Jednak w środku jest jaśniej, niż kiedykolwiek było: srebrzystobiałe lśnienie. Światło jest tak jasne, że z początku nie widzę Josepha. Muszę pozwolić oczom się oswoić. Ściskam rękę Josepha, a on odpowiada mi tym samym. Już nigdy nie pozwolę mu odejść. Wszystko będzie dobrze. Teraz wszystko musi być dobrze, to jest już na zawsze.

– Mamusiu?

– Tak, kochanie?

Od dawna nie nazywał mnie mamusią. Odkąd poszedł do podstawówki, mówił do mnie „mamo”.

– Czy teraz, gdy opuściłem chór, będę jeszcze widywał się z Edem?

Co mam mu odpowiedzieć? Nie mam pojęcia, jaki przebieg mają takie sprawy, nie wiem, gdzie iść ani co robić.

Może, ponieważ to jest dom, nie będzie już więcej wychodzenia ani robienia. Muszę się zorientować.

– Nie wiem, kochanie. Może. Wkrótce się dowiem. Obiecuję.

– Spytasz mamę Eda?

– Mamę Eda?

Nie mam pojęcia, co na to odrzec.

– No bo wiesz, ona niedługo przyjedzie. Ed mi dzisiaj powiedział.

Kiwam z roztargnieniem głową, bo przyciąga mnie światło bijące z okna. Kiedy Pat przyciskała do niego palce, było czarne. Ale już nie jest. Przykładam swój palec tam, gdzie wcześniej dotykała szyby ona, i na sekundę blask blednie, a ja widzę swoje odbicie w szybie. Ktoś za mną stoi.

To Bethan. Otwiera usta, jakby chciała mi coś powiedzieć, a potem zanika, stając się ruchomym punkcikiem w otaczającym bezruchu, dopóki całkiem nie zniknie.

– Mamusiu? – Joseph ciągnie mnie za rękę.

– Tak, Josephie?

– Kiedy tata przyjedzie?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że szybko.

Mówiąc tak, zastanawiam się, czy to prawda.

Daj nam światło w mrocznej porze,
Błagamy cię, Panie,
I spraw, byśmy spoczęli bez grzechu,
I przebudzili się, by Ci służyć,
Byśmy dotarli bezpiecznie i w pokoju
Do przebudzenia w wielkim dniu,
Przez Jezusa Chrystusa Pana naszego.

Amen.

Chwalmy Pana.

Bogu niech będą dzięki.

Bóg Wszechmogący daruje nam spokojną noc
i doskonały kres.

Amen.

Wszyscy pozostają na stojąco.

MOJE RELACJE Z DUCHAMI

Zawsze uwielbiałam historie o duchach, z tych samych powodów, dla których lubiłam kryminały: suspens. W obu gatunkach czytelnik albo widz wie, że na coś się zanosi, ale nie wie, o co dokładnie chodzi ani dlaczego, więc głównym czynnikiem skłaniającym do śledzenia fabuły jest pragnienie rozwiązania tajemnicy.

Chociaż nie czytałam aż tyle powieści o duchach, ile kryminałów, po tych kilku, które znam, odnoszę wrażenie, że większość z nich jest owiana tajemnicą. Zapewne jest taka proza z wątkami nadnaturalnymi, gdzie duchy są wyraźne, przedstawiają się na samym wstępie i określają swój program działania, ale ja się na takie książki nie natknęłam. Wszystkie duchy, które napotkałam w filmach i literaturze, są tak przebiegłe i nieuchwytnie jak mordercy pragnący uniknąć zdemaskowania. Nawet duchy, które chowają urazę graniczącą z obsesją, o dziwo, bardzo niechętnie rozprawiają wprost o swoich porachunkach z żywymi. Wygląda na to, że za bardziej skuteczne uznają powściągliwe i niesłychanie rozwlekłe sposoby przekazywania wiadomości, takie jak trzaskanie drzwiami albo skrzypienie deskami podłogowymi. Jak się nad tym zastanowić, to bez sensu. Gdybym ja była martwa i wściekła, a do tego jeszcze dysponowałabym czarodziejskimi nieziemskimi mocami, zignorowałabym obowiązującą wśród duchów konwencję, stanęłabym tuż przy tym, kto mnie skrzywdził, i wrzasnęłabym: „Ty cholerna gnido! Nigdy ci nie przebaczę! Czekaj no tylko, zaraz zobaczysz, ilu twoich krewnych zabiję i okaleczę przed tym weekendem!”. Dobra, nie jest to zbyt subtelne, ale ponieważ prawdopodobnie byłabym rozmigotana i przezroczyta w czasie, kiedy bym to wszystko wyrzaskiwała, przyjemnie jest mi pomyśleć, że osiągnęłabym druzgoczący efekt, łącząc bezpośredniość słowną z fizyczną eterycznością.

Może właśnie dlatego tak podziwiałam ostatnią świetną adaptację Hammera równie dobrej powieści Susan Hill pod tytułem *Kobieta w czerni*. Duch w tym filmie komunikuje się dość bezpośrednio. W pewnym momencie pisze drukowanymi literami na ścianie: „Mogłeś go uratować!”, a tym samym podpowiada, o co się wścieka. (Wprawdzie nie wyjaśnia równie otwarcie, dlaczego postanawia wyładować złość na niewinnej osobie. Chciałabym zobaczyć, co duch napisałby na ścianie na temat uprawnionych celów i strat wśród ludności cywilnej na skutek działań wojennych, ale to już inna historia).

Jak wszystkie moje ulubione filmy o duchach i horrory – *U progu tajemnicy*, *Inni*, *The Innocents*, *The Haunting*, *Lśnienie*, *Szósty zmysł* – *Kobieta w czerni* była przerażająca od początku do końca. Większość oglądałam z oczami zasłoniętymi szalikiem. Siedziałam w kinie obok pewnej starszej pary i w czasie filmu co chwila ci ludzie pytali mnie, czy dobrze się czuję. Nie czułam się dobrze i wcale nie chciałam się tak czuć. Nie ma sensu zadawać się z fikcyjnym duchem, który nie potrafi napędzić ci solidnego stracha.

Dlatego właśnie, gdy zaproponowano mi napisanie noweli do nowej serii Hammera, moja pierwsza myśl brzmiała: „O, tak, ale to musi być przerażające”. A również tajemnicze, bo wszystkie moje ulubione historie są napędzane przez tajemnice oraz potrzebę odkrycia prawdy i wykazania się większym sprytem niż przebiegły autor, który stara się irytująco długo nie

zdradzać rozwiązania. Tak więc nie uległam pokusie przeddefiniowania gatunku poprzez stworzenie pyskatego ducha, który obsesyjnie i pouczająco wydziera się na ludzi, i spróbowałam zamiast tego za wszelką cenę napędzić sobie stracha. Tak samo jak w swoich powieściach kryminalnych zawsze odpierałam pokusę (czasem bardzo silną) napisania thrillera psychologicznego, który zaczyna się tak, że bohaterka odbiera telefon od kogoś ze swojej podejrzonej przeszłości, z kim nie rozmawiała od dwudziestu lat, i natychmiast oznajmia swojej szczęśliwej rodzinie z klasy średniej szczebiotliwym tonem, że dzwonił taki to a taki. „Pamiętasz, ten, z którym dwadzieścia lat temu popełniłam morderstwo? No wiesz, opowiadałam ci przecież...”.

Sophie Hannah

Styczeń 2013

¹ Psalm 33,22 wg Biblii Tysiąclecia – wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

² Psalm 80,8

³ Psalm 143,1

⁴ Psalm 51,17

⁵ Psalm 70, 1

⁶ za: *Śpiewnik kościelny Diecezji Płockiej*, Płockie Wydawnictwo Diecezjalne, Płock 1983, s. 83

⁷ *Śpiewnik kościelny Diecezji Płockiej*, op. cit.

⁸ Eisteddfod – walijski festiwal muzyki, literatury i piosenki sięgającej XII wieku.